POLSKA GAFA
Suwerenność cyfrowa na serio

PUTIN TRACI NERWY
Czy Rosjanie pójdą za Nawalnym

BOSKA UTOPIA
Gdyby najsłabsi byli najważniejsi

ŚWIADEK ŚWIATA
Planeta Davida Attenborough

CHWAŁA SZERPOM
Nowe porządki w górach wysokich

Kraków 31 stycznia 2021 nr 5 (3734) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Dawka nadziei

Dlaczego warto czekać na szczepionki przeciw COVID-19

W WYDANIU DODATEK
OCZAMI DZIECI: AUSCHWITZ, MAJDANEK, ŁÓDŹ – KOSZMAR NIE MIJA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Podwójne wydanie specjalne ŚWIĘTO SPOTKANIA – do czytania i do słuchania!

Wydanie papierowe – ostatnie dni w sprzedaży!

Mistrzowskie teksty i rozmowy o byciu razem, wspólnocie, tęsknocie i... stole.

Do czytania – szukaj w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/swietospotkania, a do słuchania jako audiobook, w interpretacji znakomitych lektorów – tylko w aplikacji Audioteka.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ZAiKS

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

Wrocławski Dom Literatury

PARTNER STRATEGICZNY:

audioteka

KS. ADAM

Boniecki: *Jakby wszystko od ciebie zależało*

Jeśli głosimy szacunek dla ludzkiego życia „od poczęcia do naturalnej śmierci”, to chodzi nie tylko o aborcję i eutanazję, ale o całe życie, od początku do naturalnego końca. Dlatego nie rozumiem powściągliwości w wypowiedziach nas, duchownych, na temat szczepionki przeciwko wirusowi SARS-CoV-2.

Bo papież Franciszek jest w sprawie szczepień jednoznaczny: „Nie wiem – powiada – dlaczego dziś ktoś mówi, że szczepionka przeciw koronawirusowi jest niebezpieczna. Jeśli lekarze przedstawiają ją jako coś dobrego, co nie stanowi specjalnego zagrożenia, to czemu jej nie przyjąć?”. W tym samym wywiadzie dla włoskiej telewizji TG5 dodał: „Wszyscy powinni się zaszczepić. To konieczny wybór etyczny, to nie jest kwestia wątpliwości, rozważań argumentów przeciw. W grę wchodzi także zdrowie i życie innych”.

Oczywiście w sprawach szczepień żaden papież nie jest nieomylny, tu nade wszystko liczą się oceny specjalistów.

Tymczasem jest i druga skrajność. Na YouTubie można obejrzeć nagraną przez Telewizję Chrystusa Króla w Chicago rozmowę ze znanym księdzem, rekolekcjonistą, autorem wielu książek, przedstawionym słuchaczom jako autorytet moralny. O pandemii mówi on jako o „pandemonium”, czyli dziele demonów: „Pobożne baranki mówią: są szczepionki, wszystko idzie do normalności. Nie zobaczymy normalności. Są nowe wirusy i nowe idee. To jest panowanie demona. Ciemność ogarnęła świat, ogarnęła Kościół”. A o Kościele: „Jako Kościół stoimy z otwartą buzią – myśmy się pogubili, kościoły zamknięte i udajemy, że wszystko jest dobrze, albo współpracujemy z tymi, którzy rozkładają świat”. Jest też o winie „rządzących Kościołem”, którzy nie dostrzegli zbliżającej się katastrofy. Co jego zdaniem powinny zrobić władze Kościoła? Mówić o śmierci, grzechu i wyborze między nawróceniem a karą indywidualną i zbiorową. Jedynym ratunkiem, według prelegenta, może być wstawiennictwo Matki Boskiej.

Św. Ignacy Loyola zalecał: „Módl się tak, jakby wszystko zależało od Boga, a pracuj tak, jakby wszystko zależało od ciebie”. Kościół się tego trzyma. 23 grudnia 2020 r. ukazał się dokument określający Stanowisko Zespołu Ekspertów ds. Bioetycznych Konferencji Episkopatu Polski dotyczące szczepionek. Dokument ten, traktujący o wszelkich szczepionkach, „zwraca uwagę na ich wymiar moralny oraz na rozpowszechniane opinie [tzw. antyszczepionkowców – AB] niosące ze sobą aspołeczne skutki...”. A mówiąc o szczepionkach przeciwko COVID-19, realistycznie stwierdza, że „z jednej strony nie brak przekonania co do konieczności ich stosowania (...), z drugiej strony szerzą się sprzeciwy. Niektóre z nich są motywowane zastrzeżeniami etycznymi, inne zdają się związane z teoriami »spiskowymi« lub mitami”. (...) Niektóre z nich dokument uznaje „za zdecydowanie nieodpowiedzialne i pozbawione podstaw naukowych”. Krótko mówiąc, Zespół Ekspertów KEP przeciwstawia się irracjonalnym obawom przed szczepieniami przeciw COVID-19. Wybór pozostawiając świadomości każdego.

Piszę o tym, bo martwią mnie postawy duchownych i świeckich w rodzaju wyżej wspomnianego, rzucające się w oczy, lecz na szczęście marginalne i niesłusznie odczytywane jako postawa Kościoła. W niej tak bardzo wyeksponowana jest pierwsza część mądrej zasady ignacjańskiej („jakby wszystko zależało od Boga”), że druga („pracuj, jakby wszystko zależało od ciebie”) znika z pola widzenia. A przecież to nie demony sprowadziły na nas pandemię, lecz nasza niefrasobliwość, nieodpowiedzialność i ignorancja. Tak więc solidarny wysiłek ludzi w jej zwalczaniu okazał się najwłaściwszą reakcją na pandemię.

Owocem tego wysiłku są szczepionki. Dlatego po to, by o nich jak najwięcej wiedzieć, im właśnie, nie demonom, poświęcamy w tym numerze wiele miejsca. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Zróbmy sobie miejsce!

Od 4 stycznia, czyli od dnia otrzymania wypowiedzenia umowy wynajmu redakcji na Wiślnej 12, płynie do nas od Państwa rzeka wsparcia, m.in. przez wykup prenumerat, e-dostępów, darowizny na Fundację TP (powszech.net/dar), wpłaty przez system mikropłatności FaniPay. Otrzymujemy od Państwa także wiele deklaracji pomocy: rzeczowej, technicznej oraz – finansowej. Widząc Państwa spontaniczne gesty pomocy, uruchomiliśmy zbiórkę celową, z której wpływy zostaną przeznaczone na nowe miejsce „Tygodnika” na mapie Krakowa. Zbiórka jest dostępna pod adresem **powszech.net/miejsce.**

„Tygodnik” jest suwerenny dzięki Czytelnikom. To Państwa domy są prawdziwą siedzibą „Tygodnika”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Dawka nadziei
ŁUKASZ LAMŻA
Od kilku tygodni szczepionki trzech producentów: Pfizera, Moderny i AstraZeneca, podawane są w Europie milionom osób. Co dziś o nich wiemy?

22 Polska kontra GAFA
RAFAŁ WOŚ
Temat cyfrowej suwerenności przez lata w zasadzie u nas nie istniał. Czy da się jeszcze nadrobić stracony czas?

37 Trzy ważne adresy
ROZMOWA Z SIOSTRĄ MAŁGORZATĄ CHMIELEWSKĄ:
Pomoc drugiemu człowiekowi to praktyczny sprawdzian, czy żyjemy Ewangelią, czy tylko uczestniczymy w kulcie.

48 Czy potrzeba opiekunki?
ŁUKASZ GRAJEWSKI, CARINA HUPPERTZ, JONAS SEUFERT Z NIEMIEC
Polskie firmy wysyłają Ukrainki do Niemiec, by pracowały tam nielegalnie jako opiekunki seniorów – wynika ze wspólnego śledztwa „TP", „Süddeutsche Zeitung" i magazynu ARD „Fakt".

78 Świadek holocenu
ADAM ROBIŃSKI
Sir David Attenborough widział, jak rodzi się i zmienia telewizja, i jak ludzkość wchodzi w kolejną epokę.

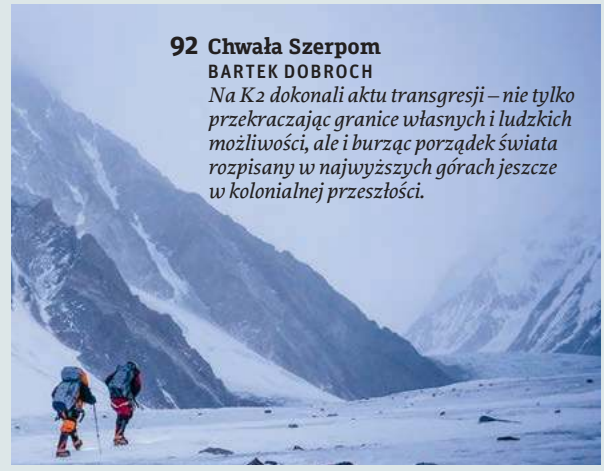

92 Chwała Szerpom
BARTEK DOBROCH
Na K2 dokonali aktu transgresji – nie tylko przekraczając granice własnych i ludzkich możliwości, ale i burząc porządek świata rozpisany w najwyższych górach jeszcze w kolonialnej przeszłości.

JAKUB KACZMARCZYK / PAP // KRYSTIAN MAJ / FORUM // ARCHIWUM PRYWATNE // NIMSDAI / MATERIAŁY PRASOWE // DAVID LEVENE / EYEVINE / EAST NEWS // TOMASZ URBANEK / DDTVN / EAST NEWS

6 Sojusz po przejściach
OLAF OSICA

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Polska kontra GAFA
RAFAŁ WOŚ

26 Bajki robotów
MAREK RABIJ
o robotyzacji rynku pracy

29 Osad milczenia
ANNA KIEDRZYNEK:
Dzieci z mutyzmem dużo się uśmiechają, nawet gdy się boją

32 Tygodnik Czytelników

WIARA

34 Jezus utopista
KRZYSZTOF KRZYWANIA:
Marzę o pustych kościołach, bo parafianie pójdą do przykutych do łóżek braci i sióstr

37 Trzy ważne adresy
ROZMOWA Z SIOSTRĄ MAŁGORZATĄ CHMIELEWSKĄ

39 Dla dobra społeczności
PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU
Po raporcie w sprawie irlandzkich domów samotnej matki wciąż pojawia się wiele pytań

42 Święty ubaw
PIOTR SIKORA: *Nie traktujmy siebie zbyt poważnie!*

ŚWIAT

44 Stary Donald, nowy Joe
MARTA ZDZIEBORSKA:
Biden chce szybko posprzątać po poprzedniku. Z zakopaniem podziałów w USA będzie trudniej

61 Oczami dzieci. Auschwitz, Majdanek, Łódź – koszmar nie mija
Podczas niemieckiej okupacji dzieci i nastolatki – żydowskie, polskie i innych narodowości – były ofiarami obozów koncentracyjnych i obozów zagłady na równi z dorosłymi. Jak patrzyły na to, czego doświadczały? Jak żyły potem z tymi doświadczeniami?

FELIETONY

33 DOROTA MASŁOWSKA **43** ZUZANNA RADZIK
55 ANDRZEJ STASIUK **60** JACEK PODSIADŁO
90 JAN KLATA **91** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: Szczepienia w Centrum Seniora w Vallecas, Madryt, 27 grudnia 2020 r.
D. SINOVA/GETTY IMAGES

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

48 Czy potrzeba opiekunki?
ŁUKASZ GRAJEWSKI, CARINA HUPPERTZ, JONAS SEUFERT

52 Jeż w spodniach Putina
ANNA ŁABUSZEWSKA:
Powrót Aleksieja Nawalnego do Rosji to wyzwanie dla stabilności reżimu. Dziś na pewno Kreml będzie grać ostro

NAUKA

56 Wynalazek pana Rozuma
JAKUB MEJER:
Sto lat temu w literaturze pojawiły się pierwsze roboty. Ich wyobrażenia rozjechały się z rzeczywistością – choć może po prostu jeszcze im nie sprostaliśmy

KULTURA

78 Świadek holocenu
ADAM ROBIŃSKI

82 Wiwisekcje
DARIUSZ KOSIŃSKI:
Ewelina Marciniak patrzy na kłębiące się ludzkie emocje, by pokazać to, czego sami często nie widzimy

85 Podejdź jak najbliżej
MACIEJ TOPOLSKI:
Robert Capa i jego wznowiona książka „Death in the Making"

88 Wirus dorosłości
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Złe baśnie" Damiana i Fabia D'Innocenzo

90 Wynalezienie miłości
LEKTOR *o książce Anne Carson „Słodko-gorzki eros. Esej"*

ZMYSŁY

92 Chwała Szerpom
BARTEK DOBROCH

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Emir afgańskich talibów mułła Hajbatullah przymierza się do przejęcia rządów w Kabulu. I przestrzega swoich poddanych przed wielożeństwem – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Molestowane siostry zakonne [Podkast Powszechny]
Wiele wskazuje na to, że skala problemu jest znaczna, ale głos ofiar nie może się przebić do publicznej świadomości
– rozmawiają **EDWARD AUGUSTYN**, autor raportu o mechanizmach zła, oraz **ZUZANNA RADZIK**, teolożka i katolicka dziennikarka powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

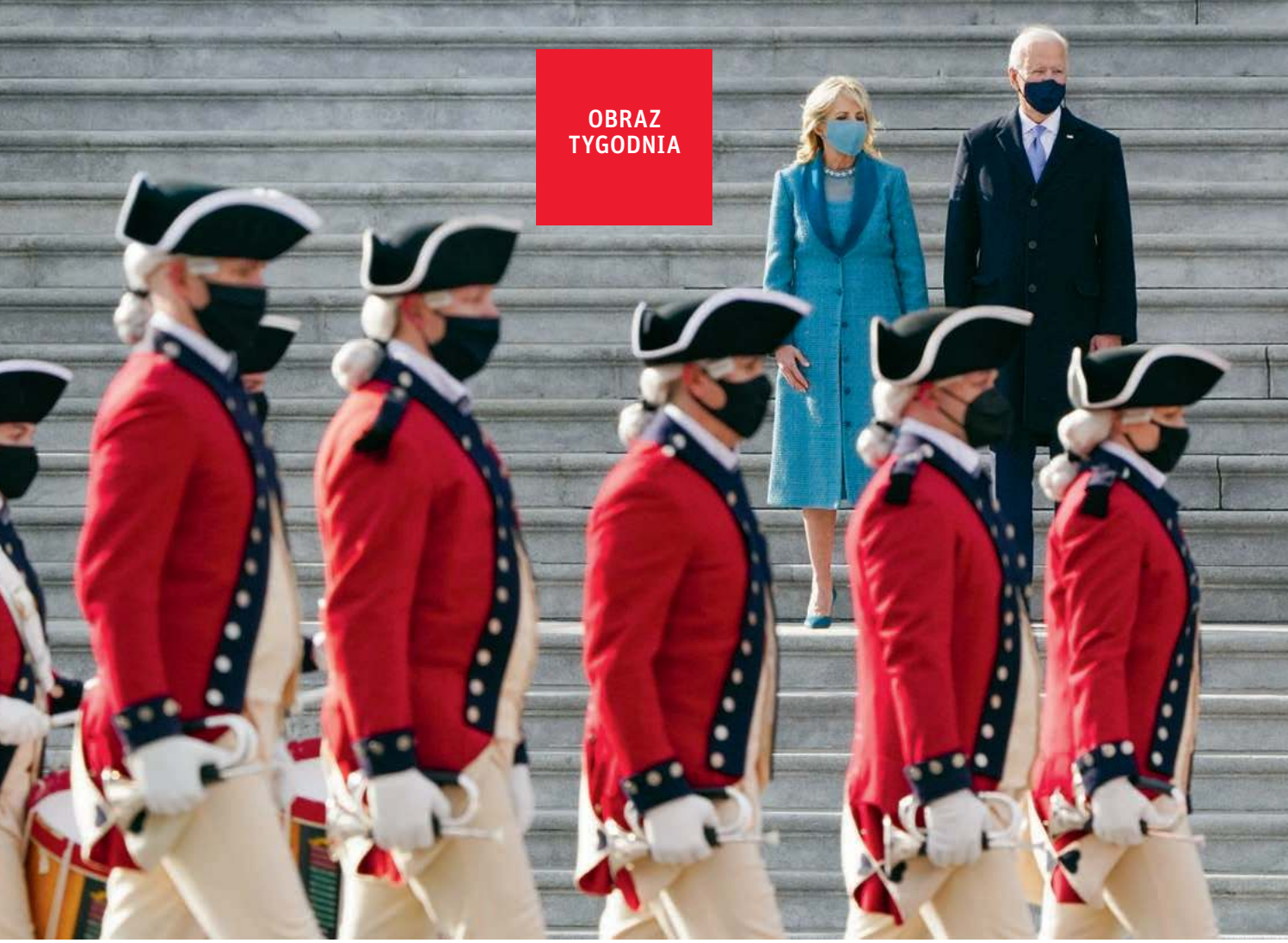

OBRAZ TYGODNIA

SOJUSZ PO PRZEJŚCIACH

Złudne są nadzieje, że Joe Biden będzie bardziej niż poprzednik uwzględniał potrzeby i interesy Europy.

OLAF OSICA

Wygrana i zaprzysiężenie Joe Bidena wywołały w Europie nadzieje na zmianę w polityce amerykańskiej. Ich źródłem wydaje się jednak w większym stopniu przegrana Donalda Trumpa niż osoba 46. prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Donald Trump jest politykiem, w którym skumulowały się wszystkie najgorsze cechy tej profesji. Narcyzm, egotyzm, potrzeba dominacji, kłamstwa i wstręt do uznania swoich porażek, w tym tej wyborczej, osiągnęły w nim poziom, który czynił z niego postać na granicy rzeczywistości i czarnego charakteru z komiksu. Gdyby nie ten fatalny rys osobowości, Trump byłby zapewne kolejnym lokatorem Białego Domu, którego Europa żegna z radością, ale bez wstrętu. Tak było np. z George'em W. Bushem, prostolinijnym Teksańczykiem, któremu przyszło sterować polityką amerykańską po 11 września, wysyłać armię do Afganistanu, a następnie do Iraku. Niechęć do niego była w Europie ogromna, a nadzieje wiązane z Barackiem Obamą – jeszcze większe.

Prezydent Joe Biden wraz z żoną Jill na schodach Kapitolu przyjmują paradę wojskową po uroczystości zaprzysiężenia, 20 stycznia 2021 r.

Patrząc dzisiaj na Busha juniora, Obamę i Clintona, którzy życzą Bidenowi sukcesu, „bo będzie on sukcesem całego narodu” (Bush), widać, ile w europejskim myśleniu o Ameryce jest emocji przesłaniających chłodną ocenę sytuacji. Bush popełnił wiele błędów, dzielił Europę na starą i nową i nie przyniósł demokratycznej stabilizacji na Bliskim Wschodzie, ale polityka Obamy nie była czasem renesansu współpracy transatlantyckiej ani budowy nowego, lepszego świata. Różnił ich język, intelekt i inny styl polityki. Obaj jednak działali na rzecz interesów Ameryki tak, jak je najlepiej rozumieli.

Skrajność Trumpa, który chciał być tak samo kochany jak nienawidzony, jest atutem Bidena. Będzie z tego czerpał polityczną siłę tak długo, jak to możliwe. Kluczowe pytanie dotyczy jednak nie osobowości, lecz roli Ameryki w świecie. Trump z premedytacją osłabiał mocno już nadwątlone fundamenty ładu liberalnego. Uważał, że leżące u jego podstaw reguły politycznej gry są obciążeniem dla Ameryki, hamują jej rozwój i kradną dobrobyt. Biden zapowiada powrót Ameryki, odbudowę jej wpływów i zwrot w stronę polityki opartej na współpracy w rozwiązywaniu globalnych problemów.

To dobry znak, ale pozostaje pytanie, czy i w jakim stopniu polityka amerykańska odnajdzie się w nowym kontekście polityki międzynarodowej, którym staje się przekonanie, że era amerykańskiej dominacji dobiegła końca. Nowa administracja skonfrontuje się z oczekiwaniem wielu kompromisów, które mogą być dla niej trudne do przełknięcia: w sprawach polityki wobec Chin, ochrony pozycji Doliny Krzemowej na jednolitym rynku europejskim czy współpracy handlowej. Joe Biden będzie zapewne bardziej „europejskim partnerem” ze względu na formę działania, szacunek dla instytucji i reguł współpracy. Ale złudne są nadzieje, że będzie gotowy do ograniczania interesów politycznych czy gospodarczych, aby uwzględnić potrzeby i interesy Europy. Spór i rywalizacja będą dalej wyznaczać współpracę po obu stronach Atlantyku. Trzeba mieć nadzieję, że ich efektem będzie nie tylko dalsza destrukcja obecnego ładu, ale i nowe idee polityczne, które wzmocnią świat zachodnich wartości i instytucji. ©

SCOTT APPLEWHITE / AP / EAST NEWS

Hołownia na fali, ale do sukcesu daleko

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Upojony wynikami sondaży Szymon Hołownia ruszył na polityczne łowy w parlamencie. Łapie kogo popadnie, dlatego też w szeregach dotychczasowych działaczy jego partii wybuchł bunt.

To, co nie udało się Jarosławowi Kaczyńskiemu, udało się Hołowni. Skruszył mikrą, jednoosobową przewagę koalicji PO-PSL-Lewica w Senacie, podbierając jej senatora Jacka Burego, biznesmena z Lublina. Teraz żeby mieć gwarancję większości, liderzy partii opozycyjnych muszą rozmawiać także z Hołownią.

Kolejny transfer, również lubelski, był nawet bardziej sensacyjny. Do Hołowni dołączyła była minister sportu Joanna Mucha, znana posłanka Platformy. Od dłuższego czasu źle się czuła w PO. Odchodząc skrytykowała władze partii i oświadczyła, że Platforma straciła zdolność wygrywania wyborów.

Odejście Muchy to wizerunkowy cios dla partii, która właśnie obchodzi dwudziestolecie powstania. O skali kryzysu bardziej świadczą jednak marne sondaże PO mimo wpadek i skandali w obozie władzy. Partia nie potrafi się odnaleźć w opozycji i nie ma pomysłu, jak pokonać PiS – zmiana przywództwa z Grzegorza Schetyny na Borysa Budkę rok temu nic nie dała.

Platforma ma nawet kłopot z przygotowaniem deklaracji z okazji dwudziestolecia, bo jest tak podzielona w kwestiach obyczajowych i światopoglądowych – stosunku do Kościoła, aborcji i związków partnerskich – że nie potrafi znaleźć wspólnego mianownika.

Hołownia ewidentnie chce zająć jej miejsce jako największej formacji opozycyjnej. Sondaże dają mu taką szansę. Wśród polityków opozycji zajmuje najlepsze miejsca w rankingach zaufania, a jego Polska 2050 w niektórych badaniach wysuwa się przed Platformę.

Ale do sukcesu daleko. Do wyborów pozostało dwa i pół roku, a PO ma dużo pieniędzy i wciąż silne struktury terenowe. W dodatku polityka transferowa Hołowni wywołała oburzenie w jego świeżych strukturach. Do dymisji podał się szef regionu lubelskiego Polski 2050 Jakub Jakubowski, bo lider ukrywał przed nim, że rozmawia z Muchą. Zbuntowały się także struktury na Śląsku. Grupa tamtejszych działaczy na odchodne nagrała film z zarzutami wobec Hołowni i jego najbliższych współpracowników. Zarzucili im brak transparentności, otaczanie się kolesiami oraz nieszanowanie aktywistów.

Hołownia łatwo już miał. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Szczepionka: nowe życie placówek. Ale nie wszystkich

PRZEŁOM: tak o przeprowadzanych w zeszłym tygodniu szczepieniach w domach pomocy społecznej mówią ich mieszkańcy i pracownicy. Nie tylko dlatego, że mają szansę uratować ludzi w dziesiątkowanych od wiosny placówkach (setki ofiar, tysiące zakażonych – to bilans dziesięciu miesięcy pod dachami DPS-ów). Również z tego powodu, że placówki zamieniły się po marcu 2020 r. w warownie: wstrzymano wyjścia na zewnątrz, zakazano odwiedzin, a z niektórych domów dochodziły sygnały o ciężkich kryzysach psychicznych izolowanych mieszkańców. Szczepienia mogą ten stan przerwać. Choć nie od razu: eksperci (np. doradca premiera ds. COVID-19 prof. Andrzej Horban) zwracają uwagę, że bezpieczne odwiedziny w DPS-ach ruszą najszybciej 14 dni po przyjęciu drugiej dawki szczepienia. A więc nie wcześniej niż za półtora miesiąca.

Nowe, poszczepienne życie nie dotyczy też wszystkich typów placówek. – Nie widzę w tym kalendarzu większej logiki – mówi „Tygodnikowi” Adriana Porowska, szefowa Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, prowadzącej dom dla bezdomnych mężczyzn w Warszawie. – Pracownicy schronisk zostali wpisani do „grupy zero” wraz z personelem medycznym. A mieszkańców nie umieszczono w żadnej grupie, mimo że niczym się nie różnią od pensjonariuszy DPS-ów: też są często w podeszłym wieku, również cierpią na wiele chorób. Efekt: jeszcze przez wiele miesięcy nie będziemy mogli poczuć się bezpieczniej i swobodniej. Czujemy się, nie pierwszy zresztą raz, pominięci.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Przyjazna dłoń

MACIEJ MÜLLER

Najpierw senatorowie PiS głosowali przeciwko przyznaniu psychiatrii dziecięcej 80 mln w ramach poprawki do budżetu państwa. Kilka dni później poprawkę odrzuciła sejmowa Komisja Finansów Publicznych. Rządzący nie spodziewali się zapewne rozmiaru burzy medialnej. Dlatego już w poniedziałek wicemarszałek Senatu Stanisław Karczewski zapowiadał specjalną konferencję rządową.

Istotnie w połowie tygodnia Mateusz Morawiecki zadeklarował, że rząd przekaże na psychiatrię dzieci i młodzieży ponad 220 mln zł, ponieważ do tych pacjentów należy wyciągnąć „najczulszą, jak najbardziej przyjazną dłoń". Pieniądze mają być przeznaczone m.in. na remonty i rozwój infrastruktury. Oraz na nową bezpłatną infolinię dla młodzieży w kryzysach psychicznych.

Ta nagła troska rządu o kanały komunikacji budzi zdziwienie, ponieważ we wrześniu 2019 r. telefon zaufania prowadzony przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę odpadł w konkursie MEN na „prowadzenie przez specjalistów bezpłatnej ogólnopolskiej infolinii interwencyjno-informacyjnej z zakresu zdrowia psychicznego i zapobiegania samobójstwom". Inicjatywę musieli ratować prywatni darczyńcy. Po drugie – istnieje infolinia prowadzona przez Rzecznika Praw Dziecka. Czy premier o tym wiedział, zapowiadając konkurs na operatora kolejnej?

Psychiatria dziecięca jest – mimo prowadzonych obecnie reform – jedną z najbardziej zaniedbanych gałęzi polskiej medycyny. Kolejne rządy od lat przechodzą nad tym do porządku dziennego – i to mimo raportów policyjnych i wypowiedzi lekarzy alarmujących o narastającej od lat fali samobójstw w tej grupie.

Chaotyczne zapowiedzi pomocy i nagła troska rządu – bezpośrednio po sugerujących inne podejście głosowaniach parlamentarnych – stawiają szczerość intencji pod znakiem zapytania. Pozostaje więc trzymać za słowo towarzyszącego premierowi ministra zdrowia, który zapowiedział, że „za rok będziemy w zupełnie innym świecie w psychiatrii dziecięcej". ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

GŁOS
Sejm wybrał na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich Piotra Wawrzyka, obecnego wiceministra spraw zagranicznych i posła PiS. Decyzję izby niższej w tym samego zainteresowanego, który głosował na siebie – musi zaakceptować Senat, co wydaje się jednak mało prawdopodobne.

ODGŁOS
Koleżanka Wawrzyka z izby niższej, reprezentująca lewicę Małgorzata Prokop-Paczkowska, na wieść o rzezi chrześcijan dokonanej przez armię rządową w etiopskim Aksum, zapytała: „Po co Kościół katolicki tam się wpakował? Dlaczego nie uszanował miejscowych wierzeń?". Władze jej klubu zapewniły, że komentarz nie odzwierciedla poglądów lewicy.

POGŁOS
W Warszawie, przy zdecydowanie niższej frekwencji niż jesienią, odbyła się kolejna manifestacja w ramach Strajku Kobiet: wzięło w niej udział kilkaset osób, z czego kilkanaście zatrzymała policja.

CARLO BRESSAN / ABACA / EAST NEWS

WYGŁOS
Niespodziewanie – w listopadzie prezes PZPN Zbigniew Boniek mówił, że jest za późno na zmiany, a dotychczasowy selekcjoner zrealizował wszystkie cele – piłkarska reprezentacja Polski dostała nowego trenera. Miejsce Jerzego Brzęczka zajął Portugalczyk Paulo Sousa, pracujący ostatnio (bez sukcesów) z klubami w Chinach i we Francji.

Oszczędności poniżej zera

„TAK, DOPUSZCZAM OBNIŻENIE STÓP, tak, dopuszczam stopy ujemne, które – przypomnę – są w całej strefie euro" – przyznał szef NBP Adam Glapiński podczas ostatniej konferencji prasowej.

Prezes zastrzegł, że bank centralny przeprowadził analizę skutków ewentualnej obniżki stóp poniżej zera. Jego zdaniem mogłoby do niej dojść w przypadku „radykalnego pogorszenia ogólnej sytuacji gospodarki". Biorąc pod uwagę prognozy ekonomistów, którzy spodziewają się raczej poprawy koniunktury na skutek zdejmowania obostrzeń sanitarnych (jeśli przyspieszy program szczepień), ryzyko ujemnych stóp procentowych w polskiej gospodarce nie jest dziś wysokie. Warto jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, co mogłyby one oznaczać.

Po pierwsze – jeszcze szybciej topniejące oszczędności w bankach. Przy obecnym poziomie bliskim zeru większość lokat nie daje zysków – rachityczne odsetki zjadają inflacja i opłaty. Po obniżce stóp samo trzymanie pieniędzy na lokacie zacznie kosztować. Niestety, na kredyty, do których dopłacą nam banki, nie mamy co liczyć: banki ściągną z klientów swoje w postaci opłat i prowizji, na wysokość których nie mają wpływu stopy procentowe NBP.

Ewentualna obniżka mieć będzie wreszcie wpływ na gospodarkę (odpływ gotówki z sektora bankowego), ale tym na razie nie warto zaprzątać sobie głowy. Być może stopy „zamarzną" na dotychczasowym poziomie.

©℗ MAREK RABIJ

Pierwszeństwo rozsądku

SEJM PRZYJĄŁ NOWELIZACJĘ USTAWY o ruchu drogowym, która koryguje hierarchię odpowiedzialności za bezpieczeństwo w okolicach oznakowanego przejścia dla pieszych: od czerwca będą oni mieli pierwszeństwo także przed wejściem na pasy – dotychczas obowiązek ustąpienia obowiązywał tylko wobec tych, którzy już na nich się znajdowali. To powinno wyplenić mentalność, w której droga należy wyłącznie do kierowcy, a pieszy może na nią co najwyżej „wtargnąć" jako obcy byt. Nowe przepisy składają na barki kierowcy wymóg wzmożonej ostrożności i przewidywania ruchów osób w jego polu widzenia, ale z racji ogromnej dysproporcji potencjalnych szkód w zetknięciu człowieka z maszyną taka zmiana jest sprawiedliwa. Nowe przepisy zakazują przy tym pieszym korzystania z telefonów, które mogłyby rozproszyć ich uwagę.

Z pierwotnego projektu nowelizacji dyskutowanego w ub.r. wypadł niestety inny przepis, mogący realnie ukrócić nagminną jazdę ze zbyt wysoką prędkością: chodziło o utratę prawa jazdy przy przekroczeniu limitu o ponad 50 km/h także poza obszarem zabudowanym. Obecnie grozi za to tylko niezbyt bolesny mandat 500 zł (kwota ustalona, gdy była to połowa średniej pensji, i nigdy nie zwaloryzowana). ©℗ PB

KARIM BOUCHETATA / BAV MEDIA / EAST NEWS

LÓD NA SAHARZE – a ściślej na płaskowyżu Ain Sefra w północnej-zachodniej Algierii, u stóp gór Atlas – to kolejny dowód szybko zachodzących zmian klimatycznych. Tym razem nie chodzi jednak o temperaturę: w tej części Algierii, na wysokości ok. 1000 m. n.p.m., dość często spada nocami poniżej zera. Lód, który skuł wydmy, świadczy o tym, że skrajnie suchy klimat Sahary zmienia się ponownie na wilgotny. ©℗ MR

Rosjanie wołają o wolność

DEMONSTRACJE pod hasłem „Uwolnić Nawalnego" odbyły się w sobotę 23 stycznia w 112 rosyjskich miastach; zatrzymano ponad 3,5 tys. uczestników. To rekord w historii putinowskiej Rosji.

Oprócz Moskwy – w tamtejszej demonstracji wzięło udział kilkadziesiąt tysięcy ludzi – i Petersburga ruszyły się też mniejsze miasta, gdzie na ulice wychodziło od kilkuset do kilku tysięcy osób. Kilkaset protestowało w Jakucku mimo 50-stopniowych mrozów; akcje odbyły się we Władywostoku, Chabarowsku, Czycie, Irkucku, Nowosybirsku, Omsku, Tomsku, Rostowie nad Donem i innych. Przeciw protestującym władze rzuciły formacje policji, które brutalnie interweniowały, a także państwowe media (twierdzą, że protesty inspirował Zachód).

Jakie będą skutki demonstracji? Czy władze wypuszczą Nawalnego? Szanse na to są niewielkie. Ale to, co się dzieje w związku z powrotem opozycjonisty do Rosji (piszemy o tym w dziale Świat), będzie mieć znaczenie dla kondycji reżimu. Wyrażony w postaci protestów zakres poparcia dla Nawalnego na razie nie jest dla władz krytyczny. Ale jest przestrogą. Zapowiadane są kolejne protesty. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Więcej na blogu autorki:
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

Etiopia: wojna i głód

PLAGI CZĘSTO PODĄŻAJĄ TROPEM WOJEN. Ale w Tigraju, północnej prowincji Etiopii, nad którą kontrolę, po długim buncie, odzyskała w listopadzie armia rządowa, głód stał się narzędziem opresji. Szybkiej pomocy w dożywianiu potrzebuje od 2 do 4,5 mln ludzi – szacunki są nieprecyzyjne, ponieważ połączenia telefoniczne są zawieszone, a dziennikarze i pracownicy ONZ mają tu zakaz wstępu. Premier Etiopii Abiy Ahmed (laureat pokojowego Nobla z 2019 r.) utrzymuje, że konflikt w Tigraju to „operacja policyjna", a blokada ma zapewnić cudzoziemcom bezpieczeństwo.

Nieliczni, którym udało się przesłać z regionu wiadomości, donoszą o gwałtach i czystkach etnicznych. W kompleksie kościelnym w Aksum, gdzie według tradycji jest przechowywana Arka Przymierza, miało w grudniu zginąć ok. 750 osób (informacja ta opiera się na pojedynczym, anonimowym źródle i do 25 stycznia nie została zweryfikowana). Dążący do suwerenności regionu Tigrajski Ludowy Front Wyzwolenia, choć pokonany militarnie, może liczyć na wsparcie obywateli – właśnie przeciwko nim rząd w Addis Adebie stosuje taktykę głodu. Żywności jest dużo, agencje ONZ są w gotowości, lecz odpowiadające za sytuację w Tigraju etiopskie Ministerstwo Pokoju otoczyło region kordonem.

©℗ ŻYM

Nord Stream 2: przeciąganie liny

WOJCIECH KONOŃCZUK

W PEŁNEJ ZWROTÓW AKCJI HISTORII budowy gazociągu Nord Stream 2 doszło do kolejnego. W ubiegłym tygodniu Parlament Europejski przyjął rezolucję wzywającą do wstrzymania prac przy tej inwestycji. Poparło ją aż 581 deputowanych, tylko 50 głosowało przeciw. Decyzja PE ma jednak znaczenie symboliczne, gdyż nie niesie dla realizującego projekt Gazpromu bezpośrednich skutków.

Znacznie poważniejszym problemem są nowe sankcje amerykańskie, które weszły w życie na początku roku i wymierzone są w podmioty wspierające realizację Nord Stream 2. Na ich efekty nie trzeba było długo czekać. Ze współpracy z Gazpromem wycofali się m.in. szwajcarski ubezpieczyciel i norweska firma certyfikacyjna; sankcje objęły natomiast rosyjskiego właściciela statku Fortuna, który układał gazociąg.

Rosja nie zamierza jednak składać broni i w trwającej batalii o dokończenie Nord Streamu 2 (brakuje 148 km rur) może liczyć na ważnych sojuszników. Trzy tygodnie temu rząd landu Meklemburgia-Pomorze Przednie powołał fundację, która formalnie ma działać na rzecz ochrony środowiska, a w istocie wziąć na siebie funkcję pośrednika w kontaktach z zewnętrznymi dostawcami współpracującymi z Gazpromem. Mówiąc wprost: chodzi o obejście sankcji USA.

Jeszcze ważniejsze od zabiegów rządu landowego jest wsparcie dla gazociągu, jakie niezmiennie deklaruje rząd federalny w Berlinie, który przekonuje, że ma on charakter komercyjny. Niemcy liczą, że administracja Bidena złagodzi stanowisko wobec inwestycji, choć pierwsze wypowiedzi nowego sekretarza stanu Antony'ego Blinkena na to nie wskazują.

Można się zatem spodziewać, że przeciąganie liny wokół Nord Stream 2 będzie trwać, ze wszystkimi negatywnymi skutkami dla współpracy wewnątrz Unii oraz dla współpracy transatlantyckiej. Kreml może zacierać ręce, bo przynajmniej jeden z celów projektu już zrealizował. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

MEDAL KARSKIEGO
„Z ogromną troską i bólem mówi o Kościele przechodzącym dziś czas próby i zwraca uwagę na potrzebę otwartości i dialogu” – tak Towarzystwo Jana Karskiego uzasadniało przyznanie medalu 75-lecia misji Jana Karskiego ks. prof. Andrzejowi Szostkowi, studentowi i doktorantowi Karola Wojtyły, a potem jego następcy w Katedrze Etyki KUL, długoletniemu prorektorowi i rektorowi tej uczelni. Medal wręczył abp Grzegorz Ryś.

ARCHIDIECEZJA ŁÓDZKA

OPUSZCZONY
Papież odniósł się do śmierci bezdomnego Nigeryjczyka, który zamarzł w pobliżu placu św. Piotra. „Grzegorz Wielki w obliczu śmierci żebraka z powodu zimna powiedział, że w tym dniu nie będzie odprawiana żadna msza, ponieważ jest to dla nas Wielki Piątek. Pomyślmy o Edwinie. Zastanówmy się, co czuł ten 46-letni człowiek, na mrozie, ignorowany przez wszystkich. Opuszczony nawet przez nas” – powiedział Franciszek po niedzielnej modlitwie Anioł Pański.

REKORDOWE ODSZKODOWANIE
Australijska archidiecezja Perth musi wypłacić 2,45 mln dolarów australijskich (ponad 7 mln złotych) mężczyźnie wykorzystywanemu jako dziecko (w latach 1978-80) przez ks. Bertrama Adderleya. Wcześniejszy ordynariusz duchownego, choć wiedział o przestępstwach seksualnych, nie reagował odpowiednio.

Z Kościołem lepiej nie będzie

PIOTR SIKORA

W zeszłym tygodniu przewodniczący KEP abp Stanisław Gądecki udzielił KAI wywiadu na temat stanu Kościoła, nastrojów i jego programu działania na najbliższy rok.

Abp Gądecki negatywnie ocenia polaryzację polskiego społeczeństwa i przywołuje myśl papieża Franciszka o tym, jaka droga jest potrzebna, by przejść od konfliktów do „pojednanej różnorodności” – m.in. że potrzebny jest rozwój duchowy, dialog czy rezygnacja z roszczenia do posiadania prawdy.

Arcybiskupia diagnoza stanu Kościoła budzi jednak wątpliwości. Za spadek religijności metropolita poznański wini przede wszystkim ludzi, którzy już w latach 90. zaczęli „kopiować wzorce zachodnie” i dali się opanować pragnieniu „dążenia do wyłącznie ziemskich celów”. Obecnie chodzą po ulicy i do sklepów, a chcą korzystać z dyspensy od obowiązku uczestnictwa w mszy niedzielnej.

W odpowiedzi na pytanie o spadek wskaźników zaufania do Kościoła abp Gądecki wskazuje na fakt, że wielu ludzi zaangażowanych społecznie nie rozwija swej duchowości. Nie łączy tego spadku z żadnym złem w przestrzeni Kościoła.

Pada pytanie o skandale molestowania małoletnich. Ale w rozmowie – ani w pytaniach, ani w odpowiedziach – nie ma słowa, że chodzi o molestowanie przez duchownych, a także, że istotnym elementem skandalu było systemowe ukrywanie tego procederu przez kościelnych przełożonych sprawców. Winę zaś za owe skandale abp Gądecki zrzuca na współczesną kulturę i rzekomy rozkład teologii moralnej. W opinii hierarchy Kościół jako jedyna instytucja wprowadził system ochrony małoletnich, „teraz zaś chodzi o to, aby świadomość o konieczności ochrony najmłodszych ogarnęła całe nasze społeczeństwo”.

Z wypowiedzi metropolity poznańskiego przebija bardzo negatywne nastawienie do tego, co niekościelne. Nie ma w nich za to krytycznej autorefleksji nad ciemnymi stronami kościelnej instytucji. Jeśli słowa przewodniczącego KEP są reprezentatywne dla większości polskich biskupów, nie wróży to dobrze przyszłości Kościoła w Polsce. ©℗

Watykańscy bankierzy i papieska ręka sprawiedliwości

SUROWE WYROKI wydał watykański sąd w sprawie finansowych malwersacji w Instytucie Dzieł Religijnych. Były prezes „watykańskiego banku”, prof. Angelo Caloia, skazany został na blisko 9 lat więzienia (podobnie jak jego wspólnik; trzeci skazany dostał karę 5 lat). Mają też zwrócić zdefraudowane pieniądze i zapłacić blisko 60 mln euro odszkodowania.

To pierwsze w Watykanie wyroki więzienia za nadużycia finansowe. Efekt zaostrzonego w 2018 r. prawa, zmian personalnych w wymiarze sprawiedliwości (na czele sądu stanął były włoski prokurator walczący z mafią) i instytucjach ekonomicznych (które składają doniesienia o każdej podejrzanej transakcji), a przede wszystkim determinacji samego papieża.

W kolejce do wokandy czekają już następni, w tym kard. Angelo Becciu, którego proces ma się wkrótce zacząć. Bez względu na to, czy skazani w ubiegłym tygodniu trafią do więzienia (wyrok musi wykonać państwo włoskie, cała trójka zapowiedziała odwołanie, dwóch jest już w podeszłym wieku), to decyzję sądu należy traktować jako ostrzeżenie, że na pobłażliwość – przynajmniej za tego pontyfikatu – nie ma co liczyć.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Odszedł ewangelizator

INICJATOR PRZYSTANKU JEZUS i jego wieloletni koordynator ks. Andrzej Godnarski zmarł zakażony koronawirusem. Był jednym z najważniejszych liderów ruchu Nowej Ewangelizacji w Polsce. Współtworzył Ogólnopolskie Kongresy Nowej Ewangelizacji. Założył Wspólnotę św. Tymoteusza – Katolickie Stowarzyszenie w służbie Nowej Ewangelizacji. Był także współzałożycielem Ogólnopolskiej Rady Dyrektorów katolickich Szkół Nowej Ewangelizacji, a od 2011 r. sekretarzem Zespołu Episkopatu ds. Nowej Ewangelizacji.

Najbardziej znanym jego dziełem był Przystanek Jezus – muzyczno-ewangelizacyjna inicjatywa powstała w 1999 r. przy organizowanym przez Jurka Owsiaka Przystanku Woodstock. Był zwolennikiem głoszenia rekolekcji w szkołach, gdyż uważał, że trzeba iść do młodych, a nie czekać na nich w kościołach. Zmarł w 52. roku życia. „Po każdym człowieku jest wyrwa, a po takim człowieku jest duża wyrwa” – powiedział o nim abp Grzegorz Ryś. ©℗ ASK

Henryk Jerzy Chmielewski, „Papcio Chmiel i jego podopieczni", 2015 r., ze zbiorów Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego

Pokolenie Tytusa

HENRYK JERZY CHMIELEWSKI, twórca największych popkulturowych ikon czasów mojej młodości, zmarł w wieku 97 lat. Jego komiksy o przygodach Tytusa, Romka i A'Tomka, surrealistyczny humor i nieokiełznana wyobraźnia ich autora, rozświetlały świat młodszych mieszkańców PRL-u tak, jak świat starszych rozświetlał Kabaret Starszych Panów. Każdy ze sposobów, w jaki sportretowany w nich szympans wymykał się procesowi uczłowieczania, był pochwałą wolności, nawet jeśli formalnie miała się ona realizować w zhierarchizowanej strukturze harcerskiego zastępu i nawet jeśli propagandowej wymowy wielu obrazków twórca po latach się wstydził. Inna sprawa, że także ów zhierarchizowany świat pokazywano w krzywym zwierciadle, że przypomnę obrazek, w którym zastępowy A'Tom mówi: „Dobra organizacja pracy to zwiększone efekty produkcyjne. A więc: Romek ładuje, Tytus wozi, a ja... liczę taczki".

Przeglądam znów te komiksy, natrafiam na frazy o kaszy przypalonej w ogniu walki czy 56 strzałach znikąd, które upłynęły od ostatniego obrazka, znajduję ulubioną scenkę, w której Tytus wyznaje: „Myślałem i wymyśliłem bezmyślnik ~. Stawiać się go będzie przed zdaniem nie mającym sensu", no i się uśmiecham. Należę do pokolenia, które oficjalnie mówi Sienkiewiczem i Gombrowiczem, któremu zdarza się mówić Wałęsą i Kaczyńskim, a ostatnio Bońkiem. Ale tak naprawdę mówi Tytusem.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

KULTURA W SKRÓCIE

HAKOACH ZNACZY SIŁA
W opakowaniu znajdują się dwie talie: jedna służy do opowiadania historii, druga przybliża hebrajską symbolikę i wskazuje, które liczby odpowiadają poszczególnym literom alfabetu. Karty opracowało Stowarzyszenie HaKoach wraz z z agencją Cyber Kids on Real. Gra trafi do łódzkich szkół i świetlic środowiskowych, a na razie dostępna jest online na stronie hakoach.eu/elementarz.

NOSTROMO NA UCHO
Biblioteka internetowa Wolne Lektury na zamówienie Biblioteki Narodowej przygotowała 70 audiobooków. Wszystkie dostępne są bezpłatnie na stronach wolnelektury.pl i polona.pl. Wśród propozycji znalazły się powieści Conrada, Dickensa, Verne'a i Prusa, ale posłuchamy także Dantego, Homera czy Montaigne'a.

NOMINACJE DLA KINA
„Boże Ciało" Jana Komasy oraz „Oficera i szpiega" Romana Polańskiego nominowano do nagród Goya przyznawanych przez Hiszpańską Akademię Sztuki Filmowej. Najwięcej, bo aż 14 nominacji, zdobył dostępny na Netfliksie dramat „Adú" Salvadora Calvo. Także 14 nominacji – ale do nagród Czeskiej Akademii Filmowej i Telewizyjnej – otrzymał „Szarlatan" Agnieszki Holland.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
Dziennikarze i autorzy „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Zapraszamy do słuchania w środę o 15.00!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Najzdrowsza dieta

BADANIA OD DAWNA SUGEROWAŁY, że ograniczenie spożywanych kalorii wpływa na długowieczność – nieco głodzone zwierzęta żyły dłużej niż te karmione normalnie i zapadały na mniejszą liczbę chorób powiązanych ze starzeniem się (np. neurodegeneracyjnych). Nie było jednak wiadomo, jaki fizjologiczny mechanizm wyjaśnia to zjawisko. Dwie prace opublikowane w pierwszym numerze „Nature Aging" – czasopisma poświęconego procesom starzenia się – przybliżają nas do odpowiedzi na to pytanie.

Badaczy zainteresowała grupa tzw. aminokwasów rozgałęzionych (BCAA), które nasz organizm pobiera wyłącznie w pożywieniu. Odgrywają one ważną rolę w funkcjonowaniu białek, które regulują m.in. wzrosty i podziały komórkowe. Eksperymenty przeprowadzone na muszkach owocowych oraz myszach wykazały, że zarówno ograniczenie spożycia aminokwasów rozgałęzionych, jak i zablokowanie szlaku komunikacyjnego, w którym uczestniczą, pozytywnie wpływa na długość życia i zdrowie tych zwierząt.

Potrzeba jednak wielu kolejnych badań, by te odkrycia mogły znaleźć zastosowanie w postaci diety przeznaczonej dla człowieka.

© MICHAŁ ŚWIĄTEK

Ołowska „Głównie dla kobiet"

PRACE PAULINY OŁOWSKIEJ – a także zaproszonych do współpracy przez artystkę Karoliny Jabłońskiej, Dominiki Olszowy, Agaty Słowak i Natalii Załuskiej – przez najbliższe pół roku obejrzą zwiedzający amerykańskie SCAD Museum of Art w Savannah. Tytuł wystawy nawiązuje do „przewodnika po miłości" napisanego w latach 60. „przede wszystkim dla żon" przez Roberta Charthama. Publikujący pod pseudonimem angielski seksuolog starał się upowszechnić niepopularny pogląd, że przyjemność podczas stosunku może czerpać nie tylko mężczyzna. Ołowska przejmuje narrację Charthama, przekazując głos w sprawie własnej seksualności kobietom. Mocny, feministyczny akcent położony zostaje na ironiczne podejście do męskiej i narodowej megalomanii, podkreślają organizatorzy, zwracając jednocześnie uwagę na kontekst, w jakim powstawała wystawa – niedawny wyrok polskiego Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. ©℗ MOC

TEMAT TYGODNIKA

DAWKA NADZIEI

Od kilku tygodni szczepionki trzech producentów: Pfizera, Moderny i AstraZeneca, podawane są w Europie milionom osób. Co dziś o nich wiemy?

ŁUKASZ LAMŻA

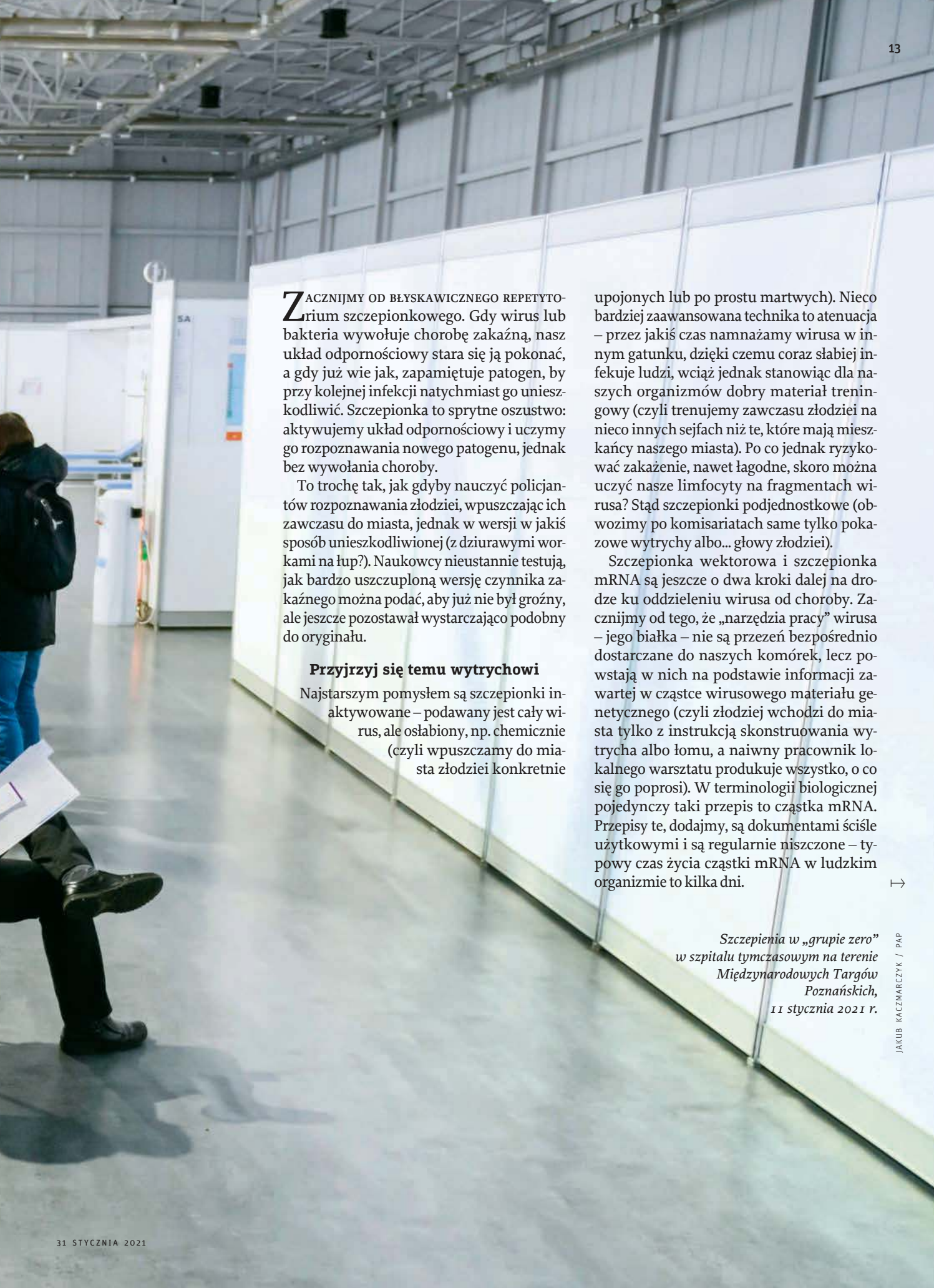

Zacznijmy od błyskawicznego repetytorium szczepionkowego. Gdy wirus lub bakteria wywołuje chorobę zakaźną, nasz układ odpornościowy stara się ją pokonać, a gdy już wie jak, zapamiętuje patogen, by przy kolejnej infekcji natychmiast go unieszkodliwić. Szczepionka to sprytne oszustwo: aktywujemy układ odpornościowy i uczymy go rozpoznawania nowego patogenu, jednak bez wywołania choroby.

To trochę tak, jak gdyby nauczyć policjantów rozpoznawania złodziei, wpuszczając ich zawczasu do miasta, jednak w wersji w jakiś sposób unieszkodliwionej (z dziurawymi workami na łup?). Naukowcy nieustannie testują, jak bardzo uszczuploną wersję czynnika zakaźnego można podać, aby już nie był groźny, ale jeszcze pozostawał wystarczająco podobny do oryginału.

Przyjrzyj się temu wytrychowi

Najstarszym pomysłem są szczepionki inaktywowane – podawany jest cały wirus, ale osłabiony, np. chemicznie (czyli wpuszczamy do miasta złodziei konkretnie upojonych lub po prostu martwych). Nieco bardziej zaawansowana technika to atenuacja – przez jakiś czas namnażamy wirusa w innym gatunku, dzięki czemu coraz słabiej infekuje ludzi, wciąż jednak stanowiąc dla naszych organizmów dobry materiał treningowy (czyli trenujemy zawczasu złodziei na nieco innych sejfach niż te, które mają mieszkańcy naszego miasta). Po co jednak ryzykować zakażenie, nawet łagodne, skoro można uczyć nasze limfocyty na fragmentach wirusa? Stąd szczepionki podjednostkowe (obwozimy po komisariatach same tylko pokazowe wytrychy albo... głowy złodziei).

Szczepionka wektorowa i szczepionka mRNA są jeszcze o dwa kroki dalej na drodze ku oddzieleniu wirusa od choroby. Zacznijmy od tego, że „narzędzia pracy" wirusa – jego białka – nie są przezeń bezpośrednio dostarczane do naszych komórek, lecz powstają w nich na podstawie informacji zawartej w cząstce wirusowego materiału genetycznego (czyli złodziej wchodzi do miasta tylko z instrukcją skonstruowania wytrycha albo łomu, a naiwny pracownik lokalnego warsztatu produkuje wszystko, o co się go poprosi). W terminologii biologicznej pojedynczy taki przepis to cząstka mRNA. Przepisy te, dodajmy, są dokumentami ściśle użytkowymi i są regularnie niszczone – typowy czas życia cząstki mRNA w ludzkim organizmie to kilka dni. ↦

Szczepienia w „grupie zero" w szpitalu tymczasowym na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich, 11 stycznia 2021 r.

JAKUB KACZMARCZYK / PAP

W szczepionce wektorowej znajduje się zupełnie inny, niegroźny wirus, któremu doklejamy gen kodujący jakieś białko „naszego" wirusa (czyli wpuszczamy do miasta bandę listonoszy albo kasjerów z przepisami na łom, a policjanci uczą się rozpoznawać złodziei po charakterystycznym kształcie tegoż łomu). Szczepionka mRNA – nowinka technologiczna i cud inżynierii biomedycznej! – polega zaś na wpuszczeniu do organizmu samych tylko cząstek mRNA (czyli podrzucamy do warsztatów ulotki z przepisami na łom).

W przypadku nowego koronawirusa „łomem" jest występujące na jego powierzchni białko S. Trzema szczepionkami, które będziemy zaś oglądać z bliska, są dwie szczepionki mRNA (jedna produkowana przez duet Pfizer-BioNTech, a druga przez firmę Moderna) oraz jedna szczepionka wektorowa (stworzona m.in. przez Uniwersytet Oksfordzki i firmę AstraZeneca). Wszystkie trzy są już stosowane w wielu krajach świata. Szczepionka Pfizera została dopuszczona do obrotu w całej Unii Europejskiej 21 grudnia, szczepionka Moderny – 6 stycznia, a 12 stycznia o takie samo pozwolenie zawnioskowali producenci szczepionki Oxford-AZ.

Szczepionką wektorową jest też Sputnik V, dopuszczony m.in. w Rosji, Palestynie czy Boliwii, a także jeden z preparatów używanych w Chinach. Gdzieniegdzie w ograniczonym stopniu stosuje się również szczepionki podjednostkowe (zawierające wyłącznie białka koronawirusa) albo inaktywowane. Na razie nic nie wskazuje na to, by którakolwiek z nich miała trafić do Polski.

W stanach nadzwyczajnych

5 stycznia 2020 r. opublikowana została pierwsza sekwencja genetyczna nowego koronawirusa, a już kilka dni później wiele firm farmaceutycznych pracowało nad projektem szczepionki. Tym samym zainicjowany został długi łańcuch zdarzeń prowadzących do gotowego produktu. Dzieli się go na dwa zasadnicze etapy: badań przedklinicznych i badań klinicznych.

Te drugie to sekwencja badań na ludziach, zwyczajowo podzielonych na trzy fazy: od garstki ochotników (faza I) po wielotysięczną populację (faza III), mających wykazać, że lek jest skuteczny i bezpieczny. Wszystko opiera się na założonym z góry szczegółowym protokole, który musi zostać zgłoszony odpowiednim instytucjom i zaakceptowany. Zarówno badania, jak ich protokoły są jawne.

Pandemia COVID-19 pchnęła naukę do przodu: już teraz trwają próby stworzenia szczepionek mRNA przeciw grypie, eboli czy wściekliźnie i zastosowania tej platformy w onkologii.

Badania przedkliniczne to wszystko, co poprzedza sformułowanie tego typu planu działania. Opracowanie nowej szczepionki jak dotąd zajmowało ok. 10-15 lat, z czego większą część pochłania etap badań przedklinicznych: rozpoznanie wroga, wybór typu szczepionki i opracowanie strategii jej przygotowania.

Pierwsze badania kliniczne nad szczepionką przeciwko COVID-19 rozpoczęto już w marcu. Jak to możliwe? Są dwa główne powody. Po pierwsze, inwestycja czasu i pieniędzy była – i wciąż jest – bezprecedensowa, a ponadto firmy farmaceutyczne były hojnie dotowane przez rządy, co zdjęło z nich część ryzyka ekonomicznego związanego z prowadzeniem badań. Po drugie, SARS-CoV-2 jest bliskim kuzynem SARS-CoV-1, który w 2002 r. wywołał wersję mini obecnej pandemii. W tym czasie doskonale poznaliśmy „starego" koronawirusa: do tego stopnia, że już w 2005 r. podano, które konkretnie miejsce na powierzchni białka S najlepiej nadaje się na cel szczepionek. W pewnym sensie badania przedkliniczne prowadzące do obecnych szczepionek trwają więc od dwóch dekad.

Co jednak z badaniami klinicznymi? Te rzeczywiście zajmują z reguły ok. 5-7 lat. „Idealne" badanie kliniczne wygląda tak: rozpoczynamy fazę I z niewielką grupką ochotników i sprawdzamy elementarną skuteczność oraz bezpieczeństwo szczepionki – którą dotychczas testowaliśmy np. tylko *in vitro* i na szczurach. Jeśli wszystko idzie dobrze, przechodzimy do fazy II. Tutaj testuje się kilka wybranych formuł na nieco większej grupie, aby ustalić, która z nich sprawdza się najlepiej, jakie jest optymalne dawkowanie itd. Najlepszy protokół przechodzi do III fazy badań, w której biorą już udział nawet dziesiątki tysięcy osób, starannie dobranych tak, aby reprezentowali całe społeczeństwo. Dopiero tu uzyskuje się solidne dane o skuteczności i bezpieczeństwie. Każdy z tych etapów trwa zwykle rok-dwa. Co się więc wydarzyło?

Po pierwsze, przyjęto niestandardowy model – stosowany nieśmiało w przeszłości – w którym poszczególne fazy badań klinicznych mogą się na siebie nakładać. Logika jest taka, że nawet jeżeli rozpoczniemy badanie fazy II w czasie, gdy formalnie etap I się jeszcze nie zakończył, to wszelkie niepokojące sygnały z fazy I powodują również automatyczne zatrzymanie całego badania. Skutkiem ubocznym są jednak ograniczone możliwości optymalizacji: najlepszego kandydata do fazy III wybiera się, jeszcze zanim spłyną wszystkie dane z faz wcześniejszych. Wywołało to spore zamieszanie zwłaszcza w przypadku szczepionki oksfordzkiej – do czego jeszcze wrócimy.

Po drugie, wszystkie szczepionki przeciw COVID-19 stosowane dziś w jakimkolwiek państwie zostały dopuszczone do obrotu warunkowo. Każdy kraj ma swoją procedurę awaryjną pozwalającą na stosowanie leków, które nie mają ukończonych badań klinicznych. Np. w USA Federalna Agencja Leków (FDA) wydaje Emergency Use Authorization, czyli „ratunkowe" dopuszczenie do użytku.

W Unii Europejskiej, gdzie o dopuszczaniu leków decyduje Europejska Agencja Leków (EMA), szczepionkom Pfizera i Moderny wydano tzw. warunkowe dopuszczenie do obrotu (ang. conditional marketing authorization), zgodnie z Rozporządzeniem Komisji Europejskiej nr 507/2006. Dokument ten głosi, że „w stanach nadzwyczajnych w reagowaniu na zagrożenia zdrowia publicznego" można dopuścić do obrotu lek, nawet jeśli „część kliniczna dokumentacji pozwolenia do obrotu jest mniej kompletna niż zazwyczaj". Warunek jest jednak taki, że „stosunek korzyści do ryzyka [zdefiniowanych w innej dyrektywie – ŁL] jest dodatni" oraz „prawdopodobne jest, że wnioskodawca będzie w stanie dostarczyć wyczerpujące dane kliniczne". Badanie kliniczne szczepionki Pfizera kończy się 27 stycznia 2023 r., a Moderny – 27 października 2022 r., jednak EMA uznała, że upublicznione dotychczas dane są

„wystarczająco dobre". Przyjrzyjmy się więc tym danym.

Sto tysięcy ochotników

8 grudnia na stronie internetowej „New England Journal of Medicine" („NEJM") została opublikowana pierwsza wersja raportu z III fazy badań klinicznych szczepionki oksfordzkiej. Analogiczny dokument Pfizera ukazał się 10 grudnia, a raport Moderny – 30 grudnia. To na podstawie właśnie tych raportów wydano zezwolenia na dopuszczenie do obrotu szczepionek. Co ciekawe, nieco różnią się one od tego, co mogliśmy usłyszeć z ust polityków czy przedstawicieli producentów.

Prosty przykład: 9 listopada na stronie Pfizera pojawiło się triumfalne obwieszczenie, że ich szczepionka ma „skuteczność 95 proc.". Liczbę tę powtórzyli niemal wszyscy politycy i dziennikarze na globie. Dopiero miesiąc później ukazał się wspomniany wyżej artykuł w „NEJM", z którego można się dowiedzieć, że sprawa jest bardziej skomplikowana.

Co istotne, raporty publikowane w czasopismach medycznych przechodzą przez rygorystyczne recenzje – i czasami redaktorzy wymuszają na autorach wykonanie dodatkowych analiz statystycznych, jeśli nie są zadowoleni z ich jakości. Jeden taki przypadek, który spotkał producenta szczepionki oksfordzkiej, opiszę pod koniec. Teraz przyjrzyjmy się danym, które wprowadziły trzy wspomniane szczepionki na salony.

W badaniu Pfizera wzięło udział 43 tys., w badaniu Moderny 30 tys., a w badaniach klinicznych Oxford-AZ 24 tys. osób – czyli łącznie około stu tysięcy. W każdym przypadku połowa uczestników otrzymała szczepionkę, a połowa placebo – wkłucie z preparatem niezawierającym testowanej szczepionki, wykonywane w celach kontrolnych. W żadnym badaniu nie brały udziału kobiety w ciąży ani dzieci (Pfizer badał osoby w wieku 16 plus, a Moderna i Oxford osoby 18 plus). Uczestnicy tych badań reprezentowali całą populację: były tam więc osoby chude i otyłe, o rozmaitym pochodzeniu etnicznym, zdrowe i cierpiące m.in. na cukrzycę, białaczkę, nowotwory oraz choroby żołądka, serca, nerek, wątroby czy płuc (z wyłączeniem osób z chorobami układu odpornościowego, choć z udziałem chorych na AIDS).

Pierwsze wkłucia wykonano w kwietniu (Oxford) i lipcu (Pfizer, Moderna), co oznacza, że w momencie przygotowywania raportów najwcześniej zaszczepione osoby otrzymały swoje ostatnie dawki około trzech-czterech miesięcy temu, a średni czas obserwacji skutków szczepionki wynosił około dwóch miesięcy.

Skuteczność plus minus

Skuteczność szczepionki oblicza się prosto. Weźmy jako przykład produkt Pfizera. W grupie placebo, liczącej 21 720 osób, w czasie trwania badania na COVID-19 zachorowały dokładnie 162 osoby (interesujący fakt sam w sobie: w ciągu ok. dwóch miesięcy w szczytowej fazie pandemii zachorowało siedem osób na tysiąc). Tyle zwykłych, niezaszczepionych osób „powinno" więc zachorować. W grupie osób zaszczepionych, pod każdym względem identycznych (bierze się też pod uwagę ryzyko zawodowe i styl życia), zachorowało zaś osiem osób. Wniosek: szczepionka sprawiła, że zachorowało zaledwie 8/162, czyli ok. 5 proc. osób, jej skuteczność w zapobieganiu choroby to więc 95 proc. Podobne obliczenia dla szczepionki Moderny dały wynik 94 proc., a dla szczepionki oksfordzkiej: 70 proc.

To jednak tylko część prawdy: należy bowiem wziąć pod uwagę kwestię błędu statystycznego. Najłatwiej zrozumieć istotę problemu na przykładzie osób starszych. W badaniu Pfizera około 20 proc. osób było w wieku powyżej 65 lat, a 4 proc. (niecałe dwa tysiące) – powyżej 75 lat. Dwa tysiące to na pozór spora grupa, ale statystyki skuteczności oblicza się na podstawie zachorowań – te są zaś rzadkie: w grupie 75 plus zarejestrowano tylko pięć przypadków COVID-19, wszystkie w grupie placebo. Jak rozumieć ten wynik? ↦

Szczepienia w Polsce: akcja wciąż nie nabrała rozpędu

PONAD 700 TYS. POLAKÓW zaszczepiono od końca grudnia. Oznacza to, że po miesiącu od rozpoczęcia akcji nie udało się nawet zakończyć szczepień „grupy zero" – pracowników ochrony zdrowia. Tymczasem ruszyły zapisy seniorów z „grupy pierwszej". W minionym tygodniu korytarze przychodni i ulice przed nimi zapełniły się długimi kolejkami chcących zarejestrować się starszych ludzi. Epidemiolodzy ostrzegają, że dopuszczenie do takich sytuacji grozi rozniesieniem się koronawirusa w grupie najbardziej zagrożonej ciężkim przebiegiem COVID-19.

KLUCZOWYM PROBLEMEM jest niewystarczająca liczba dawek, którą dysponuje Polska. Pfizer ze względu na modernizację fabryki w Belgii czasowo ograniczył dostawy dla krajów Unii Europejskiej. Polski rząd tylko w niewielkim stopniu naruszył rezerwy przeznaczone na drugie dawki – co na cały tydzień zahamowało szczepienia „grupy zero". Miejsca dla seniorów skończyły się też niezwykle szybko – wielogodzinne stanie w kolejce lub „wiszenie" na linii telefonicznej w wielu przypadkach okazywało się bezowocne. Jak ujawnił Onet, rząd zaapelował do punktów szczepień, by nie rejestrowały nowych pacjentów na wolne terminy do 21 lutego. Akcja nie może nabrać rozpędu i nie nabierze jej jeszcze długo: kilka tysięcy punktów szczepień populacyjnych będzie przyjmowało tylko 30 pacjentów tygodniowo. Sytuacja nie poprawi się do czasu, aż w magazynach Agencji Rezerw Materiałowych nie pojawią się – masowo – szczepionki od innych producentów. ©℗ MAM

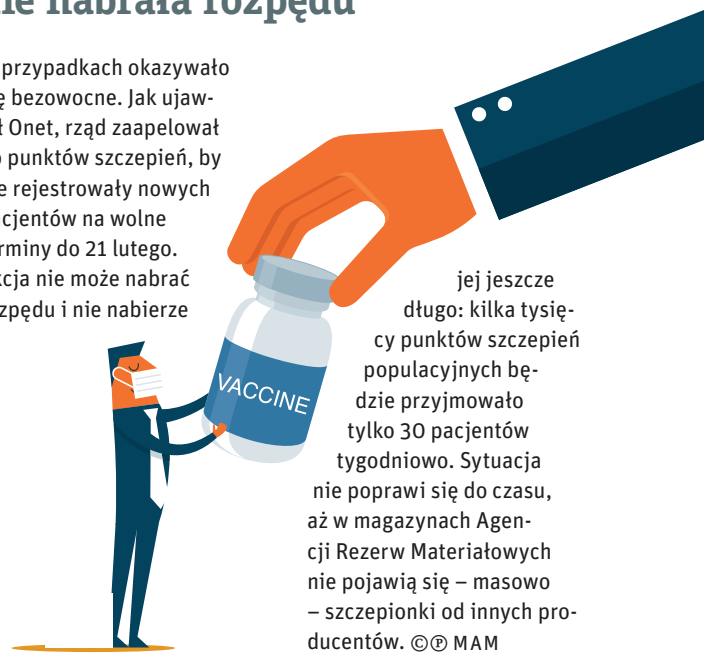

GETTY IMAGES

↦ Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że to świetnie – żadna z osób zaszczepionych nie zachorowała, a koronawirus dopadł tylko osoby niezaszczepione. „Naiwnie" obliczony wskaźnik skuteczności wynosi zatem 100 proc. To jednak tylko pięć przypadków... czy nie mogłoby się zdarzyć, że szczepionka w ogóle nie jest skuteczna dla osób najstarszych, a wynik 5:0 jest czysto przypadkowy? A co z wynikiem 162:8 – czy też może być kwestią przypadku?

Tu wkracza statystyka, zajmująca się ustalaniem, na ile konkretnie prawdopodobne jest, że dany wynik wyłonił się przypadkowo – albo, mówiąc inaczej, na ile niepewny jest ów wynik. Jednym z kluczowych parametrów statystycznych jest zaś przedział ufności (*confidence interval*, CI) – często podawany w postaci tzw. „95 proc. CI": wyraża on zakres jakiejś wartości, który jest pewien „na 95 proc.". Teraz możemy pomówić poważnie. Otóż w świetle wyniku 162:8, biorąc pod uwagę liczebność próby, jest pewne na 95 proc., że rzeczywista skuteczność szczepionki Pfizera mieści się gdzieś w zakresie 90,3-97,6 proc. Analogicznie skuteczność szczepionki Moderny to 94 proc. [95 proc. CI: 89,3-96,8 proc.], a oksfordzkiej 70 proc. [95 proc. CI: 54,8-80,7 proc.].

I tutaj ujawnia się cały problem z krótkim okresem badań klinicznych: w pewnych przypadkach po prostu nie zdążyło dojść do wystarczającej liczby zachorowań, aby poziom błędu był do przyjęcia. Dosadnie ilustruje to kwestia skuteczności szczepionki dla osób najstarszych. Skuteczność szczepionki Pfizera dla całej grupy 65 plus wynosi 94,7 proc. [95 proc. CI: 66,7-99,9 proc.], a dla szczepionki Moderny: 86,5 proc. [95 proc. CI: 61,4-95,2]. Krótko mówiąc, skuteczność jest niemal na pewno wyższa od ok. 60 proc., a najprawdopodobniej zbliżona do 90 proc. – nieźle! Dane dla osób w wieku 75 plus są jednak znacznie gorszej jakości. Choć „naiwnie" obliczony poziom skuteczności szczepionki Pfizera w grupie 75 plus to 100 proc., w rzeczywistości podany w raporcie przedział ufności to -13–100 proc. (tak, minus trzynaście). Pięć przypadków to więc zbyt mało, by na ich podstawie wyciągać solidne wnioski dotyczące skuteczności szczepionki w tej grupie wiekowej.

W przypadku szczepionki Moderny wynik dla grupy 75 plus nie jest w ogóle podany w artykule, choć w suplemencie mu towarzyszącym można wyczytać, że w badaniu wzięło udział 1309 osób w tym przedziale wiekowym, a więc jeszcze mniej niż w badaniu Pfizera – czyli niemal na pewno wynik jest równie niepewny. Producent szczepionki oksfordzkiej podaje po prostu, że liczba osób w wieku powyżej 55 lat (sic!) była w ich badaniu na tyle mała, że nie pozwala na chwilę obecną w o g ó l e na rzetelną ocenę jej skuteczności dla całej tej grupy wiekowej.

Skutki uboczne

W badaniach klinicznych skutki uboczne dzieli się zwykle na pięć kategorii (*grades*), od 1 do 5, oznaczających kolejno skutki: 1) łagodne – nieprzeszkadzające w życiu; 2) umiarkowane – kłopotliwe, utrudniające funkcjonowanie; 3) silne – uniemożliwiające normalne funkcjonowanie ; 4) poważne – wymagające hospitalizacji, będące zagrożeniem dla życia; oraz 5) śmiertelne.

Producentów szczepionek – ze względów prawnych – najbardziej interesują kategorie 4 i 5. Zgony i hospitalizacje wśród uczestników testów oczywiście nastąpiły: mówimy wszak o dziesiątkach tysięcy ludzi monitorowanych miesiącami. Na liście jednostek chorobowych zarejestrowanych u uczestników badań znajdują się niemal wszystkie poważne choroby znane medycynie. Analizy nie wykazały jednak, aby takie właśnie przypadki poważne i śmiertelne występowały częściej w grupie zaszczepionej niż w grupie placebo. Na tym podstawowym poziomie szczepionki są więc bezpieczne. Warto o tym pamiętać, gdy usłyszy się, że ktoś doznał zawału serca w ciągu doby po podaniu szczepionki. Cóż, ludziom przytrafia się zawał serca również w ciągu doby po czesaniu psa. Dodajmy, że we wszystkich trzech badaniach łącznie (czyli na sto tysięcy osób monitorowanych przez

Mutacje a odporność

POD KONIEC 2020 R. w RPA oraz Wielkiej Brytanii wykryto szczepy wirusa, które błyskawicznie wypierały w populacji inne warianty – co sugeruje, że oba są bardziej zakaźne od swoich krewniaków (zgodnie ze wstępnymi szacunkami wariant „brytyjski" nawet o ok. 50 proc.). W obu nowych szczepach wirusa doszło do kilku mutacji w białku S – czyli w „wytrychu", przy pomocy którego koronawirus dostaje się do wnętrza ludzkich komórek i tam namnaża. Na podstawie tego samego białka obecnie dostępne szczepionki uczą układ odpornościowy rozpoznawać i atakować patogen. Pojawia się więc pytanie, co istnienie nowych szczepów, których obecność potwierdzono już w wielu miejscach na świecie, oznacza dla osób zaszczepionych? Jak na razie dysponujemy tylko wstępnymi wynikami badań. Sugerują one, że skuteczność szczepionek w przypadku nowych szczepów może być nieco niższa – ale nadal powinna być zadowalająca. Przynajmniej część przeciwciał wyprodukowanych przez układ odpornościowy po podaniu szczepionki zdolna jest do unieszkodliwienia zmutowanej wersji wirusa – ponieważ biorą one za cel różne obszary białka S. Mówi się także, że mutacje nie będą wpływać na zachowanie różnych komórek odpornościowych pomagających w zwalczaniu infekcji. Producentom w ostateczności zawsze pozostaje możliwość przygotowania odpowiedniej modyfikacji – co w przypadku technologii mRNA nie będzie trudne.

©℗ ŁK

GETTY IMAGES

średnio dwa miesiące) stwierdzono tylko jedną śmierć przypisaną COVID-19 (było to w grupie placebo).

Również i „lżejsze" skutki uboczne bywają jednak kłopotliwe. Przyjrzyjmy się, czego z grubsza może się spodziewać osoba przyjmująca szczepionki Pfizera i Moderny (Oxford-AZ nie podaje w swoim artykule częstości występowania odczynów „nie poważnych", czyli poniżej poziomu 4).

Ok. 80 proc. szczepionych odczuje ból (w porównaniu z 10-20 proc. u osób, którym wstrzyknięto sól fizjologiczną), z czego ok. 10-30 proc. umiarkowany (utrudniający życie codzienne), a ok. 1-3 proc. silny (taki, że „trudno się skupić"). Zaczerwienienie i opuchlizna wystąpią u ok. 1 osoby na 10. W ciągu 1-3 dni po wkłuciu nieco więcej niż połowa osób będzie odczuwała zmęczenie, ból głowy, ból mięśni lub ból stawów (w różnych kombinacjach). Po lek przeciwgorączkowy sięgnie ok. 30-50 proc. osób, a u ok. 10 proc. (zwłaszcza przy drugiej dawce, która w obu szczepionkach tolerowana jest gorzej) pojawi się gorączka powyżej 38°C. To nie zdarza się już prawie nigdy w grupie placebo. U mniej więcej jednej osoby na 100 gorączka przekroczy 39°C, ale przypadki przekroczenia 40°C są bardzo rzadkie i zbliżone do „szumu" statystycznego. Dodajmy, że osoby starsze tolerowały szczepionkę nieco lepiej niż młodsze – a może po prostu nie zwracały uwagi na skutki uboczne lub rzadziej je zgłaszały?

Bez objawów

Od samego początku badań nad szczepionką głośno dyskutowane było przypuszczenie, że wszelkie szczepienia domięśniowe mogą nie wytworzyć odporności „sterylizującej" w górnych drogach oddechowych (których błona śluzowa wyposażona jest jak gdyby w swą własną gałąź układu odpornościowego). W takim razie chronione byłyby płuca – szczepionka zapobiegałaby ostrym przypadkom COVID-19, ale nie infekcji bezobjawowej. Osoba zaszczepiona mogłaby więc mieć wirusa w nosogardle i zarażać.

Z punktu widzenia badań klinicznych sprawa jest prosta: we wszystkich trzech przypadkach monitorowano wyłącznie chorobę z objawami. Aby ktoś został uwzględniony jako „chory na COVID-19", musiał najpierw zgłosić się z jednym lub więcej spośród typowych objawów (gorączka, kaszel, trudności ze złapaniem oddechu, utrata węchu itp.), a następnie uzyskać wynik dodatni w badaniu laboratoryjnym na obecność wirusa. Wszyscy trzej producenci piszą więc wyraźnie, że zebrane przez nich dane nie są w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy ich szczepionki zapobiegają infekcji bezobjawowej i zarażaniu przez osoby zaszczepione. Wstępne oszacowanie skuteczności szczepionki w zapobieganiu infekcji bezobjawowej przedstawił Oxford, jednak „słupki błędu" są gigantyczne (skuteczność 27 proc. [95 proc. CI: -17–55 proc.]). Wydaje się więc, że osoby zaszczepione powinny stosować się do reżimu sanitarnego i myśleć o sobie jako o kimś, kto wciąż może potencjalnie zarażać koronawirusem.

Kolejne ważne pytanie dotyczy tego, jak długo utrzymuje się odporność. I tutaj nie otrzymujemy jednak odpowiedzi.

> Osoby zaszczepione powinny stosować się do reżimu sanitarnego. Nie da się wykluczyć tego, **że mogą potencjalnie zarażać innych.**

Raz, oczywiste ograniczenia czasowe. Nie da się odpowiedzieć na pytanie o utrzymywanie się odporności po pół roku, gdy raport pisze się cztery miesiące po zaszczepieniu pierwszej osoby i tego samego dnia, kiedy zaszczepiono ostatnią.

Co więcej, w artykułach brakuje informacji o poziomach przeciwciał we krwi uczestników. To już bardziej zaskakujące, a odpowiedź tkwi zagrzebana w protokołach badań klinicznych. Okazuje się, że poziomy przeciwciał u uczestników sprawdza się regularnie, ale w dużych odstępach (np. tydzień, dwa tygodnie, miesiąc – a potem dopiero pół roku) – i autorzy raportów Pfizera i Moderny „wpadli" właśnie w taką lukę. Dokładne dane poznamy dopiero po skończeniu badań, za około półtora roku. Ostateczną odpowiedź na pytanie o długotrwałą odporność przynieść zaś mogą tylko czas oraz szczegółowe badania, wykraczające poza prosty test laboratoryjny na poziom przeciwciał, który nie jest ostateczną wyrocznią w sprawie stanu naszej odporności.

Nie wiemy również na pewno, czy szczepionka będzie skutecznie chronić przed nowymi szczepami koronawirusa – nie dysponujemy jeszcze danymi, które pozwalałyby to jednoznacznie rozstrzygnąć, choć wstępne przewidywania są optymistyczne (zob. ramka).

A co z Oxford-AstraZeneca?

W porównaniu z preparatami Moderny i Pfizera badania kliniczne nad szczepionką Oxford-AZ przebiegały w dużo bardziej zawiły sposób – warto więc opisać je osobno, zwłaszcza że dobrze ilustrują ogrom problemów wiążących się z „przyśpieszoną ścieżką" badań klinicznych.

Na dobrą sprawę były to cztery badania kliniczne: jedno prowadzone w Brazylii, jedno w RPA i dwa w Wielkiej Brytanii. Gdy powstawał raport dla „The Lancet", dwa z nich wciąż były w fazie I/II, wskutek czego redaktorzy tego czasopisma odmówili wzięcia pod uwagę ich wyników, a cała pula 24 tys. uczestników została uszczuplona do 11 636 osób. Co więcej, w różnych badaniach stosowano różne placebo (czasem samą szczepionkę przeciw meningokokom MenACWY, czasem łącznie z solą fizjologiczną), różne metody dawkowania oraz różne odstępy między dawkami (od kilkutygodniowego po nawet kilkumiesięczny). Ba, w jednym z badań początkowo zapowiedziano podawanie tylko jednej dawki, jednak później – gdy okazało się, że dwie dawki sprawdzają się lepiej – zgłoszono zmianę protokołu i zaczęto doszczepiać uczestników. Dalej: w badaniach początkowo w ogóle nie brały udziału osoby w wieku powyżej 56 lat, które zaproszono później, i nawet teraz stanowią one zaledwie 12 proc. całej populacji: to dlatego skuteczność szczepionki w starszej grupie wiekowej nie mogła zostać ustalona.

Redaktorzy „The Lancet" początkowo nie zgodzili się na publikację tego raportu, twierdząc, że uczestników tych czterech badań nie można traktować jako jednej populacji testującej jedną szczepionkę. Autorzy wykonali więc na ich prośbę (właśnie dlatego na producentów nasyłamy recenzentów!) ↦

drugą turę analiz, włączając do niej starannie wyselekcjonowane podgrupy z każdego badania tak, aby ostatecznie tworzyły statystycznie jednorodną populację. Niestety mniejszą.

Casus szczepionki Oxford-AZ dobrze ilustruje problemy wynikające z doskonalenia swojego produktu na bieżąco. 27 grudnia prezes AstraZeneca, Pascal Soriot, ogłosił z dumą, że znaleziona została „zwycięska formuła" dla ich szczepionki – prawdopodobnie chodzi o jakiś wariant protokołu LD/SD (dawka niska/dawka normalna), który w raporcie rokował najlepiej. Rzecz w tym, że tego typu „odkryć" dokonuje się zwykle jeszcze przed rozpoczęciem fazy III, a nie na osiem dni przed zaszczepieniem pierwszej osoby (którą był 82-letni Brytyjczyk)... Czysto teoretycznie – w idealnym świecie – owa „zwycięska formuła" powinna być przecież testowana przez dwa lata w toku fazy III badań klinicznych.

Wnioski

Wygląda na to, że mamy przynajmniej dwie wysoce skuteczne – w grupie 18-65 lat – szczepionki, niemal na pewno niewywołujące żadnych poważnych skutków ubocznych niezależnie od wieku (choć u wielu osób może wystąpić szereg łagodniejszych objawów, rozwiewających się w ciągu dwóch-trzech dni). To znakomita wiadomość, biorąc pod uwagę to, jak poważne objawy może wywoływać choroba – i jak wiele ofiar wciąż pochłania. Wyniki skuteczności dla osób w wieku 65-75 lat są „obiecujące", jednak dla osób w wieku powyżej 75 lat nie możemy jeszcze opierać się na bezpośrednich danych. Pozostaje nam ogólna wiedza medyczna, z której wynika, że szczepionki skuteczne i bezpieczne w grupie 18-75 nie powinny dawać radykalnie różnych efektów w grupie najstarszej.

Intensywne prace nad szczepionkami doprowadziły zarazem do wielu odkryć, które powinny w przyszłości zaprocentować kolejnymi technologiami. Obiecująco zapowiada się zwłaszcza przyszłość szczepionek mRNA, które uznawane są za potencjalnie bezpieczniejsze (już choćby dlatego, że w ogóle nie wprowadzamy do organizmu wirusa, nawet osłabionego, tylko nietrwałe „ulotki") oraz łatwiej i szybciej poddające się modyfikacjom, choćby w reakcji na mutacje wirusa (zawarty w „ulotce" przepis możemy bardzo precyzyjnie zmieniać). Już teraz trwają prace nad szczepionkami mRNA przeciw grypie, eboli czy wściekliźnie, ale też zastosowaniem tej samej platformy w onkologii – układ odpornościowy można bowiem również próbować nasłać na nasze własne komórki nowotworowe.

Teraz pozostaje nam śledzenie kolejnych spływających danych. Każde następne zaszczepienie, każde zachorowanie i każdy odczyn niepożądany sprawiają, że słupki błędów na wykresach skuteczności i bezpieczeństwa szczepionek stają się węższe.

Już dziś producenci wiedzą więcej o działaniu swoich produktów, niż to wynika z cytowanych raportów, a pierwsze solidne niezależne doniesienia po szczepieniach masowych są optymistyczne, jak choćby opublikowane 6 stycznia przez amerykańską agencją zdrowotną CDC podsumowanie częstości występowania reakcji alergicznych u niemal dwóch milionów osób zaszczepionych produktem Pfizera: sytuacja nie budzi niepokoju.

Jak zaś wynika choćby z przypadku raportu Oxford-AZ, krytyczne oko niezależnych naukowców patrzących na komplet danych jest absolutnie niezbędne, aby rzetelnie ocenić zapewnienia producentów. Tempo wprowadzania szczepionek do obrotu jest tak duże, że polityka i służba zdrowia wyprzedzają naukę: kolejne miliony ludzi zostaną zaszczepione, zanim otrzymamy następny syntetyczny, jawny i „przetrzepany" przez redaktorów i recenzentów „NEJM" czy „The Lancet" raport, który – wszystko na to wskazuje – utwierdzi nas w przekonaniu, że warunkowe dopuszczenie do obrotu było dobrą decyzją.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Dlaczego same szczepionki nie zakończą pandemii

CHĘĆ ZASZCZEPIENIA I KRZEPIĄCE SŁOWA polityków to jedno; zakontraktowane dostawy i możliwość zapłacenia za nie – to drugie. Globalne, solidarne doświadczenie pandemii nie obejmuje już dystrybucji szczepionek, gdzie nierówności zwykle pokrywają się z majętnością poszczególnych krajów.

GETTY IMAGES

KANADA JESZCZE JESIENIĄ kupiła awansem po 10 dawek na obywatela. Unia Europejska zarezerwowała 600 mln dawek szczepionki Pfizer-BioNTech, czyli prawie połowę całej jej produkcji do końca 2021 r. Państwa o niższych dochodach muszą polegać na stworzonej przez WHO koalicji zakupowej COVAX, która zapłaciła za pół miliarda dawek i obiecała do nich równy dostęp. Pierwsze dostawy szczepionki na licencji AstraZeneca, przeznaczonej głównie dla krajów Afryki, opuściły już zakład w Indiach. Wystarczy ich jednak na zaszczepienie jednej piątej populacji – w tych państwach ochrona przed koronawirusem będzie dotyczyć tylko najbardziej narażonych.

POLITYKA TEŻ MA ZNACZENIE: chińskie i rosyjskie szczepionki rezerwują m.in. Turcja, Serbia, Meksyk i Nepal. Niektóre państwa dzielą się z sąsiadami: Australia programem szczepień obejmuje wyspy Oceanii, Chiny oferują dawki Mjanmie i Kambodży. Nadzieją na lepszy dostęp dla państw uboższych są nowe szczepionki – m.in. jednodawkowa Johnson & Johnson (miliard dawek do końca roku). Do 25 stycznia zaszczepiono 58 mln ludzi – 0,8 proc. populacji świata.

©℗ ŻYM

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Już dziś rejestracja w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto"** umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu **„Tygodnik" na ucho** co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Bezimienne

Czas od narodzenia do dorosłości Mojżesza zawiera się w dziesięciu biblijnych wersach. Mężczyzn w nich ze świecą szukać, poza stwierdzeniem faktu, że jeden z lewitów (ojciec naszego bohatera) żeni się z córką Lewiego. Sprecyzujmy, albowiem Biblia Tysiąclecia stwierdza tylko, że żona tegoż lewity wywodzi się z tego samego plemienia: ojcem matki Mojżesza rzeczywiście jest sam Lewi. Wedle tradycji Jochewed (Biblia Tysiąclecia: Jokebed) przychodzi na świat, gdy Jakubowy klan zmierza do Egiptu. Wówczas rachunek się zgadza: pod koniec Księgi Rodzaju wymienionych jest 69 potomków Jakuba, a wiemy wszak, że przybyli w siedemdziesiątkę. Jochewed wychodzi za mąż za swojego bratanka Amrama i – nie da się ukryć, że jako leciwa już niewiasta – obdarza go trójką dzieci. Miriam, Aaron i Mojżesz wyrosną na wielkich przywódców ludu Izraela i poprowadzą go przez pustynię ku ziemi obiecanej.

Midrasz mówi nam, że gdyby nie Miriam, Mojżesz nie zostałby w ogóle poczęty. Na rozkaz faraona, by zabijać nowo narodzonych hebrajskich chłopców, mężczyźni reagują odsunięciem się od żon. Mała Miriam mówi wtedy ojcu, że działanie mężczyzn jest gorsze niż decyzja samego faraona, gdyż władca dybie tylko na chłopców, a przez zrezygnowanych mężów nie urodzi się nikt: ani synowie, ani córki. Amram słucha swojej pięcioletniej pociechy i wraca do żony – dzięki temu Miriam i Aaron doczekują się braciszka.

Przez trzy miesiące po porodzie Jochewed ukrywa swojego synka w domu, a gdy nie daje już rady robić tego dłużej, puszcza go na wodę w wyściełanym wiklinowym koszyku z zewnątrz pokrytym smołą. Jakaż dramatyczna decyzja matki, która mnie – jako potomkini ocalałych z Holokaustu – przywodzi na myśl oddanie dziecka na aryjską stronę. Jochewed kładzie na wodę, a wyciąga z tej wody inna kobieta, która nadaje chłopcu imię.

Dalej siostra z oddali czuwa nad braciszkiem. Dopiero po przejściu przez Morze Sitowia poznamy jej imię: „prorokini Miriam, siostra Aarona”. Rabini wnoszą z tego, że dziewczynka prorokuje jeszcze przed urodzeniem Mojżesza: mama będzie miała syna, który wybawi Izraelitów. Kiedy chłopiec się rodzi, cały dom wypełnia się światłem i ojciec chwali córkę za spełnione proroctwo. Z kolei gdy trzeba się z nim rozstać, ojciec zarzuca córce, że jednak fałszywie prorokuje. Talmud tłumaczy: to dlatego Miriam patrzyła, co stanie się z bratem na rzece. Czy naprawdę tylko dlatego?

Tak jak Miriam ma czelność, by napomnieć ojca, podejmuje też dialog z córką faraona i dzięki temu Jochewed zostaje wynajęta jako mamka do własnego dziecka. W pierwszych chwilach życia Mojżesza ocalają kobiety nazwane nie imieniem, lecz relacją w stosunku do niego. Tak to jest z bohaterami... ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Mocny bodziec

„Szymon, Andrzej, Jakub i Jan przyszli z Jezusem do Kafarnaum. W szabat [Jezus] wszedł zaraz do synagogi i nauczał. Jego nauka budziła zdziwienie: uczył ich bowiem jak ten, który ma moc, a nie jak nauczyciele Pisma (...), tak iż jeden drugiego pytał: »Co to jest? Jakaś nowa nauka z mocą!«”. Najwidoczniej Jezus mówił takie rzeczy, które słuchaczom nie mieściły się w głowie. A że dotyczyły one tego, czym ludzie żyli, jednych wprawiały w zachwyt, innych doprowadzały do wściekłości, gdyż zmuszały do zajęcia własnego stanowiska, do powiedzenia Jezusowi „tak”, „nie”, „nie wiem”. Chyba coś takiego ma na uwadze papież Franciszek, kiedy radzi kaznodziejom, żeby „nie odpowiadali na pytania, których nikt im nie zadaje”.

Jezus nauczał z mocą. To znaczy, że Jego słowa zamieniały się w czyn. W synagodze w Kafarnaum ta moc przejawiła się w uwolnieniu nieszczęsnego człowieka od jego niedoli. Do dziś dzieje się tak samo. Leszek Kołakowski mówi: „Nie można podać »dowodów« boskości Jezusa, ale w sposobie, w jaki zmienia On moje życie, objawia mi się jako Słowo Boże. To w Jezusie znajduję Boga, nie dlatego, że akceptuję takie czy inne twierdzenie teologiczne, które wypowiedział, ale dlatego, że decyduję się iść za Jego wezwaniem. Przez tę decyzję nabieram zaufania do Boga i mogę już nie bać się przyszłości, ponieważ, choć przyszłość jest nieznana, jej sens wyznacza rzeczywista obecność Jezusa i jest to, z konieczności, sens zgodny z »boską« dobrocią”. Od wydarzenia w Kafarnaum upłynęło sporo czasu, ale Jezus nadal głosi dobrą nowinę. Ostatnio przez Franciszka, następcę Piotra Apostoła, doprowadził do spełnienia słowa wypowiedzianego przez jego poprzednika, Benedykta XVI.

Kardynał Christoph Schönborn po ukazaniu się *motu proprio* „Spiritus Domini” powiedział: „Zawsze należy się cieszyć, kiedy Kościół, kiedy papież jako pasterz Kościoła powszechnego, zaprasza do bardziej konkretnego zaangażowania w ewangelizację i w liturgię. Potrzeba bowiem głoszenia Słowa Bożego i to nie tylko w ramach służby liturgicznej. Ustanowienie kobiet i mężczyzn do tych posług to na pewno wielka zachęta do głoszenia Słowa Bożego. Oczywiście, można i trzeba to robić również bez oficjalnego ustanowienia przez Kościół, ale zarazem warto też przygotować się do pełnienia tych posług, a oficjalne ustanowienie daje tej misji większe znaczenie. Trzeba się zatem cieszyć z tego bodźca, który daje nam papież. Już Benedykt XVI podczas synodu w 2012 r. zachęcał wszystkich do posługi Słowu, choć dopiero teraz została ona formalnie ustanowiona”. A przed Benedyktem taki „bodziec” dali Paweł VI i Jan Paweł II. Niestety, tej radości w naszym Kościele jakoś nie widać. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Priorytety ewangelizacji

„Jezus (...) przywołał do siebie tych, których chciał (...). I ustanowił Dwunastu, aby Mu towarzyszyli, by mógł wysyłać ich na głoszenie nauki i by mieli władzę wypędzać złe duchy" (Mk 3, 13-14). Św. Hieronim tłumaczy ten fragment: *fecit Duodecim*, dosł. zrobił Dwunastu (to odpowiada najprościej greckiemu *epoiese*). Jezus „robi" Dwunastu, to znaczy czyni wspólnotę. I to właśnie tej wspólnocie zawierza głoszenie (*keryssein*).

A więc to nie jest tak, że Jezus wybiera spośród swoich uczniów kilkunastu, z których każdy zdolny jest do przepowiadania. Nie! Tworzy wspólnotę o nazwie Dwunastu, która będzie zdolna do przepowiadania. Najpierw jednak muszą doświadczyć jedności – poddać się pracy Jezusa, który z nich czyni „Dwunastu". I dlatego tak ważne jest sformułowanie: „aby Mu towarzyszyli" (grecki tekst jest nawet prostszy: „aby z Nim byli"). Będąc z Nim, odkrywają również coraz głębszą komunię między sobą; i przeciwnie: gdy przeżywają osłabienie relacji z Nim – oddalają się też wzajemnie od siebie. „Bycie z Nim" czyni z nich Kościół, czyli Ciało – stają się sobie bliscy i potrzebni: tak jak oko potrzebuje ucha i nosa, a ręka potrzebuje głowy i nogi. Ewangelizacja nie jest jedynie – ani najpierw – umiejętnością przepowiadania. Ewangelizacja jest najpierw trudem trwania i wzrostu w jedności. W jednym Ciele. We wspólnocie. W zespole. Wśród i z Dwunastoma.

Czy rzeczywiście w taki sposób o tym myślimy? Tworzymy całe szkoły ewangelizacji; w ich trakcie prowadzimy takie czy inne warsztaty; uczymy przepowiadania w szkołach homiletycznych; reżyserujemy rozmaite „dynamiki" ewangelizacyjne; uczymy pantomimy i tańca; rozpisujemy orędzie na łatwe do zapamiętania i kondensujące treść schematy i znaki; piszemy nową muzykę – wszystko dla głoszenia.

Czy z równą pasją uczymy, jak „być jedno"? Ile trudu potrafimy podjąć, by zachować jedność? Ile w nas jest determinacji, by nie rozwalić wspólnoty? By z niej nie wykluczać? I by się nie dać wykluczyć? Czy nie prostsze wydaje nam się myślenie typu: pójdę sam; z nimi wszystko staje się trudniejsze; sam powiem to najlepiej; z tamtym właściwie nic mnie nie łączy. Będę musiał rezygnować z moich własnych intuicji, czasami się wstydzić, a czasami – co gorsze – brać współodpowiedzialność za to, co sam zrobiłbym i lepiej, i inaczej.

A potem się dziwimy, że „nie działa". To jeden z momentów skrutacyjnych ewangelizacji – pytanie: nie „ile głoszę?", ale „ile głoszę razem z kimś? W zespole? W ekipie?". Owo „z kimś" nie musi mieć zresztą wymiaru fizycznego; może mieć inną – ale bardzo realną – formę, np. „ile głoszę razem z Franciszkiem?". Ale tak konkretnie: co z niego przeczytałem? Co mnie zainspirowało? Za którą z jego intuicji pastoralnych sam poszedłem? Którą uczyniłem punktem wyjścia w moim przepowiadaniu? ©

Człowiek został wygnany z raju – wypadł bowiem ze stanu zgodności ze swoją naturą.

DOROTEUSZ Z GAZY

Słyszę nieraz, jak mówią: „Odrzucam ten świat". Czy świat jest twój, że możesz go odrzucić?

RABBI ICCHAK MEIR Z GÓRY KALWARII

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (31 I – 7 II)

4. niedziela zwykła: Pwt 18, 15-20; Ps 95; 1 Kor 7, 32-35; Mk 1, 21-28;
Poniedziałek: Hbr 11, 32-40; Ps 31; Mk 5, 1-20;
Wtorek – Święto Ofiarowania Pańskiego: Ml 3, 1-4; Ps 24; Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40;
Środa: Hbr 12, 4-7. 11-15; Ps 103; Mk 6, 1-6;
Czwartek: Hbr 12, 18-19. 21-24; Ps 48; Mk 6, 7-13;
Piątek: Hbr 13, 1-8; Ps 27; Mk 6, 14-29;
Sobota: Hbr 13, 15-17. 20-21; Ps 23; Mk 6, 30-34;
5. niedziela zwykła: Hi 7, 1-4. 6-7; Ps 147; 1 Kor 9, 16-19. 22-23; Mk 1, 29-39.

POLSKA KONTRA GAFA

Temat cyfrowej suwerenności
przez lata w zasadzie u nas nie istniał.
Czy da się jeszcze nadrobić stracony czas?

RAFAŁ WOŚ

Suwerenność to ważne polskie słowo. Zwykło się uważać, że kraj i jego obywatele są suwerenni, jeśli mogą samodzielnie wybrać sobie przywódców, stanowić prawa i bez przeszkód kultywować własny język czy obyczaje. Ale rzeczywistość uczy nas co chwila, że do faktycznego korzystania z suwerenności potrzeba dużo więcej. Dramat Greków czy Portugalczyków w czasie kryzysu zadłużeniowego w strefie euro dobitnie pokazał, że prawo do emisji własnej waluty ma dla faktycznej suwerenności znaczenie kluczowe. Bez niej demokratyczni politycy mogą tylko bezradnie rozłożyć ręce i odpowiedzieć obywatelom: „a co my tam możemy?". Podobnie jest, gdy Białoruś czy Ukraina zostają przywołane do porządku poprzez zakręcanie im kurka z rosyjskim gazem. Suwerenność da się utracić bez strącania flag z urzędów państwowych i zajmowania terytorium przez obce wojska. Wiele wskazuje na to, że w XXI wieku do tego zestawu wymiarów suwerenności dodać trzeba będzie nowy rodzaj: suwerenność cyfrową. Czy jak kto woli – cybersuwerenność.

Żarty skończyły się z chwilą, gdy Facebook i Twitter wyłączyły konto Donalda Trumpa, a należący do Google'a YouTube zablokował publikowane przez niego filmy. Od tamtej pory trudno się dłużej upierać, że problemu nie ma. Każdy ma prawo do własnej oceny 45. prezydenta Stanów Zjednoczonych, ale uleganie Schadenfreude, że oto nielubiany polityk dostał po łapach, zamazuje sedno problemu. Warto sobie uświadomić, że Trump był przywódcą największego supermocarstwa wybranym w wolnych demokratycznych wyborach. Jeżeli więc prywatne i znajdujące się poza publiczną kontrolą korporacje mogą wedle swojego widzimisię cenzurować wypowiedzi polityka wyposażonego w jasny demokratyczny mandat, to znaczy, że w naszym świecie doszło do fundamentalnej zmiany układu sił.

Niby od dawna wiemy, że władza polityczna w liberalnej demokracji to coś w rodzaju teatru lalek, gdzie za sznurki pociągają inne siły, nad którymi nie mamy żadnej kontroli. Wygląda jednak na to, że te siły już nawet nie próbują ukryć ręki lalkarza, który bez ceregieli na oczach miliardów ludzi zdejmuje niepodobającą mu się pacynkę ze sceny. A co, jeśli tą pacynką będzie kiedyś „nasz" polityk? Nasze przedsiębiorstwo, nasz tytuł prasowy, nasz utwór czy dzieło artystyczne. Albo wręcz nasze państwo?

Wiedza zamiast maszyn

Ekonomiści od wielu lat zwracają uwagę, że to nie przelewki. Światowej sławy brazylijski ekonomista (polskiego zresztą pochodzenia) Ladislau Dowbor uważa, że punktem zwrotnym była pierwsza dekada XXI w. To wówczas światowy kapitalizm przeszedł ostatecznie od „epoki maszyny" do „epoki wiedzy". Zmiana jest kluczowa i przypomina to, co zdarzyło się dwieście lat temu, gdy „maszyna" zastąpiła „ziemię" – będącą głównym atrybutem faktycznej władzy w epoce feudalnej. Oczywiście nie jest tak, że wraz z nadejściem XIX w. ziemia przestała być ważna. Jednak stopniowo to właśnie właściciele maszyn (fabrykanci) stali się prawdziwymi władcami nowych czasów – a posesjonaci zeszli na dalszy plan. Zachodzący dziś proces przebiega podobnie. Widzimy właśnie, jak władza przechodzi od właścicieli maszyn do właścicieli wiedzy.

Z pozoru powinno nas to cieszyć. Wiedza jest przecież dobrem dostępnym każdemu człowiekowi. Problem w tym, że w XXI w. to nie my jesteśmy właścicielami naszej wiedzy. Ktoś nam ją sprzątnął sprzed nosa nie pytając w zasadzie o zdanie. Tym kimś są platformy cyfrowe. Mogą mieć oczywiście różne oblicza. Nasi dobrzy znajomi Google i Facebook to ledwie jedna z pięciu ich odmian (typologię ↦

KRYSTIAN MAJ / FORUM

Google Street View fotografuje Wisłę w Warszawie, 9 czerwca 2017 r.

↦ pożyczam od kanadyjskiego ekonomisty Nicka Srniceka). Takie „platformy reklamowe" pobierają dane użytkowników, analizują je, a przychody uzyskują z oferowania usług marketingowych. Innym typem platformy jest z kolei „chmura", czyli miejsce, gdzie zainteresowane firmy mogą przechowywać swoje dane. Na tym polu mocno rozpycha się kolejny wielki gracz – Amazon. Mamy też „platformy produktowe", np. wielkiego zwycięzcę pandemii – kalifornijski Netflix. Zarabia on na zamianie aktywów (filmy) w strumień świadczenia usług (streaming) pobierając z tego tytułu rentę. Są jeszcze platformy typu „lean" (po polsku „odchudzone" albo „szczupłe") – stanowią one coś jakby przyczółki branży Big Tech służące do kolonizowania kolejnych obszarów realnego świata usług. Przykłady to platforma przewozowa Uber albo *quasi*-hotelarska Airbnb. Ostatnim typem są „platformy przemysłowe". Tu obok graczy typu Google'a można spotkać starych wyjadaczy XX-wiecznej gospodarki: niemieckiego Siemensa albo amerykańskie General Electric. Budują one podłączone do sieci inteligentne narzędzia wytwórcze.

Prawo dostępu zamiast towaru

Oczywiście nie jest tak, że gospodarka oparta na cyfrowych platformach jutro czy pojutrze zdominuje światową gospodarkę. Trend jest jednak widoczny. Połóżmy na jednej szali wszystkie inwestycje sektora prywatnego w tzw. dobra niematerialne. Czyli w oprogramowanie, bazy danych, design, innowacje finansowe, szkolenia pracowników, badania rynku, reklamę. A po drugiej stronie połóżmy inwestycje tradycyjne: w maszyny, sprzęt, budynki etc. Zobaczymy wówczas, że w USA inwestycje w kapitał niematerialny dominują już od roku 2000. W Europie Zachodniej zmiana domknęła się ostatecznie po kryzysie lat 2008-09. W Polsce zaś jesteśmy dokładnie w tym momencie. Reguły gry „epoki fabryk" i „ery platform" różnią się zasadniczo i pewnie z tego powodu tak długo nam zajęło połapanie się, na czym polega nowa sytuacja, w której się znajdujemy.

Gdy sto lat temu Henry Ford chciał zarabiać więcej, musiał też więcej wyprodukować. Ford był na tyle inteligentny, że rozumiał także, iż jego towar musi jeszcze znaleźć nabywcę. To dlatego nie wahał się dobrze płacić robotnikom wedle zasady, że „samochody nie kupują samochodów. Samochody muszą być kupione przez ludzi, których musi być na te samochody stać". Big Tech działa inaczej. Raczej nie oferuje kupna. Tym, co daje nam platforma, jest „prawo dostępu". Pewnie stąd bierze się złudzenie, że o ile stare branże – sprzedawcy samochodów, ubrań albo sprzętu AGD – ciągle chcą nam coś sprzedać, to na platformy przychodzimy sami z własnej nieprzymuszonej woli. Trochę jak Jaś i Małgosia do smakowicie wyglądającej piernikowej chatki.

Bo na tym polega właśnie zarabianie pieniędzy przez cyfrowe platformy. Nikt nas nie zmusza do korzystania z ich usług. Bez bycia na ich platformie jesteśmy jednak odcięci: od kontaktu z przyjaciółmi, od rozrywki, od informacji. Słowem: od życia. „Dwa miliardy ludzi nadal gotują używając w tym celu drewna opałowego, a ponad miliard nie ma dostępu do elektryczności, ale nikt się tym nie przejmuje. O inkluzji cyfrowej mówi za to każdy. Ku uciesze Big Techu trwa więc pokrywanie planety komputerami czy smartfonami, które muszą być wszędzie: w każdym domu, samochodzie, urzędzie i kieszeni" – zauważa Dowbor.

Taki układ jest dla platform cyfrowych niezwykle wygodny. Nie dość, że użytkownicy im (coraz częściej) płacą, to jeszcze biorą one (bez pytania) nasze dane, które sprzedają dalej z olbrzymim zyskiem. Na koniec zaś są oklaskiwane jako dobroczyńcy ludzkości.

Globalni giganci Big Tech długo cieszyli się wizerunkiem sympatycznych i nieszkodliwych geeków w klapkach i słonecznych okularach. Źli byli zawsze jacyś „inni": producenci ropy i broni, wilki z Wall Street. Albo „janusze biznesu" wyzyskujący robotników. Oni zaś dobrze wykorzystali ten czas, pozując na forpocztę postępu. Można to pokazać na drobnym, lecz znaczącym przykładzie. W roku 2000 grupa informatyków i inżynierów z Georgia Tech rozpoczęła projekt Aware Home. Chodziło o stworzenie domu, który będzie w pełnej symbiozie ze swoimi mieszkańcami, dzięki czemu będzie mógł im lepiej służyć.

Na pierwszy rzut oka wygląda, jakby marzenie się spełniało. W 2018 r. wartość globalnego rynku tzw. inteligentych domów wyniosła 36 mld dol. A do 2023 r. ma wzrosnąć do 151 mld. Jest jednak zasadnicza różnica pomiędzy pierwotnymi idealistycznymi celami tej „domowej symbiozy" a rzeczywistością „inteligentnego domu". Dwadzieścia lat temu podstawowym założeniem budowniczych Aware Home było to, że dane zbierane na temat jego mieszkańców (co jedzą, ile śpią, o czym rozmawiają) muszą pozostać w samym domu. I służyć tylko i wyłącznie temu, by technologia lepiej służyła człowiekowi. Dzisiejsze inteligentne domy traktują te wszystkie informacje jak surowiec. Stało się tak dlatego, że firmy dostarczające technologie budujące inteligentne domy w sposób jednostronny przyznały sobie prawo do ich wykorzystywania i eksploatowania.

Kiedy państwo abdykuje

Przytoczony przykład pochodzi od filozofki Shoshany Zuboff. Jej książka „Wiek kapitalizmu inwigilacji" ukazała się właśnie po polsku. Zuboff dowodzi w niej, że nie mamy tu do czynienia z nadużyciem, lecz z nową logiką działania, którą określa mianem „kapitalizmu inwigilacji i nadzoru". Za pioniera tego procesu Zuboff uważa Google'a. Inni poszli w jego ślady. I dziś mamy tak, że Google zmapował internet, Facebook zrobił to samo z rynkiem mediów, Amazon z handlem, Netflix zaś z branżą filmową. To właśnie jest (wraz z firmą Apple) słynna GAFA – a po dodaniu Netflixa nawet *nomen omen* FANGA. Ten współczesny cyfrowy kartel można sobie wyobrazić przez analogię do XIX-wiecznych mocarstw kolonialnych, które nad wielkimi mapami dzielą między siebie świat na strefy wpływów.

Podział łupów nie odbywa się jednak w próżni. Owszem, GAFA bez trudu radzi sobie z konkurencją, którą napotyka po drodze – jednych odcina od rynków czy klientów, innych zaś wykupuje. Ale w pędzie do kolonizacji kolejnych dziedzin Big Tech zderza się jednak z graczami, których (przynajmniej oficjalnie) wykupić nie może. To znaczy z państwami. Oczywiście państwa i instytucje publiczne z platform oraz ich technologii korzystają (o czym przekonać się mógł każdy rodzic czy pracownik w dobie pracy i nauki zdalnej). Istnieje jednak pole, gdzie interesów platform cyfrowych po prostu nie da się pogodzić z interesami państw. Ktoś musi ustąpić. I tak dochodzimy do pojęcia cyfrowej suwerenności. Co to takiego?

„Suwerenny cyfrowo jest ten, kto podejmuje decyzje co do zbanowania lub nie, płacenia podatków i szanowania prawa lub nie" – uważa Jan Zygmuntowski, prezes Fundacji Instrat i jeden z pio-

nierów polskich rozważań na ten temat cyfrowej suwerenności. Zdaniem Nikodema Bończy-Tomaszewskiego – prezesa spółki Skarbu Państwa Exatel – takie stawianie sprawy jest zbyt maksymalistyczne. Uważa on, że aby odzyskać cybersuwerenność, Polska musi skupić się na zapewnieniu swoim obywatelom bezpiecznego i swobodnego poruszania się w cyberprzestrzeni. „To całkiem jak z tradycyjną suwerennością. Jeśli obywatele mogą swobodnie żyć i poruszać się po kraju, to znaczy, że państwo jest suwerenne" – dodaje.

Aby odpowiedzieć na pytanie, czy Polska jest krajem cyfrowo suwerennym, zarówno Zygmuntowski, jak i Bończa-Tomaszewski proponują zrobienie kilku kroków wstecz. – Nie mam żadnych wątpliwości, że III RP zmarnowała potencjał z czasów PRL, zwłaszcza z epoki Gierka, który mógł posłużyć do zapewnienia jej cybersuwerenności – ocenia Zygmuntowski. – Do dziś korzystamy ze stworzonych w latach 70. informatycznych systemów ewidencji ludności PESEL oraz REGON. Polska ludowa wykształciła pokolenie inżynierów i programistek, a także zbudowała podwaliny przemysłu elektronicznego. Przykładem są słynne wrocławskie zakłady Elwro. W rankingu ECI badającym poziom gospodarczego wykorzystania wiedzy i techniki jesteśmy dziś parę pozycji niżej niż za Gierka. Uwalniając się z zamknięcia w bloku wschodnim mieliśmy szansę wykorzystać bazę przemysłową i potencjał kadr naukowych. Scenariusz ten się jednak nie zrealizował, a dziś korzystamy z kontrolowanej za granicą infrastruktury cyfrowej i sprowadzamy produkty wysokiej techniki – wylicza.

Bończa-Tomaszewski nie cofa się aż tak daleko. Jego zdaniem kluczowym wydarzeniem prowadzącym do faktycznej utraty cybersuwerenności były lata 90. Chodzi zwłaszcza o prywatyzację Telekomunikacji Polskiej oraz budowę sieci telefonii komórkowej. – Tamte procesy zostały sprowadzone do dostarczenia jak najtańszych cen dla użytkownika końcowego, bez myślenia o którymkolwiek ze strategicznych wymiarów nabierającej już wtedy tempa rewolucji cyfrowej – uważa. W efekcie przez wiele kolejnych lat nie było w Polsce żadnych instytucji, na których można by się oprzeć myśląc na serio o cybersuwerenności. Ani prawie żadnej infrastruktury, na bazie której można by ją budować.

Platformy cyfrowe nie oferują nam kupna czegoś, tylko „prawo dostępu".

Pewnie stąd bierze się złudzenie, że o ile stare branże ciągle chcą nam coś sprzedać, to na platformy przychodzimy z własnej woli.

Polski światłowód i satelita

Państwo i obywatele odczuwają to na wielu polach. Z regułami gry wyznaczonymi przez cyfrowy kartel GAFA mierzą się np. polscy sklepikarze dyskryminowani na Amazonie, właściciele stron, których dane zasysa Google, albo polscy wydawcy prasy, którym przez lata cyberpotentaci nie chcieli płacić za udostępnianie ich treści. W żadnym z tych przypadków polskie państwo nie miało (i nie ma nadal) obywatelom do zaoferowania większego wsparcia. To dlatego przez lata mogliśmy się tylko przyglądać, jak Uber wyzywa branżę taksówkarską na wyniszczającą wojnę o to, kto przewiezie taniej. A portale oferujące krótkoterminowy najem zmieniają rynek mieszkaniowy w najbardziej turystycznych dzielnicach Krakowa czy Trójmiasta.

Ważnym testem dla polskiej cybersuwerenności była sprawa tzw. podatku od usług cyfrowych, którego płatnikiem miała być właśnie GAFA. O potrzebie wprowadzenia takiej daniny mówili głośno najważniejsi politycy rządu PiS z premierem Morawieckim na czele. Przez dobre trzy lata koncepcja rozbijała się jednak o opór i lobbing ze strony koncernów. Na koniec GAFA nie wahała się nawet szukać wsparcia u amerykańskiego rządu. Doszło więc do tego, że w czasie wizyty w Polsce w 2019 r. wiceprezydent USA Mike Pence dziękował prezydentowi Andrzejowi Dudzie za... rezygnację z podatku cyfrowego, który „utrudniłby polsko-amerykańską wymianę handlową". Polski rząd bynajmniej żadnej takiej rezygnacji nie ogłosił, wystąpienie zinterpretowano zaś jednoznacznie jako ostrzeżenie, że Waszyngton nie życzy sobie opodatkowania kartelu GAFA. Dopiero w czasie pandemii – i trochę chyłkiem, przy okazji tarcz antykryzysowych – udało się polskiemu rządowi wprowadzić opłatę od „rozpowszechniania audiowizualnych usług medialnych" i przekazać zebrane środki Polskiemu Instytutowi Sztuki Filmowej na wsparcie doświadczonej koronawirusem branży. Tym samym udało się delikatnie opodatkować takich graczy jak Netflix, HBO czy Amazon. Wprawdzie do jednego worka z nimi wpadli polscy gracze, jak Cyfrowy Polsat czy CDA, ale lepszy rydz niż nic.

Inne kraje nie radzą sobie z dyktaturą GAFA wyraźnie lepiej. Dość powiedzieć, że na forum Unii Europejskiej czy OECD jak dotąd nie udało się wypracować nawet jednolitego stanowiska w sprawie podatku cyfrowego. I dziś jest tak, że tylko mniej więcej połowa krajów Unii zdobyła się na jakieś rozwiązania – pozostałe czekają na rozwój wypadków. Wciąż największym sukcesem na wojnie państw z GAFA pozostaje więc przyjęte w wielkich bólach RODO (Rozporządzenie Ogólne o Ochronie Danych Osobowych) z 2016 r. Zawiera wprawdzie wiele strzelistych obietnic, takich jak „prawo do bycia zapomnianym w sieci", „prawo do przenoszenia danych", w praktyce jednak te prawa bez dochodzenia ich przed sądami są niestety martwą literą.

Pozostaje więc tylko nadrabianie zaległości – tam gdzie to jeszcze możliwe. Exatel razem z Polskim Funduszem Rozwoju i operatorami sieci komórkowej zaangażowany jest m.in. w projekt rozbudowy tzw. polskiego 5G. Inne inicjatywy to budowa polskiego światłowodu pod Atlantykiem. Połączyłby on Pomorze ze Wschodnim Wybrzeżem USA i mogłaby z niego korzystać nie tylko Polska, ale także inne kraje regionu. Albo pomysł wystrzelenia polskiego satelity – który umożliwiałby np. polskim dyplomatom bezpieczną komunikację, a rolnictwu czy logistyce mógłby zagwarantować dostęp do zdjęć satelitarnych.

To jednak melodia przyszłości (projekt satelity ma zostać zrealizowany za trzy lata). Dlatego Jan Zygmuntowski mówi o konieczności wyjścia poza neoliberalny paradygmat: o krajowych i europejskich dostawcach usług w chmurze czy rozbudowie cyfrowych platform spółdzielczych. Problem w tym, że z rzeczywistością kapitalizmu inwigilacji i nadzoru musimy sobie radzić już. Zegar tyka, a my nie wiemy, kiedy następny poważny egzamin z cyfrowej suwerenności.

©℗ RAFAŁ WOŚ

Bajki robotów

MAREK RABIJ

W kwestii robotyzacji rynku pracy udało się zamknąć pracowników w potrzasku pedagogiki wstydu. W obawie przed łatką współczesnych luddystów nie zadajemy nawet pytań o własną przyszłość.

Początek marca ubiegłego roku. Koronawirus sroży się już w Europie. Kolejne kraje zaostrzają przepisy sanitarne, uziemiają linie lotnicze i zamykają granice. Krwawią również giełdy, warszawska nie jest wyjątkiem; szczególnie głęboko dołują akcje tzw. sieciówek, firm odzieżowych i obuwniczych, które produkcję przeniosły do sparaliżowanej Azji. Teraz ten sam koronawirus sprawia, że stracą także punkty sprzedaży ulokowane głównie w zamykanych przez rząd centrach handlowych. Na wykresie giełdowym cena akcji jednej z nich – polkowickiego producenta obuwia CCC – zjeżdża w kilkanaście dni z prawie 80 do niemal 20 zł.

Grudzień. Premier Morawiecki ogłasza kolejny lockdown i ponownie zamyka centra handlowe, ale kurs CCC zmierza w stronę dawno niewidzianego pułapu 90 zł za akcję, jakby lekceważąc decyzje rządu. Tuż wcześniej firma podała jednak do wiadomości wyniki za trzeci kwartał, w którym sprzedaż online wzrosła rok do roku aż o 61 proc. Niemal wszystkie sprzedane w ten sposób buty wyjechały z tego samego, w pełni zautomatyzowanego magazynu o powierzchni 23 tys. metrów kwadratowych, w którym na potencjalnych nabywców czeka ponad 600 tys. par butów.

Liczba osób zatrudnionych do obsługi nawet 300 tys. paczek dziennie? Osiem.

Eksperci są zachwyceni

Styczeń 2021 r. Jeden z największych polskich portali donosi, że „raport opublikowany przez Międzynarodową Federację Robotyki (IFR) za rok 2019 przynosi pozytywne informacje o polskim rynku, który oparł się globalnemu trendowi spadkowemu".

W 2019 r. liczba dostarczonych robotów przemysłowych na świecie wyniosła ponad 373 tys. (spadek o 12 proc.). Polska „z wynikiem 2 642 nowych instalacji (w porównaniu do 2 651 w roku 2018) wygląda na tym tle bardzo dobrze", potwierdza to 14. miejsce w rankingu sprzedaży robotów przemysłowych. Ogółem firmy w Polsce zaopatrzyły się już w 15,8 tys. robotów. Co trzeci trafił do którejś z montowni motoryzacyjnych.

W tej beczce miodu znajduje się łyżka dziegciu w postaci wciąż małego nasycenia polskiej gospodarki robotami. „Pomimo systematycznej poprawy sytuacji oraz wzrostu rynku robotów w Polsce, nasz kraj wciąż znajduje się poniżej średniej światowej (113) pod względem liczby robotów na 10 tys. pracowników. Według IFR obecnie współczynnik gęstości w polskim przemyśle wynosi 46".

Powyższa wiadomość warta jest zacytowania nie tylko z uwagi na przywołane w niej dane. Stanowi także wzorcowy przykład dwubiegunowej polskiej narracji o robotyzacji, w której miejsce faktów dawno zajęły emocje. Wystarczy rzut oka na wyniki wyszukiwania w Google. Słowo to pojawia się tu zwykle w kontekście takich haseł jak efektywność, zysk, konkurencyjność czy postęp – i najczęściej bez choćby cienia refleksji, że jak każdy proces, i ten niesie także skutki uboczne. Gdy o nich mowa, opowieść skręca zazwyczaj o 180 stopni, zmieniając się w listę hiobowych wieści z gospodarki, w której niebawem zabraknie pracy dla milionów ludzi.

Z bliżej nieznanych powodów tematyka ważna dla niemal każdego dorosłego Polaka trafia do niego najczęściej w formie karykatury wyolbrzymiającej – zależnie od pożądanego efektu końcowego – pozytywy lub negatywy. „Nowe miejsca pracy będą prawdopodobnie tworzone w takim tempie, w jakim roboty będą je likwidować w przemyśle, będą jednak wymagać innych kwalifikacji niż te, których wymaga się w fabrykach czy usługach podatnych na automatyzację" – nawet do bólu rzeczowa „Rzeczpospolita" mówi ostatnio językiem lobbystów od automatyzacji produkcji. Innego – który nie trąciłby luddyzmem (XIX-wieczny ruch protestu przeciw mechanizacji znany z niszczenia maszyn fabrycznych), ale też nie unikał trudnych pytań – nie znamy.

W tym kontekście ciekawe są wyniki zeszłorocznej edycji badania firmy ADP („The Workforce View in Europe 2019"). Objęto nim ponad 10 tys. zatrudnionych na ośmiu kluczowych rynkach Europy: w Polsce, Francji, Niemczech, Włoszech, Holandii, Hiszpanii, Szwajcarii i Wielkiej Brytanii. Większość badanych jest przekonana, że nowe technologie nigdy nie odbiorą im pracy. Najmniej pewni tego są Brytyjczycy (61 proc.), najbardziej Holendrzy (80 proc.). W Polsce również duża grupa, 74 proc. badanych, nie obawia się o przyszłość swojego zawodu.

Zwycięzca bierze wszystko

Jedno nas usprawiedliwia. Choć John Maynard Keynes już w 1930 r. pisał o zbliżającej się epoce „bezrobocia tech-

KACPER PEMPEL / REUTERS / FORUM

Nowa zautomatyzowana linia produkcyjna volkswagena craftera w fabryce we Wrześni koło Poznania, wrzesień 2016 r.

nologicznego", debata o wpływie automatyzacji na rynek pracy przez dekady toczyła się właściwie wyłącznie na podstawie czysto teoretycznych modeli ekonomistów. Znaczenie robotów w produkcji, nie mówiąc o usługach, długo utrzymywało się na zbyt niskim poziomie, by widzieć w nich coś więcej niż ciekawostkę, ewentualnie element zapożyczony z dystopijnych wizji przyszłości.

Jak piszą Daron Acemoglu i Pascual Restrepo w artykule „Robots and Jobs: Evidence from US Labor Markets", nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie w latach 1993–2007 liczba zainstalowanych robotów w zakładach produkcyjnych wzrosła czterokrotnie, przyspieszenie automatyzacji nie zachęciło ekonomistów do dokładnego przebadania jego wpływu na sytuację na rynkach pracy. Wyjątkiem od tej reguły była książka „Koniec pracy" Jeremy'ego Rifkina.

W rezultacie miejsce analizy opartej na twardych danych zajęła popularna opowieść o robotach, które niszczą jedne miejsca pracy, tworząc jednocześnie inne, bazująca głównie na historycznych analogiach z czasów pierwszej i drugiej rewolucji przemysłowej. W maszyny, które nie zepchną *Homo sapiens* do ekonomicznego narożnika, a jedynie zmienią strukturę zatrudnienia i charakter wykonywanej przez niego pracy, z wyraźną ulgą uwierzyli zarówno badacze, politycy, jak i opinia publiczna. Problem w tym, że w świetle badań tandemu Acemoglu-Restrepo nie mamy najmniejszych powodów do optymizmu.

Dobroczynny, a w najlepszym razie neutralny wpływ automatyzacji pracy na jej warunki i zarobki samych pracowników zdaniem obu naukowców można było zaobserwować jedynie w warunkach mniejszej koncentracji kapitału oraz przy mniejszym zaawansowaniu technologicznym samych urządzeń. Ludzie wypchnięci z rynku pracy w jednym obszarze rzeczywiście mieli szanse znaleźć inne źródła utrzymania. Czwarta rewolucja przemysłowa, której symbolem są roboty sterowane przez sztuczną inteligencję, zdaniem ekonomistów nie będzie już dla naszej pracy tak wyrozumiała.

Autorzy badania szacują, że wzrost liczby robotów w gospodarce tylko o jedną sztukę w przeliczeniu na każdy tysiąc aktywnych zawodowo zmniejsza wskaźnik zatrudnienia o około 0,18-0,34 punktu procentowego, a wynagrodzenia – o 0,25-0,5 proc. Słowem – tym razem nie mamy co liczyć na inne miejsce pracy w miejsce zajętego przez roboty.

Wszyscy będziemy luddystami

Odpowiedź na pytanie o zasięg czwartej rewolucji przemysłowej nie sprowadza się jednak do kwestii technologicznych. Algorytmy, które niedawno radziły sobie najwyżej ze sterowaniem prostymi, powtarzalnymi procesami produkcyjnymi, bez większego trudu prowadzą już analizy ryzyka kredytowego, przejmują kierowanie pojazdami, obsługę klientów w infoliniach, a nawet zdalną diagnostykę najprostszych schorzeń.

W rywalizacji o miejsce na rynku pracy największym atutem człowieka paradoksalnie coraz częściej stają się właśnie koszty. Dobrym przykładem jest świat mediów: boty zdolne do prowadzenia w czasie rzeczywistym transmisji z zawodów sportowych czy opracowywania krótkich wiadomości agencyjnych na razie nie wchodzą szeroką ławą do redakcji nie dlatego, że radzą z tym sobie gorzej od ludzi. To koszty wdrożenia takiej technologii są zbyt wysokie w relacji do zarobków w spauperyzowanym obecnie zawodzie dziennikarskim, by operacja warta była wysupłania poważnych kwot. Przewaga kosztowa ludzkiej pracy oczywiście nie jest dana raz na zawsze, łatwo może ją uśmiercić chociażby efekt skali, który na pewnym etapie zredukuje cenę „redaktora-robota" do poziomu, w którym utrzymywanie ludzi na tym samym stanowisku straci rację bytu.

Według firmy doradczej McKinsey & Company technicznie możliwe jest już zautomatyzowanie jednej trzeciej czynności w 60 proc. dzisiejszych zawodów. Z kolei z raportu OECD (analiza sytuacji w 32 krajach uczestniczących w Międzynarodowym Badaniu Kompetencji Osób Dorosłych PIAAC) wynika, że przeciętna praca jest podatna na automatyzację w 48 proc. W 14 proc. zawodów ta podatność przekracza 70 proc., a w co trzecim sięga 50–70 proc., co oznacza już poważne zagrożenie konkurencją ze strony robotów. W Polsce ten wskaźnik znajduje się nieco powyżej średniej, bo wynosi 52 proc. Czynnikiem, który ↦

↦ dodatkowo hamował postęp robotyzacji rodzimego rynku pracy, były dotychczas niskie płace, ale i one rosły w ostatnich latach przed pandemią w średnim tempie 16 proc. rocznie.

Teraz do czynników napędzających tempo robotyzacji dołączyła pandemia, uzmysławiając pracodawcom, że roboty nie tylko nie biorą urlopów, ale też nie potrzebują kwarantanny. Polski Instytut Ekonomiczny, powołując się na dane firmy doradczej PwC, szacuje więc, że w najbliższej dekadzie automatyzacja może pozbawić miejsca pracy co drugiego Polaka zatrudnionego w przetwórstwie przemysłowym oraz w budownictwie, co trzeciego pracownika handlu i co piątego przedstawiciela zawodów związanych ze zdrowiem i opieką społeczną, a także blisko jedną na dziesięć osób pracujących w edukacji. Mowa o sektorach, w których na koniec 2019 r. pracowało łącznie aż 56,9 proc. czynnych zawodowo Polaków. Skala spustoszeń, jakie na polskim rynku pracy wywoła przyspieszenie robotyzacji, może być zatem potężna.

Cena pracy, wartość pracy

Choć na razie brzmi to wręcz niedorzecznie, do grona ofiar robotyzacji może dołączyć także skarb państwa. Szybko postępująca automatyzacja gospodarki prowadzić może do powstania gigantycznej luki budżetowej, spowodowanej spadkiem wpływów z podatków od osób fizycznych, której nie zrównoważą podatki od firm. Od strony czysto księgowej wygląda to prosto: coraz mniej pracy ludzkiej, którą fiskus tradycyjnie obciąża daninami publicznymi, i coraz więcej maszyn traktowanych przez przedsiębiorców jako inwestycja – czyli coś, co można zwyczajowo wliczyć do kosztów pozyskania przychodu.

Dobrym przykładem tej pułapki może być polski budżet, w którym już teraz zaledwie 9 proc. pochodzi z podatków od osób prawnych, ponad 15 proc. wpłacają doń natomiast osoby fizyczne.

Tempo robotyzacji przyspieszyła pandemia, uzmysławiając pracodawcom, że roboty nie tylko nie biorą urlopów, ale też nie potrzebują kwarantanny.

W 2019 r. efektywna stawka PIT (po odliczeniu wszystkich ulg) dla osób mieszczących się w pierwszym progu podatkowym wyniosła 14,07 proc., a dla podatników wchodzących w drugi przedział – 22,03 proc. Tymczasem korporacje zapłaciły CIT w średniej efektywnej stawce nieprzekraczającej nawet 7 proc.

Pamiętając o tej dysproporcji, nie sposób uwierzyć w narrację lobbystów od robotyzacji, którzy uspokajają, że nieuchronny spadek wpływów z PIT, spowodowany słabnącą aktywnością zawodową obywateli, będzie mógł zostać zrekompensowany czy to przez większą konsumpcję (obywatele bez pracy będą wprawdzie mieć więcej czasu wolnego, ale też mniej pieniędzy), czy wreszcie przez wyższe wpływy z CIT, wypracowane dzięki skokowemu zwiększeniu produktywności. Bardziej prawdopodobny wydaje się scenariusz, w którym cała nadwyżka zostaje w kieszeniach właścicieli firm dzięki arsenałowi sztuczek optymalizacji podatkowej.

Jak wynika z symulacji przeprowadzonej w 2019 r. przez Deutsche Bank Research, w skrajnie niekorzystnym scenariuszu (zmniejszenie zatrudnienia do połowy obecnego poziomu, przy stałej wysokości średnich zarobków) deficyt budżetowy krajów Unii Europejskich spowodowany przez rabunkową robotyzację rynku pracy może sięgnąć nawet 7 proc. PKB rocznie – co obecnie dałoby 1,28 bln euro, czyli niewiele mniej od wspólnotowego Budżetu Odbudowy, na który UE przeznaczy w latach 2021-27 1,82 bln euro.

W Polsce, jak podaje GUS, liczba aktywnych zawodowo mieszkańców wyniosła na koniec 2019 r. 16,9 mln osób. Liczba robotów zainstalowanych w gospodarce wzrosła w tym czasie o nieco ponad 2,6 tys. Zgodnie z wyliczeniami Acemoglu i Restrepo taki przyrost nie powinien mieć na razie zauważalnego wpływu na kondycję rodzimego rynku pracy. I faktycznie nie miał: w rok 2020 Polska wkraczała ze wskaźnikami rejestrowanego bezrobocia na poziomie 5,2 proc., w górę szły także pensje.

Pod koniec 2019 r. Polski Instytut Ekonomiczny szacował, że dynamika przyrostu liczby robotów w polskiej gospodarce, utrzymująca się do tej pory na średnim poziomie 19 proc. rocznie, nie powinna w kolejnych latach ulegać większym zmianom. Autorzy tamtej symulacji nie mogli jednak uwzględnić w niej lockdownu, który tysiące firm odciął nie tylko od klientów, ale też od własnych pracowników. Trudne doświadczenia czasu pandemii w połączeniu z rządowym programem ulg i zachęt inwestycyjnych (możliwość odliczenia do połowy kosztów zakupu automatów) prawie na pewno nadadzą robotyzacji w Polsce znacznego przyspieszenia. Trudno w tej chwili zgadywać, jak dużego – a tym samym nie sposób też szacować, jak szybko polski rynek pracy wejdzie na orbitę silnego oddziaływania robotów. Bo że kiedyś wejdzie – to właściwie pewne.

Do tej próby instytucje państwa polskiego będą przygotowane słabo lub wcale. W politycznym maglu gospodarka dawno przestała być traktowana poważnie. Politycy PiS lubią pozować na społecznie wrażliwych, ale nie radzą sobie z długofalowymi strategiami, zwłaszcza tymi, które wymagają dialogu i poszukiwania kompromisu, nie tylko miny twardego szeryfa. Opozycja również nie próbuje atakować obozu władzy wizją odpływających w siną dal miejsc pracy – być może kierując się przekonaniem, że na tak specjalistycznym poletku nie da się ugrać punktów w sondażach. Z kolei związki zawodowe za bardzo wciągnęły się w doraźną polityczną młockę, by odegrać właściwą sobie rolę sygnalistów. Nieuniknione zmiany na rynku pracy potoczą się więc w Polsce zapewne pod dyktando tych, którzy tematyką robotyzacji interesują się naprawdę. Pracodawców.

A przecież mówimy w gruncie rzeczy o czymś znacznie ważniejszym od samych miejsc pracy. To jest debata aksjologiczna. W świecie, w którym maszyny potrafią coraz więcej, ludzka praca traktowana wyłącznie jako towar będzie tylko tanieć. Może się w nim ostać jedynie jako wartość.

©℗ MAREK RABIJ

O robotach czytaj także w dziale Nauka.

RDC POLSKIE RADIO

MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 27 stycznia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

PEPE FRANCO / GETTY IMAGES

Osad milczenia

ANNA KIEDRZYNEK

Dzieci z mutyzmem dużo się uśmiechają, nawet gdy się boją. Otoczenie nie zwraca na nie uwagi: póki piszą klasówki i odrabiają lekcje, ich zachowanie nie budzi podejrzeń.

Kiedy moja córka miała trzy lata, jej nauczyciel w przedszkolu zadzwonił do mnie kilka miesięcy po starcie roku szkolnego, informując, że nadal nie wie, jak brzmi głos mojego dziecka" – tak rozpoczyna swój artykuł w „New York Timesie" izraelska dziennikarka Shoshana Kordova. „Moja córka nie odezwała się słowem ani do nauczycieli, ani do innych dzieci – pisze dalej. – Nie mówiła w ich obecności, choć w domu swobodnie gadała, krzyczała, śpiewała, wygłupiała się. Jednak jej zamiłowania do robienia hałasu i głupkowatych min nie można było dojrzeć przez ścianę lodowatej ciszy, którą wznosiła wokół siebie wśród obcych. W drodze do przedszkola czasami przerywała swoje opowieści w pół zdania, gdy tylko wyczuła, że ktoś się do nas zbliża; wyglądało to tak, jakby nagle wtyczka kontrolująca jej głos została wyjęta z gniazdka".

Gdyby nie czujność nauczyciela, Shoshana mogłaby jeszcze długo nie wiedzieć, że z jej córką dzieje się coś złego. Lekarze, u których były, wykluczyli u małej zarówno zwykłą nieśmiałość, jak i zaburzenia ze spektrum autyzmu. Okazało się jednak, że „ściana lodowatej ciszy", którą dziecko budowało wokół siebie poza domem, ma swoją nazwę. To mutyzm wybiórczy.

Psychiatra, doktor Agata Biernacka, która przyjmuje dzieci z mutyzmem, mówi, że jeszcze kilka lat temu świadomość na temat tego zaburzenia w Polsce była praktycznie zerowa. – Kiedy zaczynałam się tym interesować, wiedza o mutyzmie nie istniała w poradniach psychologiczno-pedagogicznych. Także sami psychiatrzy dziecięcy, choć uczą się o mutyzmie z podręczników, rzadko widują dzieci z tym zaburzeniem podczas specjalizacji. Może dlatego, że pracują wtedy na oddziałach szpitalnych, a dzieci z mutyzmem, czyli *de facto* z wysokim poziomem lęku, nie powinny tam trafiać.

Głos syna po trzech latach

O tym, jak może się to skończyć, świadczy przypadek chłopca, który przez trzy lata nie odzywał się do matki. Był to wynik traumy po pobycie w szpitalu. Dziecko miało mutyzm, którego przez lata nikt nie potrafił właściwie zdiagnozować. W domu chłopak porozumiewał się normalnie, a w szkole koledzy i nauczyciele przywykli do tego, że jest milczkiem. Jednak kiedy dorastał i oczekiwania wobec niego rosły, problem stawał się coraz trudniejszy do zignorowania. W końcu rodzice, z bezradności, zawieźli go na oddział i zostawili tam na kilka tygodni. Wtedy przestał mówić nawet w obecności najbliższych. Gdy trafił w końcu do dr Biernackiej, zaczęła od łagodzenia jego stanu lekami. Potem zaleciła terapię. Kiedy matka po trzech latach ciszy usłyszała głos syna, rozpłakała się.

Mutyzm wybiórczy nie jest chorobą – jest zaburzeniem, które polega na lęku przed mówieniem w określonych sytuacjach społecznych, np. w szkole. Nie ↦

świadczy też o niepełnosprawności intelektualnej: dziecko z mutyzmem najczęściej rozwija się prawidłowo, a w domu zachowuje się zupełnie normalnie. Nie zawsze też jest nieśmiałe lub wycofane – w obecności rodziców może być żywiołowe i hałaśliwe. Dziecko z mutyzmem może też bez problemu komunikować się z rówieśnikami poza szkołą, bo jego lęk uruchamia się tylko w obecności dorosłych. Bywa i na odwrót: dziecko mówi sąsiadce „dzień dobry", a blokuje się podczas zabawy z kolegami. Bywa i tak, że lęk paraliżuje je w każdym miejscu publicznym i nawet w obecności członków dalszej rodziny, np. dziadków.

Rozwój mutyzmu u dziecka może przebiegać różnie, są jednak pewne cechy, które dr Biernacka zauważa u większości swoich pacjentów. – Na zaburzenia lękowe częściej zapadają dziewczynki – mówi psychiatra. – Dzieci z mutyzmem uchodzą za najgrzeczniejsze, wręcz idealne. To jest w ogóle problem polskiej edukacji, w której grzeczność i „siedzenie cicho" są pożądane i świadczą o dostosowaniu dziecka do sytuacji i miejsca. Najwięcej uwagi poświęca się dzieciom niegrzecznym. Tymczasem u mnie jako lekarza dziecko przesadnie grzeczne od razu uruchamia czerwoną lampkę.

Biernacka podaje przykłady pacjentów, którzy trafili do niej późno, np. w piątej lub szóstej klasie. Tymczasem mutyzm można wyłapać już w przedszkolu. Im dziecko starsze, tym trudniej jest zaburzenie leczyć, bo na przypadłość podstawową, jaką jest lęk, nakładają się późniejsze niepokoje, traumy i zranienia. W najlepszym przypadku dziecko po prostu organizuje sobie jakoś życie społeczne pomimo milczenia, znajdując przyjaciół, którzy wyręczają je w mówieniu i tłumaczą przed dorosłymi; w najgorszym wpada do kategorii „dziwaków", z którymi nikt nie chce przebywać. Lęk społeczny u takiego dziecka przypomina trudny do usunięcia osad, który z czasem coraz bardziej wpływa na jego codzienne funkcjonowanie.

Taka duża i się nie wita

Renata poczuła niepokój po raz pierwszy, kiedy usłyszała od przedszkolanek, że jej córka woli bawić się sama. „Jak to sama?" – spytała. Wcześniej słyszała o Ani same dobre rzeczy. „Ma pani wspaniałe, grzeczne dziecko" – powtarzały wychowawczynie. Usypiały jej czujność. Sama

Renata zastanawia się, ile razy patrzyła na to, jak jej dziecko obezwładnia lęk, a ona brała to za lenistwo, nieśmiałość, wstyd. Albo myślała, że córka nie odzywa się, bo nie ma na to ochoty.

także odsuwała od siebie niepokój, kiedy Ania chowała się za nią, widząc idącą z naprzeciwka sąsiadkę. Renata krzyczała wtedy głośno i już z daleka „Dzień dobry!". Trochę po to, żeby dać małej dobry przykład, ale też po to, aby zadośćuczynić milczenie dziecka starszej kobiecie, zasłonić się przesadną uprzejmością i nie narazić córki na krytykę. Instynktownie chroniła Anię, ale z czasem i tak w słowach obcych dało się usłyszeć ledwie maskowaną pretensję: „To ona taka duża i nie mówi dzień dobry?". Ania, schowana za spódnicą matki, słysząc to, sztywniała. Na koniec przedszkola opiekunce wymsknęło się, że Ania to wspaniała dziewczynka i szkoda tylko, że cały czas chodziła taka obrażona.

Renacie rozhulał się instynkt. Wiedziała już, że musi za wszelką cenę chronić Anię, nie wiedziała tylko przed czym. „Może chodzi o zmiany?" – myślała. Ania słabo sobie z nimi radziła. Dwa tygodnie potrafiła opłakiwać wyrzucony po remoncie stary mebel. Renata czuła, że musi działać, co oznaczało: oswoić córce świat. Przed pójściem małej do zerówki zabierała ją latem do szkoły i pozwalała jej się bawić w pustych salach, poznawać obcą przestrzeń. Mogła to zorganizować, bo pracuje tam jako nauczycielka. Cieszyła się, ponieważ do zerówki Ania poszła chętnie. Dopiero na koniec wychowawczyni bąknęła, że jest problem z głoskowaniem i do tego Ania nie wykonywała niektórych poleceń. Wspomniała też o nieśmiałości. Renata zabrała dziecko na badania słuchu, potem na badania neurologiczne. Lekarze nie wykryli żadnych nieprawidłowości.

O tym, że w szkole Ania nie odzywa się prawie w ogóle, Renata dowiedziała się przypadkiem. Kiedy córka była w pierwszej klasie, jej wychowawczyni poprosiła Renatę o zastępstwo. Na ten dzień zaplanowana była w klasie wizyta matki jednego z uczniów. Miała opowiadać o swojej pracy. Kiedy skończyła mówić do siedzących w kółku maluchów, zachęcała je, aby powiedziały, kim chcą zostać w przyszłości. Potem każdemu dawała drobny upominek. Renata w tym czasie stała z boku i dokumentowała lekcję telefonem. Nagle zauważyła, że z jej córką dzieje się coś dziwnego. Gdy zbliżała się jej kolej, mała stopniowo zastygała w sztywnej, nienaturalnej pozie. Skręcała z tyłu rączki i schylała głowę tak nisko, jakby chciała wbić ją w podłogę. Renata nie mogła jej ratować, więc tylko patrzyła. I nagrywała.

Kiedy prowadząca lekcję kobieta nachyliła się do Ani, żeby zadać jej pytanie, dziewczynka aż wyprężyła się ze strachu. Kobieta cofnęła rękę i uspokoiła Anię, mówiąc, że jeśli nie chce odpowiadać, to nie będzie jej przecież zmuszać. Dziewczynka rozluźniła mięśnie dopiero wtedy, gdy pozostałe dzieci przestały na nią patrzeć. Następnego dnia Renata pokazała nagranie psycholożce szkolnej. „Błagam, powiedz mi, co się dzieje z moim dzieckiem!" – prosiła.

W poradni psychologiczno-pedagogicznej stwierdzono zaburzenia koncentracji uwagi. Dziewczynka przez dwa kolejne lata raz w tygodniu przychodziła do szkolnej psycholożki. Głównie po to, żeby w milczeniu rysować. Czasem udało jej się odpowiedzieć „tak" lub „nie". W sytuacjach podbramkowych, kiedy czuła, że musi się odezwać, wydawała z siebie odgłos podobny do miauczenia. Miauczała również wtedy, gdy Renata, załamana brakiem postępów u Ani, ponownie zabrała ją do poradni. Dziewczynka była już wtedy trzecioklasistką. Podczas rozmowy z kolejną psycholożką zablokowała się całkowicie. Logopedka z tej samej poradni rozpoznała u Ani mutyzm wybiórczy i kazała Renacie jak najszybciej skontaktować się z psychiatrą. Ten potwierdził diagnozę i dał zalecenia. Po pierwsze: nie wolno wyręczać dziecka w mówieniu. Po drugie: trzeba zdjąć z dziecka presję. Po trzecie: zrezygnować z terapii w gabinecie u szkolnej psycholożki i zacząć pracować nad lękiem w miejscu, w którym on występuje – czyli w klasie, wśród kolegów i nauczycieli.

Instynkt kazał Renacie walczyć tak długo, aż znalazła diagnozę. Potem zaczęła się praca. Nie tylko nad Anią, ale też

nad całym jej otoczeniem. Okazało się, że czasami od pokonania lęku dzieli dziewczynkę banalne pięć sekund. Zgodnie z zaleceniami psychiatry Renata uprzedza nowe osoby, że właśnie tyle może potrzebować Ania, aby się przełamać i odpowiedzieć. Tak było ostatnio z dentystą. Renata zadzwoniła do przychodni i wytłumaczyła, co dolega Ani i dlaczego będzie potrzebować więcej czasu na odpowiedź. Renata cały czas pilnuje się, żeby nie mówić w imieniu Ani. Choć pokusa jest. Bo tak jest szybciej, bo w pewnych sytuacjach pięć sekund to cała wieczność, bo niektórzy, mimo jej tłumaczeń, nie wierzą w żaden mutyzm i patrzą na jej dziecko tak, jakby swoim milczeniem robiło im na złość.

Renata nadal chce ratować Anię przed światem. Ale wie już, że musi to robić na innych zasadach niż wcześniej.

W bezpiecznym kręgu

Oswajanie świata synowi to też zajęcie mamy Sebastiana, Urszuli. Metoda fachowo nazywa się *sliding-in* i polega na powolnym wprowadzaniu kolejnych osób do „kręgu bezpieczeństwa", czyli grona ludzi, w obecności których dziecko swobodnie się wypowiada. Osoba, którą chcemy włączyć do kręgu – np. wychowawczyni w szkole – powoli zbliża się do dziecka, w czasie gdy ono rozmawia z mamą. Na początku czeka za drzwiami, potem pojawia się w klasie tylko na chwilę, następnie stopniowo włącza się w rozmowę i wspólne wykonywanie ćwiczeń. Sesje terapeutyczne najlepiej jest organizować podczas przerw w pustej sali. Ważne jest także to, aby nie trwały zbyt długo – najlepiej od 5 do 10 minut. Dlatego na efekty trzeba poczekać nawet kilka lub kilkanaście tygodni. – Kiedy Sebastian zaczął mówić w obecności nauczycielki, ja zaczęłam się wycofywać – opowiada Ula. – Potem ona, będąc już w jego kręgu, wprowadzała do niego uczniów. Z dziećmi szło szybko, bo Sebastian nie rozmawiał z nimi tylko w szkole, ale na podwórku już tak.

Metodę *sliding-in* stosuje też Renata. Dowiedziała się o niej dzięki fundacji Mutyzm Wybiórczy Reaktywacja, która oferuje rodzicom materiały edukacyjne (najczęściej tłumaczone z języka angielskiego) i szkolenia online. Zdobycie wiedzy na temat konkretnych metod walki z mutyzmem oraz przekonanie przynajmniej jednego nauczyciela w szkole Ani zajęło Renacie dwa lata.

Teraz Ania ma 11 lat, a w jej bezpiecznym kręgu jest troje z trzynastu nauczycieli. U pozostałych w trakcie lekcji online nie odpowiada przed kamerką, tylko pisze na czacie. Renata mówi, że nadal stara się przeorganizować myślenie niektórych pracowników szkoły, a nawet członków własnej rodziny – bo nie wszyscy wierzą w diagnozę. Nawet jej siostra uważa, że mutyzm nie istnieje, a dziewczynka jest po prostu nieśmiała. Od kilku nauczycieli Renata usłyszała, że wymyśliła dziecku chorobę. W szkole śmiano się z niej i nazywano nadopiekuńczą matką. W fundacji pocieszyli ją, że troje oswojonych nauczycieli to już dużo.

Zdaniem Renaty najgorsze w mutyzmie jest nieświadome fundowanie dziecku traum. Ile razy widziała w oczach córki strach, którego nie umiała odczytać? Teraz przypomina sobie niektóre sytuacje z przeszłości i widzi je w zupełnie innym świetle. Na przykład to spojrzenie Ani, kiedy podczas wycieczki stały w kolejce w sklepie z pamiątkami. Wcześniej ustaliły, że Ania sama poprosi sprzedawczynię o to, co chce kupić. Jednak kiedy podeszły do lady, nie była w stanie. Po prostu zamarła. Renata zastanawia się teraz, ile razy patrzyła na to, jak jej dziecko obezwładnia lęk, a ona, nieświadoma tego, co się dzieje, brała to za lenistwo, nieśmiałość, wstyd. Albo ile razy pomyślała, że jej córka nie odzywa się, bo nie ma na to ochoty. I dopiero teraz rozumie, że Ania chciała wtedy coś powiedzieć, ale nie mogła.

Maskowanie strachu

Choć mutyzm wybiórczy to rzadkie zaburzenie, dr Biernacka diagnozuje je w swoim gabinecie coraz częściej. Czasem rodzice przychodzą do niej po potwierdzenie własnych podejrzeń – bo zdążyli już poczytać o tym w internecie i zdobyć informacje na własną rękę. – Kilka lat temu dorośli przychodzili do mnie do gabinetu spanikowani, roztrzęsieni – mówi psychiatra. – Nie mieli pojęcia, co się dzieje z ich dzieckiem. Teraz jest lepiej, rośnie powoli świadomość na temat mutyzmu zarówno wśród rodziców, jak i pedagogów czy logopedów. To daje szansę na wczesną diagnozę i zapanowanie nad problemem już u cztero- czy pięciolatka. Zapobiega to utrwalaniu zachowań unikających, czyli przyzwyczajaniu się do niemówienia.

Nadal jednak w gabinecie Biernackiej zdarzają się pacjenci starsi, już u progu liceum. Od zawsze uchodzący za grzecznych, idealnych, wrażliwych. – Nastolatki z mutyzmem dużo się uśmiechają, nawet wtedy, kiedy się boją – mówi lekarka. – Maskują w ten sposób strach. Jednak otoczenie o tym nie wie i po prostu nie zwraca na nich uwagi. Dopóki piszą klasówki i mają odrobione lekcje, ich milczenie nie budzi podejrzeń. A przecież powinno.

© ANNA KIEDRZYNEK

Za informacje i pomoc w dotarciu do bohaterów dziękuję fundacji Mutyzm Wybiórczy Reaktywacja.

POŻEGNANIE

17 stycznia 2021 r. w Rzymie w wieku 91 lat zmarł

Ś.† P.

Alfred Gawroński

Syn Jana i Luciany z Frassatich.
Kochany brat i towarzysz długiego życia.
Filozof, autor książek i artykułów.

W smutku łączymy się z żoną Clotilde i dziećmi.

Rodzeństwo:
Nela, Wanda, Giovanna, Grazia i Jas

„TP" 1-2 / 2021

Potrzebne nawrócenie

Artykuł Zbigniewa Nosowskiego „Opcja Abrahama" przeczytałem m.in. dlatego, że jestem rodzicem, który na co dzień podtrzymuje przynależność do Kościoła u dzieci, odpowiadając na wątpliwości w stylu: „Kościół to, Kościół tamto". Chodzi o „wyczyny" hierarchów i ich sojuszników – ów „kurs prosto na mieliznę", o którym pisze Nosowski. Nadzieję na zmianę ma dawać to, że „rozkwitają dyskusje, narady, spotkania". Pojawia się pytanie: kto i z kim prowadzi te dyskusje? Czy przedstawiciele Kościoła zwanego „toruńskim" też biorą w nich udział? Obawiam się, że nie mają na to ochoty. Czy w Polsce jest w ogóle możliwa dyskusja, o jakiej kilka stron dalej pisze Zuzanna Flisowska-Caridi? Dyskusja, która toczy się za naszą zachodnią granicą. Przeciętny katolik nie pojmie, na czym miałaby polegać „Opcja Abrahama" – oczekuje konkretów tu i teraz.
Kilka lat temu znajoma opowiedziała mi historię. Jej krewnym jest biskup, który w prywatnej rozmowie ubolewał, że tak wielu nowo wstępujących alumnów to osoby niewierzące. Wtedy była to dla mnie informacja wstrząsająca, dziś – obserwując działalność tych kapłanów – wiem, o czym mówił tamten biskup. „Kościół potrzebuje reformy strukturalnej, nawrócenia swoich struktur" – pisze Nosowski. Czy nawrócenie funkcjonariuszy Kościoła również się w tym mieści? Jest ono, w moim przekonaniu, niezbędne.

NARCYZ WASZKIEWICZ

„TP" 3 / 2021

Ojciec kolonizator

Przeczytałem artykuł Sebastiana Dudy „Nosił wilk razy kilka" o ks. Rydzyku i jestem poruszony. Autor trafnie diagnozuje, że toruński redemptorysta „przestał dostrzegać okoliczności, które mogą zaszkodzić jego biznesowemu imperium", i tego oczywiście nie ma co żałować, ale przy okazji dokonuje krytycznej oceny rozgłośni za jej pozornie ewangeliczną retorykę i za – uwaga! – ludowość, w kontekście „ludowego katolicyzmu".
Właśnie to ostatnie budzi mój sprzeciw. Jak pisze autor, rozgłośnia promuje „tradycyjny katolicyzm polski w jego aintelektualnej, »ludowej« (zgodnie z drogą obraną niegdyś przez kard. Wyszyńskiego) wersji.
O. Rydzyk z pewnością uważa, że katolicyzm ostał się w Polsce właściwie tylko dzięki sile owej »ludowości«, z której w odpowiednim momencie historycznym Prymas Tysiąclecia potrafił uczynić również efektywny oręż polityczny".
Użycie słowa „ludowość" w cudzysłowie oznacza zdrowy dystans, ale w kolejnych zdaniach niestety ten dystans znika. Czytamy: „W polskim katolicyzmie ludowym bez wątpienia można odnaleźć rzeczy piękne i wartościowe. A jednak raz po raz dochodzą w nim do głosu komponenty, które w XXI w. są dla idei powszechności zawartej w samej istocie Kościoła katolickiego wyzywające. To przede wszystkim stale powracająca triada: nacjonalizm, ksenofobia i antysemityzm. Wielokrotnie i zasadnie zwracano uwagę na niebezpieczne łączenie jej z katolicką wiarą na falach Radia Maryja".
Otóż socjolodzy czy antropolodzy badający religijność ludową zwracają uwagę na różne niedoceniane jej walory (wspólnotowość), też znaczną odporność na polityczny antysemityzm, przynoszony z miasta na wieś, a kulturoznawcy i folkloryści wręcz zdecydowanie odróżniają religijność masową i ludową: pierwsza jest „przykościelna", w dużym stopniu zinstytucjonalizowana, druga tkwi w żywiole autentycznego folkloru chłopskiego (np. kolędy apokryficzne). Tradycyjna ludowość została w procesie historycznym skolonizowana przez Kościół instytucjonalny i sklerykalizowana (na szczęście nie do końca). Działalność o. Rydzyka jest właśnie jaskrawym przejawem takiej kolonizacji, z narzuceniem ludowości nacjonalistycznego i hurrapatriotycznego gorsetu ideologicznego.

JERZY BARTMIŃSKI

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Joanna Turowicz-Piasecka

∗ 9 sierpnia 1941 r. w Goszycach
† 14 stycznia 2021 r. w Lund

absolwentka filozofii UJ,
miłośniczka literatury, poezji, sztuki, muzyki i natury.
Ciekawa ludzi i świata, zawsze żywo zainteresowana
sprawami zarówno Polski, jak i Szwecji,
w której spędziła połowę życia.
Obdarzona wieloma talentami, wielką wrażliwością
i wspaniałym poczuciem humoru. Wierna w przyjaźni.

Nasza kochana Joanna – Siostra, Ciotka, Przyjaciółka.

ELŻBIETA, ŁUKASZ I DOMINIKA Z RODZINAMI
MAGDALENA, MICHAŁ, MACIEJ I WAWRZYNIEC Z RODZINAMI
RODZINA I PRZYJACIELE W POLSCE I W SZWECJI

DOROTA

Masłowska:
Na całej połaci

Chytra Baba z Radomia, czy ktoś ją jeszcze pamięta? Sięgająca kiedyś gospodarnie poprzez wigilijny stół, by przejąć pozbawiony wyraźnego właściciela napój słodzony, dziś jest już chyba całkowitym pramemem; masową wyobraźnią zawładnęła w ostatnim tygodniu Harda Baba z Hipotermią. Wspinająca się podczas uderzenia zimy na Babią Górę w staniku i szortach śmiałkini (takie określenie musimy w pośpiechu dla niej doprokurować, ponieważ polszczyzna nie przewiduje możliwości wystąpienia w przyrodzie „bardzo odważnego człowieka" płci żeńskiej) naprawdę rozbiła bank zadziwienia. Ale pośród wszystkich utyskiwań i jadowitych krytyk tego nie do końca rozsądnego przedsięwzięcia przyznajmy, że jest w jej niespełnionym wyczynie coś oszałamiającego. Jakaś radykalna niezgoda na nudę istnienia. Poza tym umemicznia też ona ostatni fenomen: modę na zimno. Ta trwa już ładnych parę lat, ale dopiero w pandemii przybrała wymiar zbiorowego szału. Na tyle poważnego, że dorobiła się nawet fali beki, za którą pewnie podąży nieodłączna fala hejtu. O morsowaniu świętego Wita można myśleć jako o trendzie obyczajowym, ale może to zjawisko cywilizacyjne? Może w gotującym się powoli (albo wręcz przeciwnie – w zastraszającym tempie) świecie błędnie lgniemy do zimna?

Może instynktownie usiłujemy się go nachapać, nakonsumować w każdym możliwym przejawie, dopóki w ogóle jest? Może tak to wygląda z kosmosu: sznury obnażonych istot ciągnące ku lodowatym jeziorom, morzom, przeręblom?

„Śniegu już nigdy nie będzie" nazywa się piękny, choć dość szarlatański film, który widziałam niedawno. Niby właśnie na ten temat, ale ostatecznie był dla mnie głównie o tym, że w świecie tak bardzo ograbionym z metafizyki mało kto już pamięta, czym właściwie była, więc wszystko od biedy może za nią uchodzić i ją udawać, nawet czysta estetyka. Ludziom którzy spragnieni są, by ktoś dotknął ich serca, w zastępstwie zręcznie i ze smakiem pieści się oczy i uszy, by zamotani w lepkie nici piękna myśleli, że coś chyba właśnie przeżyli. Uważam to za bałamutne. Poza tym, sprowokowany może tym, co o nim mówią, śnieg spadł. Pokazując, że nie wszystko jesteśmy w stanie policzyć i przewidzieć, że są rzeczy, o których nie śniło się PKP, drogowcom (którym co roku nic się nie śni) oraz meteorologom.

Meteorolog to bardzo piękna nazwa, jakby lekarz specjalista od meteorów. Najpierw mogło się zdawać, że opad to ta rzadka lewizna, która co zimę objawia się na chwilę pokrywając wszystko słabym, brudnawym, zdecydowanie niesłodkim lukrem. A to był prawdziwy śnieg, który pokrył miasto grubą, jednorodną warstwą; wybiegłszy rano z domu, załapałam się jeszcze przed wszystkimi na wielką białą przestrzeń, pociętą tylko delikatnymi śladami pierwszych dziecięcych saneczek i psich łapek. Czułam się genialnie samotna. Dopiero na Polu Mokotowskim natrafiłam na analogową piaskarkę, z której prababcia i pradziadek, zakutani w praortaliony, prakresze i praszale, zrzucali pod moje nogi rudy piasek. Dziwię się, że nie było tam konia albo osiołka.

A może zresztą był?

Już od jakiegoś czasu łapałam się na organicznym marzeniu o prawdziwej zimie. To był jakiś fizyczny głód, pożądanie bieli, dźwięku szufli i skrobanych samochodów, skrzypienia kroków. Coraz częściej całkowicie bezśnieżne, ołowiowe zimy, okraszane jakimś beznadziejnym wyjazdem do „ciepłego", by się „wygrzać", sprawiły, że śnieg kompletnie mi się zmitologizował. Widzę we wspomnieniach zaspy, igloo, tunele, bałwany i ozdobione koronkami mrozu szyby mojego drewnianego, krytego strzechą bloku; szczypiący dym lecący z komina. Widzę, jak mieszkając na piątym piętrze, wychodzę przez balkon i po prostu idę do szkoły.

Mówiłam, że nie jest i nigdy nie będzie pięknie, ale teraz naprawdę było. To były oszałamiające wieczory i noce. Światła miasta i księżyca odbijały się w białych dachach, czyniąc niebo jasnożółtym, świątecznym, lekko się żarzącym. W powietrzu wirowały miliony doskonałych, misternie wyrzeźbionych przez wszechświat płatków; pokryły całe okna autobusu, tak że nie było widać nic oprócz przemazań świateł, neonów, citylightów. Każda baba wyglądała w tym przepięknie, każda studentka ASP z wielką teczką jak święta, każdy kurier Glovo jak magiczny książę. Skrzypiało i skrzypiało. – Półtorej godziny odśnieżałam – powiedziała mi pewna pani, chociaż jej o nic nie pytałam. – I tak mi dobrze było. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 772/18 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Tadeuszu Barańskim, s. Józefa i Heleny, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Bielskiego 2/87, ur. 28 października 1962 r. w Warszawie, zm. 21 kwietnia 2016 r. w Legionowie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

JEZUS UTOPISTA

Marzę o kościołach pustych
w czasie nabożeństw,
bo parafianie akurat pójdą w odwiedziny
do przykutych do łóżek braci i sióstr.

KRZYSZTOF KRZYWANIA

Marzę, że pewnego dnia w naszych parafiach powstaną niewielkie, cztero-, pięcioosobowe zespoły zajmujące się osobami w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Marzę, że w ośmiotysięcznej parafii, na terenie której dziś mieszkam, powstanie 40 lub 50 takich grup (czyli około 200 osób), a może sto grup (to tylko 500 zaangażowanych spośród kilku tysięcy parafian). Te zespoły, których praca będzie koordynowana przez diakona, podejmą się opieki nad osobami lub rodzinami wymagającymi wsparcia: samotnymi ludźmi po udarach, seniorami z demencją, potrzebującymi całodobowej opieki z powodu wieku; rodzinami, w których są osoby niepełnosprawne, dzieci z upośledzeniem umysłowym, z chorobami neurologicznymi (stwardnieniem rozsianym, padaczką, stwardnieniem zanikowym bocznym itd.), w stanach terminalnych, z chorobami przewlekłymi.

Marzę, że w tych zespołach będą ludzie młodzi i starsi, różnych profesji. Przejdą najpierw odpowiednie szkolenie z opieki na osobami chorymi, niedołężnymi. I będą wymieniać się w zespołach, pójdą tam, gdzie trzeba pomóc. Marzę, że ci ludzie będą to robić z powodu Jezusa i Ewangelii, rezygnując z prac dających im dodatkowy dochód, z oglądania ulubionych kanałów filmowych, z odwiedzenia przyjaciół, z wyjazdu na wczasy, z wizyty w centrach handlowych, z udziału w ulubionych wydarzeniach kulturalnych. Widzę ich, jak przychodzą pod wskazany adres, by umyć osobę leżącą, nakarmić ją, zmienić pieluchę, posprzątać mieszkanie, zrobić zakupy, pomalować ścianę, zrobić pranie, pójść na spacer, obejrzeć razem mecz. Marzę, że znajdą się ludzie, którzy wezmą kilka dni urlopu, żeby towarzyszyć umierającej, samotnej sąsiadce; by jeździć z ciężko chorym sąsiadem z osiedla po lekarzach. Marzę, że będziemy braćmi i siostrami kochającymi aż do oddania życia (nie tylko czasu, sił czy pieniędzy). Marzę, że wspólnoty religijne, parafie, zbory będą miejscami, gdzie nie potrzeba wielu domów pomocy społecznej, co najwyżej specjalistycznych zakładów opiekuńczych, psychiatrycznych, leczniczych.

Marzę, że kościoły chrześcijańskie będą puste w czasie nabożeństw, bo parafianie akurat pójdą w odwiedziny do przykutych do łóżek braci i sióstr; że słowa „katolik", „wierzący" będą znaczyć: ten, który kocha i oddaje życie; że księża będą bezrobotni i zdecydują dzielić życie najsłabszych, a szukając królestwa Bożego i jego sprawiedliwości zobaczą, że wszystko inne zostaje im dane.

Pytanie

Póki jednak te marzenia się nie spełnią, mamy przepełnione domy pomocy społecznej. Miejsca raczej smutne, pełne samotności, rozgoryczenia, beznadziei. Trafiają do nich ci, którzy nie są zdolni do samodzielnej egzystencji i którym ani rodzina, ani środowisko nie udzieli (z różnych powodów) potrzebnej pomocy. To mogą być osoby starsze, chore przewlekle, niepełnosprawne.

DPS-y istnieją i działają na podstawie ustawy (z 12 marca 2004 r.) o pomocy społecznej. Są w naszej obecnej rzeczywistości niezbędne. I jest z pewnością rolą państwa, samorządu zadbać o najsłabszych. Stając się elementem ustawowym systemu opieki społecznej DPS-y tworzą jednak (a może nawet do nich zachęcają) zachowania zwalniające rodzinę, przyjaciół, współwyznawców z obowiązku świadczenia pomocy. Po prostu odsyłamy starych, obłożnie chorych, niepełnosprawnych do DPS-ów, bo te domy specjalizują się w świadczeniu pomocy. Znajoma opiekunka pracująca w DPS-ie nazwała go gettem. Problem tego odosobnienia bardzo wyostrzyła pandemia.

Jest rzeczą oczywistą, że są sytuacje bez wyjścia – np. jedno z dwojga 80-letnich małżonków doznaje udaru i leży bezwładnie w łóżku; drugie nie jest w stanie samo opiekować się małżonkiem. (Jeśli jednak spełniłoby się moje marzenie, to byłoby możliwe pozostanie unieruchomionej osoby w domu z pomocą zespołu wsparcia). Inna sytuacja: umierają rodzice osoby z niepełnosprawnością intelektualną – ta osoba nie może sama funkcjonować, musi trafić do DPS-u (prawdopodobnie nawet zespół z parafii nie potrafiłby zapewnić jej zwykłego bytu, chyba że ktoś przyjąłby ją do swojej rodziny).

Nie jest moją intencją ocenianie oddających bliskich do DPS-u. Nie mam do tego prawa. Mam jednak marzenie i związane z nim pytanie do nas – uczniów Jezusa: gdzie jesteśmy my, gdy obok nas ktoś bezwzględnie wymaga opieki?

Świadczenie pomocy

W Polsce według GUS było (na koniec 2018 r.) 1831 zakładów stacjonarnych pomocy społecznej, w których przebywało ponad 113 tys. mieszkańców. Spośród tych zakładów 876 to DPS-y, a 364 – placówki zapewniające całodobową opiekę osobom niepełnosprawnym, przewlekle chorym lub w podeszłym wieku (prowadzone w ramach działalności gospodarczej lub statutowej). Oprócz tego funkcjonowało 310 schronisk dla bezdomnych, 87 noclegowni, 63 domy dla matek, 41 rodzinnych domów pomocy oraz 90 innych placówek.

Prawie 11 proc. mieszkańców tych zakładów to osoby do 18. roku życia (czyli ponad 12 tys.); prawie 37 proc. od 18. do 60. roku życia. Około 70 proc. (prawie 83 tys.) wszystkich miejsc w stacjonarnych zakładach to miejsca w DPS-ach.

DPS-y są rozsiane po całej Polsce: w miastach i wsiach. Liczba mieszkańców tych placówek waha się od kilkorga do prawie sześciuset. W Łodzi jeden z DPS-ów (przy ul. Przybyszewskiego) posiada 596 miejsc statutowych. W ośrodku w Górze Kalwarii jest 500 miejsc dla przewlekle somatycznie i psychicznie chorych, w Legnickim Polu mieszka na co dzień 425 osób.

Nie potrafię (i nawet nie chcę) wyobrazić sobie takich domów. Pracowałem w DPS-ie, w zespole, maksymalnie czterech opiekunów, gdzie było 80 mieszkańców, w tym około połowa leżących, i byłem porażony niemożnością zaopiekowania się wszystkimi, nakarmienia ich, należytego zrobienia toalet, kąpieli, dopojenia, dopilnowania profilaktyki przeciwodleżynowej, zainteresowania się innymi potrzebami mieszkańców. Było to po prostu fizycznie (czasowo) niemożliwe.

Istnieją różne typy domów pomocy społecznej w zależności od tego, dla kogo są przeznaczone, np. dla osób w podeszłym wieku, przewlekle somatycznie bądź psychicznie chorych, niepełnosprawnych intelektualnie lub fizycznie, uzależnionych od alkoholu. Ustawa jednak dopuszcza łączenie w jednym miejscu różnych typów domów.

DPS mogą prowadzić m.in. jednostki samorządowe, Kościoły, fundacje, osoby prawne i fizyczne, a zgodę wydaje wojewoda. O skierowaniu do DPS-u decyduje ośrodek pomocy społecznej (gminny lub miejski) właściwy dla osoby kierowanej; samą decyzję o umieszczeniu w konkretnym domu wydaje organ gminy prowadzącej wskazany dom.

Na miejsce się czeka. Czeka się w gruncie rzeczy na śmierć jednego z mieszkańców, by osoba z listy oczekujących ↦

DANIEL DMITRIEW / FORUM

↦ mogła się przenieść do placówki. Urzędy wojewódzkie publikują na swoich stronach listy DPS-ów, liczby miejsc statutowych, wolnych miejsc i liczbę osób oczekujących do konkretnej placówki (te dwie ostatnie dane nie zawsze są uwzględniane w wykazie). Pandemia to drastycznie zmieniła. W województwie małopolskim na dzień 31 grudnia 2020 r. było w sumie 8244 miejsc statutowych, 566 wolnych i 186 osób oczekujących.

Najogólniej rzecz ujmując, opłatę za pobyt w domu pomocy wnosi mieszkaniec, nie więcej jednak niż 70 proc. swojego dochodu. Jeśli te dochody są bardzo niskie, dopłatę musi wnieść współmałżonek, ewentualnie dzieci, wnuki albo rodzice.

Ustawa mówi, że dom pomocy społecznej świadczy usługi bytowe, opiekuńcze, wspomagające i edukacyjne. Rzeczywiście DPS zapewnia mieszkanie, posiłki, całodobową pielęgnację, opiekę medyczną (również leki do pewnego limitu), psychologiczną, socjalną, rehabilitację, zajęcia terapeutyczne, środki higieniczne, napoje, rozrywki, pranie i prasowanie, opiekę religijną.

Rzeczywistość

Lista jest długa i trzeba powiedzieć, że DPS-y starają się realizować te zadania: podnoszą komfort życia mieszkańców, modernizują obiekty, zatrudniają psychologów, terapeutów, pracowników socjalnych. Wciąż jednak istnieją miejsca nieprzyjazne dla mieszkańców. Na stronie Rzecznika Praw Obywatelskich można znaleźć opisy niektórych wizytowanych placówek: „Budynki nie są dostosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, m.in. w większości łazienek znajdują się wanny, brodziki są wysokie, niektóre korytarze nie zapewniają odpowiedniej przestrzeni manewrowej. Wizytujący zauważyli także, że osoba poruszająca się przy użyciu balkonika została umieszczona w pokoju na półpiętrze, gdzie można dostać się tylko za pomocą schodów" (z wizytacji w DPS-ie w Ciechanowie, maj 2018 r.). Również w raportach NIK można się natknąć na litanie uchybień związanych z funkcjonowaniem DPS-ów.

Ustawa o pomocy społecznej domaga się również uwzględniania wolności, intymności, godności i poczucia bezpieczeństwa mieszkańców domu oraz stopnia ich fizycznej i psychicznej sprawności. To już nie tak łatwo zapewnić regulaminem domu, szkoleniami, zatrudnieniem specjalistów. Socjologowie określają niektóre takie domy jako instytucje totalne, w których ludzie są fizycznie izolowani od zwyczajnego toku czynności życiowych – śpią, odpoczywają, pracują, jedzą w ramach tej samej instytucji.

W nawale pracy, stłoczeniu mieszkańców, przy brakach kadry opiekunów (niekiedy przypadkowo zatrudnianych), ciągłym stresie pracy wśród osób w bardzo złym stanie i fizycznym, i psychicznym, zdarzają się sytuacje karygodne: przemoc, wyzwiska. Opowiadała mi mieszkanka DPS-u w Poznaniu, prowadzonego przez zakonnice, że opiekunki (ale niebędące zakonnicami) podczas karmienia pensjonariuszy podnosiły niekiedy głos, mówiąc: „Żryj!", „Otwórz mordę!". Na stronie RPO można przeczytać: „W DPS i w jego filiach mieszkańcy są dobrze traktowani, poza niewłaściwą praktyką (ujawnioną w filii w Stężycy Nadwieprzańskiej) zmieniania mieszkańcom pieluchomajtek w obecności osób trzecich i przy otwartych drzwiach, co narusza intymność rozbieranych pensjonariuszy" (wizytacja w DPS-ach w Krasnymstawie oraz jego filiach w Ostrowie Krupskim, Stężycy Nadwieprzańskiej i Bzowcu, listopad 2016 r.). W innym miejscu czytamy: „Zastrzeżenia wizytujących dotyczyły obowiązującej w domu zasady, że pensjonariuszki nie mogą mieć prywatnych telefonów komórkowych" (wizytacja w DPS-ie Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w Augustowie, lipiec 2016 r.).

Ewangelia do sprawdzenia

Jestem przekonany, że tajemnica zadowolenia i dobrego samopoczucia mieszkańców DPS-ów leży przede wszystkim w odpowiedniej liczbie opiekunów (i wcale nie chodzi o wskaźnik 0,6 członka zespołu opiekuńczo-terapeutycznego na jednego mieszkańca – to brzmi trochę jak żart), ich kompetencjach twardych i miękkich (nie tylko np. umiejętności zrobienia toalety i umycia głowy osobie leżącej, ale zwyczajnej grzeczności, szacunku dla drugiego, jakkolwiek by się zachowywał, głębokiej empatii), potem organizacji życia, różnego rodzaju terapiach, zajęciach i wreszcie warunkach bytowych – wyposażeniu domu, jego funkcjonalności uwzględniającej osoby starsze i niesprawne (windy, brak barier); dalej: urządzenie pokoi, odpowiednie łóżka, materace, pomieszczenia sanitarne, czystość i ład.

Dlaczego przede wszystkim odpowiednia liczba opiekunów, ich umiejętności i cechy? Bo nawet jeśli pokój będzie czysty i słoneczny, łazienka w wysokim standardzie; nawet jeśli będą duże, nowoczesne windy, szerokie korytarze, różnorodne zajęcia terapeutyczne, rehabilitacyjne itd., a ze względu na zbyt małą liczbę opiekunów pielucha u osoby leżącej będzie przepełniona stolcem i moczem, poranna toaleta pobieżna i niekompletna (np. bez mycia zębów, bez nakremowania ciała), posiłek zimny i bardzo szybko podawany (bo czeka jeszcze 20 osób do nakarmienia), to czy mieszkaniec DPS-u może się czuć dobrze? Nawet jeśli dom będzie przestronny, o nowoczesnej architekturze, z pięknym dużym ogrodem, a mieszkaniec będzie czekał 15 minut na przyjście wzywanego dzwonkiem opiekuna, nikt nie zaproponuje mu herbaty, oklepania pleców, zmiany pozycji leżenia, nie wysadzi go na wózek, by mógł wyjechać na spacer – to czy jest on rzeczywiście traktowany jak człowiek? Czy może być spokojny, zadowolony i choć trochę szczęśliwy?

Odpowiednią liczbę kompetentnych opiekunów mogłoby zapewnić adekwatne do wymagań tej pracy wynagrodzenie. Być może zachęciłoby osoby wrażliwe, z pasją, rozumiejące szerszy kontekst społeczny takiej pracy. Nie widzę innej możliwości. Czymś też niezbędnym, choć tylko uzupełniającym, byłby szeroki wolontariat dla osób mogących poświęcić trochę czasu mieszkańcom DPS-ów (choćby pomoc w karmieniu, pójście razem na spacer, pomoc w toalecie, w ubraniu się, zwyczajne poświęcenie czasu mieszkańcom). Należałoby taki wolontariat propagować wśród studentów nauk społecznych, medycznych, teologicznych i oczywiście wszelkich innych, jak również wśród osób 50 plus, które z natury rzeczy dysponują swobodniej własnym czasem.

Jednak przede wszystkim marzę, że pewnego dnia my sami pójdziemy do naszych sąsiadów, by zaopiekować się nimi; że stworzymy zespoły, które wspomogą rodziny osób nadających się według dzisiejszych standardów do DPS-u. Marzę, że nie zostawimy nikogo samemu sobie i będziemy braćmi i siostrami.

Czy to utopia? Jeśli tak, to Jezus głosił utopię, a my, wierzący w Niego, jesteśmy najbardziej godni pożałowania.

© KRZYSZTOF KRZYWANIA

TOMASZ URBANEK / DDTVN / EAST NEWS

S. Małgorzata Chmielewska na planie programu „Dzień Dobry TVN". Warszawa, luty 2014 r.

Trzy ważne adresy

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA:

Pomoc drugiemu człowiekowi to praktyczny sprawdzian, czy żyjemy Ewangelią, czy tylko uczestniczymy w kulcie.

ARTUR SPORNIAK: Wizja, że w ośmiotysięcznej parafii kilkaset osób jest zaangażowanych w pomaganie potrzebującym, to utopia?

S. MAŁGORZATA CHMIELEWSKA: To nie jest żadna utopia – tak po prostu powinno być. Wspieranie słabszych to powołanie każdego chrześcijanina.

Siostra zna takie parafie?

W Rzeszowie parafia prowadzona przez saletynów ma zespoły, które wspierają starszych czy niepełnosprawnych sąsiadów. Na przykład starsza osoba potrzebuje, żeby zreperować jej kran, i ktoś z parafian się zgłasza i to robi. W każdym razie takie zespoły tam funkcjonowały, gdy prowadziłam w tej parafii rekolekcje kilka lat temu.

Tu w Świętokrzyskiem w jednej z wiejskich parafii świecka katechetka ze szkoły podstawowej zorganizowała koło Caritas. Wciągnęła do współpracy rodziców. I razem z rodzicami dzieci odwiedzają dom pomocy społecznej. Jest to więc możliwe.

Dlaczego jednak raczej rzadkie?

W przekazie Ewangelii w polskim Kościele nie mówi się o drugim człowieku.

Bo ważniejsza od służby człowiekowi jest służba Boża, czyli liturgia?

To są naczynia połączone. Jeżeli dobrze przeżyjemy liturgię, pójdziemy do naszych bliźnich. Jeżeli pójdziemy do naszych bliźnich, to potem dobrze przeżyjemy liturgię. A pójdziemy do naszych bliźnich wtedy, gdy zrozumiemy, że Kościół jest wspólnotą, a nie instytucją.

Ale tego nie uczy się na katechezie.

Opowiem historię. Jedna z naszych dziewczynek chodziła wtedy do drugiej klasy szkoły podstawowej, a więc była w wieku przystępowania do Pierwszej Komunii. Pewnego razu odbierałyśmy ją ze szkoły, a pod klasą stała zapłakana kobieta. Okazało się, że jest matką chłopca słabszego intelektualnie, który był ofiarą całej klasy – wszystkie dzieci mu dokuczały. Wtedy Tamara – matka naszej dziewczynki – zapytała nauczycielkę, czy może porozmawiać z dziećmi. Uzyskała zgodę i wytłumaczyła dzieciom, co właściwie robią i jakie to ma konsekwencje. Potem spotkałam katechetkę tych dzieci i zagadnęłam: „To dobry moment, by dzieciom wytłumaczyć, co to znaczy przyjąć Pana Jezusa" – że to znaczy m.in., iż trzeba być dobrym dla koleżanki, kolegi... A pani katechetka na to, że tego program nie przewiduje. Koniec, kropka.

A zatem systemowe skrzywienie polskiego katolicyzmu?

Jest to zaniedbanie w głoszeniu pełnej prawdy ewangelicznej o Chrystusie. Często mówię, że Chrystus ma trzy adresy: Eucharystię, Kościół jako wspólnotę opartą na Tradycji (przez duże „T", bo nie chodzi oczywiście o to, czy komunia ma być na rękę czy do ust) oraz drugiego człowieka. Mamy więc ustanowienie Eucharystii: „Bierzcie, to jest Ciało moje... To jest moja Krew Przymierza". Św. Paweł ↦

mówi, że jesteśmy jednym ciałem, a Jezus: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili”.

Żeby spotkać Jezusa, wszystkie te adresy musimy brać pod uwagę jednocześnie. Niestety w naszym głoszeniu ograniczamy się do adresu nr 1. Adres nr 2 nie bardzo nam pasuje, co widać po owocach – bo przecież współbrat należący do partii, której nie popieram, to nie jest prawdziwy katolik. A najmniej nam pasuje adres nr 3, czyli drugi człowiek w potrzebie, kimkolwiek by był.

Trzy nogi stolika, którego druga noga jest krótsza, a trzeciej prawie nie ma.

Jeśli jedna noga takiego stołu się wyłamie, to on oczywiście runie.

Co jest potrzebne, by to zmieniać? Katechetka pasjonatka, która zmobilizuje i dzieci, i rodziców?

Nie chodzi o pasję – to przecież jest powołanie nas, wszystkich chrześcijan. Owa katechetka ze Świętokrzyskiego realizowała swoje powołanie.

Problem na wielu płaszczyznach: księża na to nie zwracają uwagi, dzieci się o tym nie uczą. Czy klerykom się o tym mówi?

Z różnych spotkań z klerykami wiem, że nawet jeśli mają jakieś praktyki, uważają to za zło konieczne, niepotrzebne do niczego w karierze. Choć zdarzają się wyjątki. Na przykład w ubiegłym roku z seminarium rzeszowskiego zgłosiło się kilku kleryków na praktyki do naszego domu dla starszych i chorych w Jankowicach.

Kto przyjechał?

Świetni młodzi ludzie. Oni sami nas wybrali. Dostali szeroki zakres prac – od zmieniania pampersów (do czego ich nie zmuszaliśmy, bo to czynność, którą nie każdy od razu może wykonywać) i mycia toalet do ścielenia łóżek i organizowania zabawy. Robili wszystko bardzo chętnie. Wydaje mi się, że to zetknięcie z ludzką biedą i cierpieniem jest konieczne do formacji, bo to jeden z elementów życia. Takie doświadczenie uczy empatii, zrozumienia drugiego człowieka i służenia mu. Tego, jak można zorganizować życie parafialne, żeby parafia była rzeczywiście wspólnotą, w której najsłabsi mają honorowe miejsce, trzeba uczyć kleryków już w seminarium.

W Kościele w Polsce nie przekazuje się pełnej prawdy o Chrystusie.

Najsłabsi, zamiast być w centrum wspólnoty, są gdzieś na uboczu.

Przed pandemią byłam w jednej z wielkich parafii w Łódzkiem. Proboszcz z wikarym przygotowywali do bierzmowania w ten sposób, że przez rok młodzież miała czynnie uczestniczyć na rzecz wspólnoty parafialnej w jednej z trzech grup: liturgicznej, muzycznej i zorganizowanej na kształt koła Caritas. Pamiętam, że wtedy chór z tej parafii wygrał konkurs i jechał w nagrodę na koncert do Filharmonii Krakowskiej. Obaj – proboszcz i wikary – fantastyczni faceci, urobieni po uszy. Zaprosili mnie, żebym w ramach przygotowania do bierzmowania powiedziała do grupy charytatywnej parę słów. Podaję ten przykład, by pokazać, że można.

Co w nas blokuje rozwijanie tego chrześcijańskiego powołania – boimy się, że wobec cudzego cierpienia będziemy bezradni?

Niewątpliwie. Żeby w ogóle pomóc drugiemu człowiekowi, trzeba wiedzieć, że najzwyczajniej w świecie tak należy, że to jest mój obowiązek. W wersji dla niewierzących: po prostu jest to obowiązek ludzki, zwyczajna przyzwoitość. W wersji dla wierzących: jest to wymóg oraz praktyczny sprawdzian naszej wiary i tego, czy żyjemy Ewangelią (bo różnicą jest, czy żyjemy Ewangelią, czy tylko uczestniczymy w kulcie). Problem więc tkwi w niepełnym przekazie w Polsce, czym jest nasza wiara. Skąd się ona bierze? Po co Chrystus przyszedł na świat?

Proszę spróbować odpowiedzieć: po to, żeby nas...

...zbawić.

Świetnie, tylko co to znaczy? I tu się zaczyna problem. Podczas moich konferencji zadaję to pytanie i wszyscy – od dzieci po kapłanów – odpowiadają, „żeby nas zbawić”.

A według Siostry, co to znaczy?

Odpowiada na to św. Paweł: „Chrystus przyszedł na świat po to, żeby pojednać świat ze sobą, i nam zlecił posługę jednania”. Grzech zaczął się od podziału – Kain zabił swego brata Abla. Tak naprawdę Chrystusa boli wszelki podział: na biednych – bogatych, głupich – mądrych. Boli Go odrzucenie, to, że jedni mają gorzej nie z własnej winy.

Prawdę tę dopełnia cała teologia o Kościele jako o ciele Chrystusa i ludzie Bożym, której w Polsce nie przekazuje się wiernym. Na mszy jesteśmy jednostkami, każdy się modli do Bozi, dbając wyłącznie o własne zbawienie, nie rozumiejąc, że zależy ono od tego, jak potraktuję sąsiadkę.

Spotkałem Siostrę na mszy sprawowanej na krakowskich Błoniach przez Franciszka podczas Światowych Dni Młodzieży w sektorze dla osób niepełnosprawnych, który był gdzieś z boku, daleko od ołtarza. Tymczasem przed ołtarzem był sektor dla VIP-ów.

To jedna z oznak, jak w polskim Kościele traktujemy słabszych. Ci ludzie powinni siedzieć w pierwszym szeregu. Ale opowiem, jak to było. Na Błonia przywiózł nas tramwaj papieski, którym jechał także Franciszek. Dyrektor MPK walczył o to, by ten tramwaj mógł nas także z powrotem odwieźć, ale było to niemożliwe. Gdy wysiedliśmy, okazało się, że do naszego sektora jest jeszcze kawał drogi i osoby niepełnosprawne tam musiały iść. Na miejscu było błoto po kolana, bo padał deszcz i nie było żadnego zadaszenia. Byłam tam z moim adoptowanym synem Arturem, który sam chodzi, ale byli też rodzice z dziećmi niepełnosprawnymi na wózkach. Tych wózków nie można było przepchnąć w błocie. Szybko zaczęliśmy się stamtąd wycofywać. Ale teren wokół był zablokowany, trudno było o informację, jak z Błoni można się wydostać. W końcu się udało i za mną poszła część rodziców z wózkami.

Druga historia była taka. Ówczesny biskup pomocniczy krakowski Grzegorz Ryś po Światowych Dniach Młodzieży organizował spotkanie dla wolontariuszy w hali Tauron Arena. Poprosił mnie o krótkie wystąpienie. Wyszłam na scenę i kto przede mną siedział? Piękni, młodzi ludzie, elegancko ubrani i zadowoleni z życia. Zaczęłam więc od pytania: „Przepraszam, ale gdzie są wasi niepeł-

nosprawni koledzy i koleżanki?”. Przecież oni powinni siedzieć w pierwszym rzędzie przed samą sceną. Czy nie można było np. do konferansjerki poprosić jakiejś osoby na wózku? Młodzież związana ze spotkaniami w Lednicy przedstawiała pantomimę. Czy nie mogła tego zrobić młodzież z zespołem Downa? W Kościele o tym nie myślimy. Owszem, od czasu do czasu możemy się pochylić nad biedaczkami, ale na pewno nie damy im pierwszego miejsca.

Po moim przemówieniu bp Ryś powiedział do mnie: „Mocne!”. Odpowiedziałam: „Prawdziwe”.

Czy zdaniem Siostry prawdziwe jest powiedzenie, że „szczęście jest w dawaniu”? Nie bardzo chyba wierzymy, że nasze poświęcenie coś nam da.

To nie jest żadne poświęcenie w sensie martyrologii. Natomiast w sensie uświęcenia to tak, zdecydowanie. Pytanie, co nam przynosi szczęście. Czy my kształtujemy ewangelicznie nasze poczucie szczęścia? Czyli co uważamy za szczęście? Czy szczęście wiążemy z miłością? Miłość to pomoc drugiemu człowiekowi, by był szczęśliwy – żeby był mądry, dobry, żeby żył godnie, żeby był uczciwy itd. Jeśli miłość tak rozumiemy, to boli mnie, gdy drugi człowiek cierpi, a można by zmniejszyć to cierpienie. Gdy drugi człowiek jest głodny, a można by go nakarmić. Gdy nie ma dachu nad głową, a mógłby mieć. To jest ten ból, który odczuwamy razem z Chrystusem. Miłość do Chrystusa jest odczuwaniem tego, co odczuwa Chrystus. Gdy choruje dziecko, jego matka jest cała nieszczęśliwa. I podobnie jest z Chrystusem. Jeśli rzeczywiście chcemy być z Nim razem, to musimy z Nim razem też czuć. A Chrystusowi się nie podoba, jeżeli ktoś leży zapijaczony, niszczy siebie, jeśli dziecko jest maltretowane itd.

Naszą chrześcijańską wrażliwość tłumi pragnienie wygody?

Myślę, że na naszą niewrażliwość większy wpływ ma brak zrozumienia. Miłość nie sprowadza się do emocji – to raczej postawa wynikająca z rozeznania. Myślimy, że przeszliśmy katechezę, nauczyliśmy się paru regułek, więc jesteśmy chrześcijanami – a to jest ciągłe odkrywanie. Chrześcijaństwo jest drogą.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

CHARLES MCQUILLAN / GETTY IMAGES

Ocalała z domu matki i dziecka w Tuam Carmel Larkin podczas czuwania w miejscu masowego pochówku dzieci oraz historyczka Catherine Corless (po prawej), która zebrała informacje dotyczące śmierci dzieci. Tuam, 25 sierpnia 2019 r.

Dla dobra społeczności

PATRYCJA BUKALSKA Z LONDYNU

Raport w sprawie irlandzkich domów samotnej matki przyniósł wstrząsające informacje, ale nie zamknął bolesnego rozdziału w historii tego kraju. Pojawia się coraz więcej pytań.

W 1934 r. w archidiecezji w Tuam odbyła się konferencja duchownych, podczas której omawiano m.in. „skandal nieślubnych narodzin”. Zalecano, by każdy taki przypadek był potępiany jako „degradacja duszy, hańba dla rodziny, grzech przeciwko dobremu imieniu lokalnej społeczności”. O każdym przypadku należało informować arcybiskupa.

Aby tej „hańby” uniknąć, rodziny, zwykle przy pomocy miejscowego księdza, usuwały ciężarne córki, siostry, kuzynki z oczu społeczności, zanim ich stan był widoczny. Kobiety, czasem ledwie nastolatki, trafiały do prowadzonych przeważnie przez instytucje religijne domów samotnej matki. Czasem pozostawały tam przez lata. Ich dzieci oddawano często do adopcji – również bez ich zgody lub nawet wiedzy.

W tym samym roku, w którym duchowni w Tuam debatowali o problemie nieślubnych narodzin, irlandzki parlament otrzymał informację o znacznie wyższej śmiertelności dzieci w domach samotnej matki. W samym Tuam, gdzie działała placówka prowadzona przez zakonnice Bon Secours, zmarło ich w tamtym roku trzydzieścioro. Przez cały okres działalności umrze ich ok. 800. Dom działał w latach 1926-61, więc można powiedzieć, że dziecko umierało średnio co dwa tygodnie.

Cukierek

Wszyscy o tych „domach matki i dziecka” wiedzieli, wszyscy widzieli ↦

↦ „biedne dzieci", które tam mieszkały, gdy prowadzono je do szkoły. O tym jednak, co dokładnie działo się za murami owych instytucji, zwykle wolało się nie wiedzieć. Sytuacja zmieniła się za sprawą historyczki Catherine Corless, która ujawniła, że na terenie dawnego domu zakonnego w Tuam pogrzebano w nieoznaczonym grobie szczątki kilkuset dzieci, wśród nich i niemowlęta, i dzieci kilkuletnie. Ich los nie dawał Corless spokoju, a jej nieustępliwość doprowadziła do powołania w 2015 r. specjalnej komisji, która teraz, w styczniu, opublikowała raport opisujący warunki w 18 takich placówkach.

Corless wychowała się w Tuam. Pamięta dom zakonny otoczony wysokim murem z tłuczonym szkłem na szczycie i dzieci stamtąd. Chodziła do tej samej szkoły, do której przyprowadzano „dzieci z Domu", jak wszyscy je nazywali. Zabiedzone, chude, w drewniakach zamiast butów. Przyprowadzano je do szkoły na tyle późno, by nie miały szansy zintegrować się przed lekcjami z innymi uczniami. Zresztą nikt chyba nie chciał się z nimi bawić. Corless wielokrotnie opowiadała, jak bardzo żałuje swojego „żartu" – jednej z dziewczynek z domu zakonnego dała kamień zawinięty w papierek po cukierku. Mała złapała go szczęśliwa z podarunku, jednak zamiast cukierka czekały ją rozczarowanie i poniżenie wśród zanoszących się śmiechem innych uczniów.

Warunki w domach samotnej matki bywały tragiczne, czasem brakowało bieżącej wody, sale źle ogrzewano, najgorsza była jednak stygmatyzacja – np. w szkole, jak wspomina Corless, uczniów sadzano koło „dzieci z Domu" za karę. „Hańby" przyjścia na świat poza małżeństwem nie można było zmazać. Jak miała odkryć Catherine Corless, jej matka również była takim dzieckiem. Nigdy jednak nie wyznała swojemu mężowi i rodzinie, że w jej akcie urodzenia nie ma wpisanego nazwiska ojca. Za bardzo się wstydziła.

Trzy tysiące stron

Prace nad raportem trwały pięć lat. Na kilku tysiącach stron opisuje on system izolacji niezamężnych kobiet w ciąży w domach matki i dziecka. Od 1922 r. do 1998 r. (wtedy zamknięto ostatni z domów) przebywało w nich 56 tys. niezamężnych matek, w tym ponad 5,6 tys. w wieku od 12 do 17 lat oraz 57 tys. dzieci. Aż 9 tysięcy z nich zmarło.

Raport szczegółowo opisuje funkcjonowanie domów, wyszczególniono też takie kwestie jak dyskryminacja, adopcje dzieci, stosunki społeczne, postrzeganie kobiet w ciąży. Przygotowano listę zaleceń. Po publikacji natychmiast w imieniu państwa premier Micheál Martin przeprosił kobiety i dzieci z tamtych domów. Przeprosili też przedstawiciele Kościoła. Planowane są odszkodowania. Upamiętnienie zmarłych dzieci. A jednak to nie wystarczyło – krytyka narasta i podnosi szereg spraw, w których raport rozczarował.

Jednym z powodów jest szerokie rozłożenie odpowiedzialności za to, co się stało – na całe irlandzkie społeczeństwo. Choć prawdą jest, że najczęściej same rodziny pozbywały się niezamężnych kobiet w ciąży, to robiły to pod presją ówczesnych norm społecznych; były one elementem systemu opresji, w którym swoją rolę odgrywały Kościół i państwo. Choćby owa konferencja w Tuam w 1934 r. pokazuje, że angażowanie się w prywatne życie parafian – w tym kwestię pozamałżeńskich ciąż – Kościół traktował jako swój obowiązek.

Raport tymczasem podkreśla, że to rodziny zmuszały kobiety do odejścia z domów, a instytucje religijne oferowały im „schronienie" („surowe schronienie w niektórych przypadkach" – zaznacza się...). „Nie ma dowodów na to, że kobiety były zmuszane do przyjścia do domów matki i dziecka przez Kościół lub władze państwowe. Większość kobiet nie miała alternatywy" – czytamy. Pomija się jednak dominującą rolę Kościoła w formowaniu takiego właśnie społeczeństwa, w którym owej alternatywy nie było. Ta dyskusja – również o roli i pozycji Kościoła w budowie suwerennej Irlandii – zaczęła się już wcześniej, ale teraz widać, że szybko się nie skończy.

Przepraszamy

Choć część komentatorów, a także osób osobiście zaangażowanych w sprawę domów samotnej matki, czuje, że raport rozmywa odpowiedzialność, to jednak trzeba powiedzieć, że natychmiast po jego publikacji ze strony przedstawicieli Kościoła pojawiły się oświadczenia ową odpowiedzialność przyjmujące. „Kościół był częścią tej kultury, w której ludzie byli często piętnowani, osądzani i odrzucani. Za to oraz za długotrwałe zranienie i emocjonalne cierpienie, które z tego wynikło, bez zastrzeżeń przepraszam ocalałych" – skomentował raport

CHARLES MCQUILLAN / GETTY IMAGES

Miejsce masowego pochówku dzieci z domu matki i dziecka w Tuam w Irlandii. 25 sierpnia 2019 r.

metropolita Armagh abp Eamon Martin. Arcybiskupi Kościoła Irlandii John McDowell i Michael Jackson (domy były prowadzone głównie przez zakony katolickie, ale nie tylko: protestancki był np. Bethany Home, jeden z opisywanych w raporcie) przeprosili za „rolę, jaką nasz Kościół odegrał w kształtowaniu społeczeństwa, w którym niezamężne kobiety i ich dzieci był traktowane w taki sposób". Uznali także, że Kościół jest współwinny w „kulturze hipokryzji i osądu, która piętnowała kobiety i dzieci i zagrażała ich zdrowiu i dobrostanowi".

Stowarzyszenie Duchownych Katolickich zwróciło uwagę na „dwa szkodliwe aspekty nauczania katolickiego" wskazane w raporcie: mizoginię i negatywny, opresyjny stosunek do seksualności, szczególnie w odniesieniu do kobiet.

Przeprosiła również kongregacja Bon Secours, która prowadziła dom w Tuam. Zakonnice zapowiedziały, że będą uczestniczyć w planowanym programie odszkodowań.

Swoją porcję odpowiedzialności ma też państwo – to jego władze lokalne domy finansowały, w całości lub częściowo, m.in. wypłacając zakonnicom stawkę od każdego dziecka i matki przebywających w placówce, pokrywając też pensje niektórych pracowników oraz koszty remontów.

Raport w raporcie

W raporcie, któremu zarzuca się także suchość i prawniczą skrupulatność, znajduje się rozdział „Raport Komitetu Zaufania". Oddaje głos osobom, które doświadczyły pobytu w domach samotnej matki, zarówno jako dzieci, jak i np. pracownicy. Zapewniono im anonimowość – to było szczególnie istotne, bo, jak się okazało, wielu uczestników projektu nigdy nie mówiło o swojej przeszłości nawet swoim najbliższym. Ostatecznie na rozmowę z Komitetem zdecydowało się ponad 500 osób, z czego ponad 300 to matki.

Choć liczba 9 tysięcy dzieci, które zmarły w irlandzkich domach samotnej matki, a którą podano w chwili publikacji raportu, była wstrząsająca, to jednak dopiero lektura tych relacji pozwala zrozumieć, jak tragiczne było położenie młodych matek oraz ich dzieci.

Raport zaczyna się od relacji kobiety, która dowiedziała się, że jej matka została zgwałcona w drodze do szkoły. Jej rodzice zdecydowali się oddać ją wtedy do domu samotnej matki. Miesiąc po urodzeniu jej dziecko – czyli autorka relacji – zostało oddane do sierocińca. Takie historie zgwałconych kobiet – i dziewczynek, bo niektóre były jeszcze dziećmi – powtarzają się w raporcie Komitetu dość często.

Inna historia pokazuje, co oznaczał brak społecznej akceptacji dla nieślubnych dzieci. Jedna z kobiet urodzonych w domu samotnej matki trafiła do rodzin zastępczych, gdzie do 12. roku życia była ofiarą przemocy seksualnej. Potem wysłano ją do tzw. szkoły przemysłowej (był to rodzaj szkół zawodowych z internatem dla zaniedbanych lub problematycznych dzieci). Kiedy miała 18 lat, odnalazła matkę. Dowiedziała się, że wyszła ona za jej ojca i szczęśliwie mają dziewiątkę innych dzieci. Jej matka nigdy nie przyznała się do pierwszej ciąży, do tego, że urodziła – nawet swojemu mężowi, choć przecież było to jego dziecko. Bała się, że to „zniszczy rodzinę". Obawy nie były bezpodstawne, bo jej córka, świadek Komitetu, postąpiła inaczej i jakiś czas po ślubie powiedziała swojemu mężowi, że jest nieślubnym dzieckiem. To zmieniło ich relację: „Nie szanował mnie i małżeństwo już nie było takie samo".

Urodzony w 1947 r. mężczyzna, który spędził w prowadzonym przez zakonnice domu sześć pierwszych lat życia (bez matki), przyznał, że czasem w nocy budzi się i boi, że znów jest tam, gdzie się nad nim znęcano psychicznie i fizycznie, gdzie przez cały czas był głodny. „Ciągle śnią mi się koszmary o tym miejscu i zastanawiam się, jak to możliwe, że ludzie w religijnym kraju mogli być tak okrutni wobec małych dzieci". To też jedno z pytań w obecnej publicznej debacie.

Dostęp do prawdy

Osoby, które przeszły przez „domy matki i dziecka", chcą sprawiedliwości – czasem chodzi o przeproszenie, przyjęcie odpowiedzialności, czasem o wysłuchanie. Są też jednak postulaty konkretne, jak dostęp do informacji. W przypadku dzieci oddanych do adopcji chodzi o ich dostęp do dokumentów adopcyjnych i oryginalnego aktu urodzenia. Jeśli jest nawet za późno, by odnalazły swoje matki, to mogą chcieć poznać swoich krewnych lub po prostu dowiedzieć się, kim są. W związku z adopcją do wyjaśnienia pozostają też inne sprawy, jak kwestia korzyści finansowych odnoszonych przez instytucje religijne.

Inną sprawą, która nadal wymaga dokładniejszego zbadania, jest wykorzystanie dzieci z domów samotnej matki w medycznych programach testów szczepionek. Raport zaznacza, że nie próbowano kontaktować się z ich matkami w sprawie zgody. Jednocześnie stwierdzono, że nie ma dowodów, by miało to dzieciom zaszkodzić. Jednak zdaniem osób, które poddano testom, ten wniosek nie zamyka wcale sprawy.

Helen Shaw, komentując raport w dzienniku „The Irish Times", pisze, że to kolejny element strasznej układanki, „ciemna, narodowa historia zinstytucjonalizowanego okrucieństwa i przemocy", od której Irlandczycy nie uciekną. Jej zdaniem żadne przeprosiny ani finansowe odszkodowania tu nie pomogą. Do zaleczenia ran potrzebne jest otwarcie archiwów, sfinansowanie projektów odbudowy rodzin, z wykorzystaniem archiwistów i badań DNA.

Słowem, potrzebna jest prawda.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

Święty ubaw

PIOTR SIKORA

Nie traktuj zbyt poważnie siebie – swych nawyków, uczuć, myśli, nawet wiary.

DARIUSZ SZUBIŃSKI / FORUM

Powitanie Nowego Roku na plaży Gdańsk Brzeźno, 1 stycznia 2021 r.

Jeszcze kilka tygodni karnawału przed nami. Choć w pandemii, gdy nie tylko nie ma żadnych balów, ale nawet knajpy są pozamykane, może się wydawać, że to żaden karnawał.

Prawdziwego karnawału jednak nie ma już od dziesiątków lat przed pandemią. Organizowane w poprzednich latach bale czy „ostatkowe" zabawy to przecież wcale nie był karnawał. Prawdziwy karnawał, sięgający korzeniami co najmniej wczesnego średniowiecza, to nie tylko zabawy, biesiady czy barwne pochody. Były to jedynie sposoby wyrazu, iż świat społecznych norm, a nawet religijnych wartości staje właśnie na głowie. Nie zwykłe biesiady, ale obżarstwo, nie niewinne zabawy, ale rozpusta. Prześmiewczo parodiowano nawet świętą liturgię, tańcząc, krzycząc i błaznując we wnętrzach kościołów.

W karnawale nie chodziło zatem o trochę uciechy albo o bardziej wystawne jedzenie. Jego sensem było zarzucenie utartych i uświęconych sposobów postępowania. To „święto totalne" w sensie całkowitego zawieszenia zwykłego porządku rzeczy. Wyjście z czasu i nieprzekraczalnej – wydawałoby się – społecznej przestrzeni.

Słowo „karnawał" pochodzi od łacińskiej frazy *carnem levare* – odrzucić mięso. Mięso odrzucano, oczywiście, w Wielkim Poście. Karnawał to czas tuż przed tym odrzuceniem, ściśle z nim związany, z tamtego czerpiący swoją siłę i znaczenie. Prawdziwy karnawał jest możliwy tam, gdzie istnieje prawdziwy post. Nie jest możliwe zawieszenie lub odwrócenie porządku tam, gdzie porządku brak.

Ścisły związek karnawału z Wielkim Postem i jego prześmiewcza obecność w sakralnej przestrzeni wskazują na religijny sens tego quasi-liturgicznego okresu. Karnawał to zabawa w jej pierwotnym znaczeniu – czynność pozbawiona praktycznej celowości, ale właśnie przez to odnosząca swoich uczestników do tego, co święte, transcendentne wobec codziennej rzeczywistości.

Owo religijne znaczenie karnawału ujawnia się – paradoksalnie – także w jego prześmiewczym stosunku do obowiązujących, „poważnych" form religijności. Wskazuje bowiem, że – jakkolwiek ważne i święte – nie są Świętością samą. Jest ostrzeżeniem, by nie mylić rytuałów, symboli czy doktryn z Tym, na co – zawsze niedoskonale – wskazują.

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego we współczesnej kulturze karnawał nie za bardzo może się pojawić. Czyż bowiem nie żyjemy w „płynnej nowoczesności"? Nie ma już trwałych, powszechnych i uświęconych norm czy sposobów postępowania, hierarchii jest wiele, a każda okazuje się tylko tymczasowa. Różne są nie tylko gusta estetyczne, nie ma także jedynej etyki ani nawet religii.

Brak prawdziwego karnawału okazuje się jednak niebagatelną stratą. Z jednej strony bowiem potrzebujemy zakorzenienia, trwałych struktur sensu, hierarchii wartości. Z drugiej zaś strony do życia i zdrowia niezbędny jest dystans, luz. Śmiertelna powaga jest śmiertelnie niebezpieczna.

Karnawał w średniowiecznej formie nie jest już, zapewne, możliwy. Ale nie jesteśmy na całkiem straconej pozycji. Jest bowiem coś, co wymyka się nowoczesnemu upłynnieniu, co powszechnie traktujemy poważnie, co (niemal) dla każdej i każdego jest w pewnym sensie święte. Każda i każdy traktuje tak siebie.

Może to być powaga autentycznego samozadowolenia, może – poważne domaganie się szacunku podszyte najpoważniejszą niepewnością co do własnej wartości. Bywa też, że jest to bardzo poważna niechęć albo nawet nienawiść do siebie.

Ale czyż mamy coś więcej? Czy nasze poglądy, uczucia i wiara nie są ostateczną podstawą naszego świata? Jest zatem coś, od czego możemy oddalić się w karnawałowym, błazeńskim pochodzie. Do czego warto nabrać dystansu, bo choć ważne i święte – nie jest Świętością samą. To coś to my sami.

Zaprawdę prawdziwe są słowa jednego z wielkich, choć nieco zapomnianych mistrzów duchowych XX wieku, ks. Tadeusza Fedorowicza: „Błogosławieni, którzy potrafią śmiać się z samych siebie, albowiem będą mieli ubaw do końca życia". ©℗

ZUZANNA

Radzik:
Kraj twój i mój

Po prostu zniknęło, obudziłam się i go nie było. A przecież od 14 lat użytkuję je pod własnym nazwiskiem, nie wyzywam, nie zaczepiam, czasem poproszę kogoś, by już sobie poszedł i nie komentował. Fakt, najczęściej kolegów z Christianitas. W każdym razie moje konto zniknęło i obudziłam się poza internetową siecią społeczną, która osobom w moim wieku gwarantuje istnienie. Po wylegitymowaniu zupełnie niewirtualnym dokumentem maszyna odparła, że ma 30 dni na rozpatrzenie, czy jestem sobą i nie łamię zasad. 30 dni niebytu!

Niespodziewanie, pięć dni później, bez słowa wyjaśnień czy przeprosin, odzyskałam istnienie w wirtualu. Tylko po to, by po minucie jęknąć: czy źle mi było? Ktoś skrytykował to, co napisałam, stroskani znajomi słali pod moją nieobecność zapewnienia, że to niesprawiedliwość. Czy naprawdę źle mi było bez tych wzmożeń, dyskusji, emocji? Owszem, szympans we mnie karmi się nerwem tego systemu. Atakują, więc się bronimy. My i nasze stado. Może ta rzeczywistość istnieje tylko po to, żeby pompować emocje do wnętrza i drażnić, niczym espresso budzące nasz organizm na chwilę. Ale tu nie ma „na chwilę". Tu jest niekończący się przemarsz spraw, nakładek, petycji. A wszystko daje uzależniające poczucie przynależności i słuszności. Rzeczywistość szybko odzyskała swój wzburzony, gniewny rytm.

Napłynęły jeden za drugim tematy gorące, ważne, słuszne, przejmujące. Królowała wśród nich tęczowa Maryjka i związany z nią proces aktywistek. W wirtualu poczytałam braci katolików i siostry katoliczki, a w realu zaplanowałam na 17 lutego wyjazd do Płocka na proces. Pytanie Elżbiety Podleśnej o to, gdzie byli katolicy przeciwni nagonce na osoby LGBT, gdy tęczowa młodzież w obronie aktywistek protestowała pod sądem, wywierciło mi dziurę w sercu. Byliśmy nie tam, gdzie trzeba. Protestowaliśmy, ale na fejsie.

Pośród generowanych przez media społecznościowe uczuć ważne miejsce zajmuje zazdrość. W moim rankingu zazdrości ostatniego miesiąca wygrywają polityczne komentarze Łukasza Pawłowskiego, izraelscy znajomi ogłaszający przyjęcie drugiej dawki szczepionki oraz podekscytowani polityczną zmianą Amerykanie. Amerykanie i Amerykanki, bo one mają szczególne powody do entuzjazmu. Chcę cieszyć się z nimi, gdy zakładają w dzień inauguracji perły i piszą, że wszędzie leży szkło z tych rozbitych wiceprezydenturą Kamali Harris szklanych sufitów. Zazdrość mi nie pozwala na radość czy mała wiara, że teraz będzie już tylko lepiej?

Cała ta inauguracja jest jak amerykański film, drażni optymizmem. Trzymając się mocno swego sceptycyzmu, daję się uwieść tylko jednemu. Piosence. Skoczna, prosta, folkowa melodia sprawiła, że dobrze się ją śpiewa w klasie, na wiecu czy maszerując za równością praw obywatelskich. Było to dobrze widać na prezydenckiej inauguracji Baracka Obamy w 2009 r., gdy Bruce Springsteen z legendą amerykańskiego folku Pete'em Seegerem (ubranym w wełnianą czapkę i kraciastą koszulę) zaintonowali piosenkę do gitary tak, by ludzie mogli się włączyć. „Ta ziemia jest twoją ziemią, ta ziemia jest moją ziemią" – powracają teraz głosem Jennifer Lopez proste, włączające do wspólnoty słowa, które w latach 40. napisał Woody Guthrie. To niby niższy patriotyzm, ten od codziennego pejzażu i wspólnoty, a nie Bożego błogosławieństwa dla kraju i doniosłych bitew. I nie Ameryka stoi tu w centrum uwagi, ale jej mieszkańcy. „Ta ziemia została stworzona dla ciebie i dla mnie" – płynie piosenka. Z nią na ustach protestowano na nowojorskim lotnisku, gdy prezydent Trump ogłosił zakaz przyjazdu z niektórych państw. „This land was made for you and me" brzmiało wtedy wyjątkowo mocno.

Obietnica tej piosenki jest pogodna, ale ostrożna. Nie obiecuje jedności, ale że wszyscy się zmieszczą między kalifornijskim Redwood Forest a wodami Golfsztromu, dla wszystkich starczy miejsca. Może czas zmienić patriotyczne piosenki na właśnie takie? Choć w czasach, gdy nie chcemy przyjmować uchodźców, może i ona obiecuje zbyt wiele.

Puszczam wersję warkliwie śpiewaną przez Guthriego: „Pod biurem pomocy zobaczyłem moich. Gdy tak stali głodni, przystanąłem pytając, czy ten kraj został stworzony dla ciebie i dla mnie?". Tymczasem izba niższa parlamentu polskiego właśnie wybrała na Rzecznika Praw Obywatelskich – rzecznika twoich i moich praw – wiceministra i członka rządzącej partii. A my, zmieścimy się tu wszyscy? ©

TYGODNIK POWSZECHNY

Poczuj z nami wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet

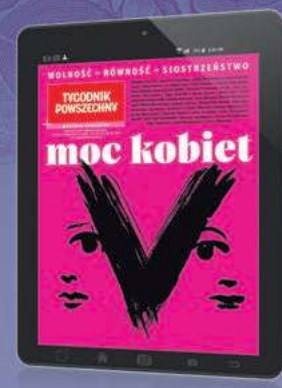

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STARY DONALD, NOWY JOE

Prezydent Biden chce udowodnić, że szybkie posprzątanie po rządach poprzednika jest możliwe. Z zakopaniem podziałów w Stanach będzie trudniej.

MARTA ZDZIEBORSKA

JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

Prezydent USA Joe Biden i pierwsza dama Jill Biden przybywają do Białego Domu. Waszyngton, 20 stycznia 2021 r.

Nowy przywódca Stanów Zjednoczonych obejmował urząd w wyjątkowych okolicznościach. Na oczach całego świata składał przysięgę prawie w tym samym miejscu, w którym dwa tygodnie wcześniej zwolennicy Donalda Trumpa rozpoczęli swój szturm na Kapitol.

Z obawy przed rozruchami podczas inauguracji Waszyngton zamienił się w twierdzę. W środę 20 stycznia ulice miasta ochraniało 26 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej, 15 tys. policjantów, funkcjonariuszy FBI i innych agentów federalnych. Ze względów bezpieczeństwa budynek Kongresu otoczono ponad dwumetrowym ogrodzeniem, odcięto wiele ulic, zamknięto stacje metra, a nawet mosty prowadzące do miasta z sąsiedniego stanu Wirginia.

W telewizyjnych relacjach z ceremonii uwagę przyciągały puste błonia przed Kapitolem, gdzie tradycyjnie w dniu zaprzysiężenia zbierał się wiwatujący tłum. Aby symbolicznie wypełnić tę pustkę, w ziemię wbito 200 tys. powiewających na wietrze amerykańskich flag. Pustka podyktowana była jednak przede wszystkim względami bezpieczeństwa sanitarnego: akurat w tych dniach liczba ofiar epidemii w Stanach przekroczyła kolejną historyczną granicę 400 tys. zmarłych (na frontach II wojny światowej zginęło 405 tys. Amerykanów).

Joe Biden obejmował urząd w towarzystwie około tysiąca zaproszonych gości, którzy mieli obowiązkowo maseczki i siedzieli w odległościach od siebie. Byli wśród nich członkowie Kongresu, sędziowie Sądu Najwyższego, a także byli prezydenci i wiceprezydenci. Podczas uroczystości śpiewali Lady Gaga, Jennifer Lopez i gwiazdor muzyki country Garth Brooks (politycznie bliski Republikanom). Na uroczystość wpuszczono tylko tych, którzy mieli negatywny wynik testu na koronawirusa.

Zakończmy tę wojnę

Dokładnie w południe, gdy formalnie rozpoczyna się kadencja nowego prezydenta, Biden wygłosił przemowę, podczas której nawiązał do zamieszek z 6 stycznia i apelował do Amerykanów o jedność.

„Wiem, że mówienie o wspólnocie może teraz wydawać się naiwną mrzonką, ale musimy zakończyć wojnę, która doprowadziła do podziału na dwa obozy. Możemy zacząć traktować innych z szacunkiem, bez krzyku i gwałtownych emocji. Musimy walczyć z nienawiścią, gniewem, ekstremizmem, bezprawiem, przemocą, bezrobociem i beznadzieją. To dzięki jedności jesteśmy w stanie pokonać pandemię koronawirusa, odbudować klasę średnią i zwalczyć nierówności rasowe. Zapewniam, że będę prezydentem wszystkich Amerykanów" – podkreślał nowy prezydent, który w trakcie kampanii wyborczej obiecywał, że „uzdrowi" duszę Ameryki.

Teraz gwarantował, że będzie „bronić prawdy, a nie kłamstw". Tych słów trudno było nie odnieść do zachowania Donalda Trumpa. Od tygodni insynuował on, że wybory zostały „skradzione", i że należy mu się reelekcja. Ustępujący ↦

prezydent rozsiewał teorie spiskowe także w dniu szturmu na Kapitol: przed rozpoczęciem sesji Kongresu, podczas której parlament miał oficjalnie zatwierdzić zwycięstwo Bidena, Trump przekonywał zwolenników, że jego następca będzie „nielegalnym" przywódcą. Trump zdążył już za te słowa zapłacić: zapisze się w podręcznikach jako pierwszy prezydent USA, który został dwukrotnie poddany procedurze impeachmentu.

O tym, czy jest winny „podżegania do rebelii", zadecyduje teraz Senat. Wprawdzie Trump nie jest już prezydentem, ale gdyby Senat uznał jego winę, mógłby to być punkt wyjścia do zablokowania mu możliwości startu w wyborach prezydenckich w 2024 r. (aby uniemożliwić mu ponowny start, większość senatorów musiałaby zdecydować o tym w kolejnym, oddzielnym głosowaniu).

Z atomową walizką na Florydę

Były już prezydent najwyraźniej nie przejął się konsekwencjami swojej retoryki i do końca pozostał sobą. Jako pierwszy amerykański przywódca od 1869 r. nie pojawił się na zaprzysiężeniu następcy. Nie przekazał mu też tzw. atomowej walizki, w której znajduje się karta z kodami umożliwiającymi użycie arsenału jądrowego. Trump zignorował obowiązujący od zimnej wojny zwyczaj i w ostatnich godzinach urzędowania poleciał do swojej rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie wraz z walizką. Chcąc nie chcąc, w podróż z nim udał się też oficer, który nad nią czuwa. W południe 20 stycznia Biden dostał więc zapasową walizkę, a Trump stracił dostęp do kodów nuklearnych.

Republikański polityk odleciał śmigłowcem spod Białego Domu już na cztery godziny przed zaprzysiężeniem Bidena. Kilka minut później zrobił przystanek w bazie wojskowej Andrews pod Waszyngtonem, gdzie przywitała go orkiestra wojskowa. W obecności garstki zwolenników, doradców i członków rodziny chwalił się, że w trakcie swojej kadencji obniżył podatki, nominował do Sądu Najwyższego trzech konserwatywnych sędziów i powołał szósty rodzaj sił zbrojnych, czyli siły kosmiczne. „Pod koniec rządów jestem dumny z tego, co wspólnie osiągnęliśmy. Zrobiliśmy wszystko, co chcieliśmy, a nawet o wiele więcej" – podkreślał. Podczas dziewięciominutowego przemówienia jedynie zdawkowo życzył nowej administracji „wielu sukcesów i szczęścia", nie wymieniając Bidena z nazwiska.

Partia Patriotów

Żegnając się na lotnisku, Trump zarzekał się, że „jeszcze powróci". Być może chodziło mu o plany dotyczące założenia nowego ugrupowania. Dziennik „Wall Street Journal" pisze, że zastanawia się on nad stworzeniem nowej formacji pod nazwą Partia Patriotów.

Po tym, co wydarzyło się na Kapitolu 6 stycznia, Trump może bowiem nie mieć czego szukać w szeregach Partii Republikańskiej. Podczas ceremonii pożegnalnej w bazie Andrews zabrakło prominentnych Republikanów: ustępującego wiceprezydenta Mike'a Pence'a i lidera tej partii w Senacie Mitcha McConnella. Ten ostatni dzień wcześniej oskarżył Trumpa o podżeganie do zamieszek w Waszyngtonie. „Tłum, który wtargnął do Kapitolu, był karmiony kłamstwami. Został sprowokowany przez prezydenta i innych wpływowych ludzi" – mówił podczas obrad Senatu. Zamiast pożegnać Trumpa, McConnell wybrał się z Bidenem na poranną mszę w katolickiej katedrze św. Mateusza Apostoła w Waszyngtonie (nowy prezydent jest praktykującym katolikiem). Dołączył do nich lider mniejszości republikańskiej w Izbie Reprezentantów Kevin McCarthy. On też wini Trumpa za szturm na Kapitol.

Od Trumpa zaczynają odwracać się także członkowie skrajnie prawicowego ugrupowania Proud Boys, którzy brali udział w zamieszkach w Waszyngtonie. Dziennik „New York Times" twierdzi, że w wiadomościach wysyłanych przez komunikator Telegram ekstremiści ci nazywają Trumpa „niezwykle słabym" i apelują, by nie chodzić na jego wiece. Być może protrumpowski entuzjazm stopniał wraz z kolejnymi aresztowaniami uczestników zamieszek. W dniu zaprzysiężenia zatrzymano Josepha Biggsa, jednego z liderów Proud Boys.

Przysługa last minute

Trump nie zawiódł się za to na swoich zwolennikach z West Palm Beach na Florydzie, którzy witali go wzdłuż trasy wiodącej do rezydencji Mar-a-Lago. Wspierają go także wyznawcy teorii spiskowej QAnon głoszącej, że Trump prowadzi tajną walkę z grupą rządzących światem satanistów-pedofilów. Z okazji inauguracji Bidena niektórzy stworzyli nawet nową teorię: byli przekonani, że Donald Trump pojawi się w nieoczekiwanym momencie i unicestwi zebranych przed Kapitolem Demokratów. Serwis telewizji NBC News przywołuje internetowy wpis jednego ze zwolenników byłego prezydenta, który oglądał w telewizji zaprzysiężenie Bidena: „To nie powinno mieć miejsca. Ile jeszcze czasu zajmie funkcjonariuszom federalnym, by wejść po schodach i go aresztować?". Na Telegramie krążyły też teorie podsycające nadzieje, że ich idol w ostatniej chwili użyje armii i nie dopuści do zaprzysiężenia następcy.

Trump znalazł inny sposób, by wzbudzić na koniec pewną sensację. W ostatnim dniu prezydentury ułaskawił swojego byłego doradcę Steve'a Bannona, który w 2016 r. pomógł mu wygrać wyścig o Biały Dom, a niedawno rozsiewał teorie spiskowe na temat ostatnich wyborów. Ułaskawienie Bannona, który był oskarżony o zdefraudowanie funduszy na budowę muru na granicy z Meksykiem, wzbudziło kontrowersje z dwóch powodów. Po pierwsze, Bannon został ułaskawiony poniekąd na wszelki wypadek – zanim zapadł w jego sprawie wyrok. Po drugie, wygląda na to, że podgrzewał nastroje przed szturmem na Kapitol. Dzień wcześniej w swoim internetowym podkaście „War Room" („Pokój narad") zapowiedział słuchaczom, że „jutro rozpęta się piekło". Jak donosi „Forbes", Bannon stworzył też na Facebooku grupę, gdzie przekonywał swoich fanów: „Trzeba działać. Oni próbują skraść wybory prezydenckie".

Trump dołączył Bannona do listy ułaskawionych w trybie last minute. Wśród tych 74 szczęśliwców znalazł się też raper Lil Wayne (zwolennik byłego już teraz prezydenta) i biznesmen Elliott Broidy, który cztery lata temu wspierał finansowo jego kampanię wyborczą. To kolejny raz, gdy Trump ułaskawia swoich sojuszników. Pod koniec zeszłego roku poratował m.in. Rogera Stone'a i Paula Manaforta; obaj zostali skazani w kontekście afery Russiagate (chodziło w niej o kontakty sztabowców Trumpa z Rosjanami przed wyborami prezydenckimi w 2016 r.).

„New York Times" pisze, że sprawa ułaskawień mogła mieć też kontekst biznesowy: nowojorski dziennik donosi o lobbystach z otoczenia Trumpa, takich jak były prokurator federalny Brett Tolman, który w zamian za odpowiednią kwotę miał obiecywać bogatym skazańcom szybkie wyjście na wolność.

Seria dekretów

Trump namieszał jeszcze na odchodne, znosząc obowiązujące od niemal roku restrykcje epidemiczne dla podróżujących do USA z Europy i Brazylii. Biden zapowiedział szybko, że obostrzenia przywróci zaraz po zaprzysiężeniu.

Już w pierwszych godzinach urzędowania w Gabinecie Owalnym Biden wydał kilkanaście dekretów, które w dużej mierze zrywają z dziedzictwem politycznym Trumpa. Nowy prezydent wstrzymał więc proces wychodzenia Stanów ze Światowej Organizacji Zdrowia i podjął decyzję o powrocie USA do paryskiego porozumienia klimatycznego. Dotrzymał też obietnic wyborczych w sprawie polityki migracyjnej: zniósł wprowadzony przez Trumpa zakaz podróży do Stanów dla obywateli niektórych państw zamieszkanych przez muzułmanów, wstrzymał finansowanie muru na granicy z Meksykiem i opowiedział się za programem chroniącym tzw. marzycieli (to ludzie, którzy do Stanów przybyli nielegalnie jako dzieci).

Jednak najpilniejsze wyzwanie to dla Bidena stawienie czoła epidemii. W drodze rozporządzenia prezydent wprowadził nakaz noszenia masek w budynkach federalnych i utworzył stanowisko koordynatora odpowiedzialnego za dystrybucję szczepionek. Wychodząc naprzeciw Amerykanom, których nie stać na opłatę rachunków, przedłużył moratorium na eksmisje i na spłatę federalnych pożyczek studenckich. Jeszcze przed zaprzysiężeniem przedstawił też nowy projekt pakietu pomocowego dla gospodarki, który obejmuje m.in. wypłaty po 1400 dolarów dla większości Amerykanów.

Przetrwamy ten czas

Przed upływem pierwszej doby urzędowania nowa administracja opublikowała również 23-stronicowy plan walki z epidemią. Zakłada on m.in. zwiększenie liczby wykonywanych testów, przyspieszenie dystrybucji szczepionki, stopniowe otwieranie szkół i finansowe wsparcie dla władz lokalnych oraz stanowych.

Te ostatnie wyjątkowo nie radzą sobie z dystrybucją szczepionek. Od połowy grudnia do 20 stycznia zaszczepiono 16,5 mln Amerykanów – to znacznie mniej, niż zakładano, bo tylko do końca zeszłego roku pierwszą dawkę miało dostać 20 mln osób. Administracja Bidena chce w ciągu stu dni prezydentury zaszczepić 100 mln Amerykanów. Prezydent apeluje do rodaków, by zachowywali się odpowiedzialnie i nosili maski.

Być może Bidenowi łatwiej będzie osiągać sukcesy na arenie światowej niż wewnętrznej, w podzielonym kraju.

Ostrzega też otwarcie, że w lutym liczba zgonów z powodu COVID-19 może sięgnąć 500 tys. „Ale przetrwamy ten trudny czas. Pokonamy pandemię" – przekonuje Biden, który podpisał 10 dekretów dotyczących wyłącznie walki z koronawirusem. Wprowadził nimi kolejne restrykcje: Amerykanie będą musieli nosić maski na lotniskach, w samolotach, pociągach i na statkach. Przylatujących do Stanów ma obowiązywać kwarantanna.

Jeszcze bez gabinetu

Bidenowi byłoby zapewne łatwiej stawić czoło kryzysowi, gdyby Senat szybko zatwierdził nominacje jego kandydatów do rządu. Do czwartku 21 stycznia zielone światło dostała jedynie Avril Haines, nowa dyrektorka wywiadu narodowego i zarazem pierwsza kobieta w historii USA na tym stanowisku. Pod koniec minionego tygodnia, gdy zamykaliśmy ten numer „Tygodnika", na zatwierdzenie nominacji czekali kandydaci do innych kluczowych stanowisk: przyszły sekretarz zdrowia, stanu, skarbu, obrony czy bezpieczeństwa krajowego.

Administracja Bidena jest w tej kwestii nieco w tyle. Trump zaczynał urzędowanie, mając już u boku sekretarzy obrony i bezpieczeństwa krajowego. Dziennik „USA Today" przypomina, że Barack Obama miał na tym etapie już sześciu ministrów. Niewykluczone więc, że Demokraci pójdą Republikanom na rękę i opóźnią rozpoczęcie przesłuchań w sprawie impeachmentu Trumpa w Senacie – wszystko po to, aby nie sparaliżować procesu zatwierdzania nowego gabinetu.

Ameryka i świat

Dla Polski i świata szczególnie interesująca jest postać Antony'ego Blinkena, który pokieruje polityką zagraniczną. Ten były zastępca sekretarza stanu w administracji Obamy przeszedł już przesłuchanie w senackiej komisji, potrzebne do zatwierdzenia. Odpowiadając na pytania senatorów, Blinken mówił, że będzie dążyć do odbudowy amerykańskiego przywództwa na świecie. Powiedział, że jego zdaniem największym wyzwaniem dla USA są teraz Chiny, i nie krył się z aprobatą dla niektórych działań administracji Trumpa w tej kwestii: chwalił twardy kurs wobec Pekinu. Zapowiedział też, że utrzyma ambasadę Stanów Zjednoczonych w Jerozolimie (to, gdzie powinna znajdować się stolica Izraela, jest z punktu widzenia prawa międzynarodowego kwestią sporną: wschodnia część Jerozolimy to teren okupowany). Z kolei o perspektywie zawarcia nowego układu nuklearnego z Iranem Blinken mówił ostrożnie. Podobnie jak za rządów Trumpa, Stany będą sprzeciwiać się budowie gazociągu Nord Stream 2.

O ile wygląda więc na to, że definicja interesów Ameryki w kluczowych sprawach globalnych nie ulegnie większej zmianie, o tyle z pewnością modyfikacji ulegnie retoryka. A także podejście do rozwiązywania problemów: komentatorzy przypuszczają, że Biden i Blinken będą chcieli działać zespołowo, opierając się na wielostronnych sojuszach.

Polaryzacja

Może się wręcz okazać, że w bardzo spolaryzowanych Stanach Bidenowi łatwiej będzie osiągać sukcesy na arenie światowej niż wewnętrznej. Republikańscy senatorzy już teraz krytykują jego projekt dotyczący kolejnego zastrzyku finansowego dla gospodarki. Republikanie staną też zapewne okoniem wobec planów reformy polityki migracyjnej.

Tymczasem rozkręca się antybidenowska machina w postaci konserwatywnej telewizji Fox News. Ta sama stacja, która rozsiewała teorie spiskowe Trumpa dotyczące wyborów, dziś kpi z zaprzysiężenia nowego prezydenta. Sean Hannity, gwiazdor Fox News, insynuował, że Biden ma problemy z demencją. Inny prowadzący stacji, Tucker Carlson, żartował z wypowiedzi Bidena na temat walki z amerykańskim ekstremizmem.

Zwolennicy Trumpa i wszelkiej maści antysystemowcy chłoną takie emocje. Jeszcze przed zaprzysiężeniem Bidena liderzy ekstremistycznych środowisk pisali na internetowych forach: „Nie jedźcie do Waszyngtonu. Poczekamy na inny moment". © MARTA ZDZIEBORSKA

WESTEND61 / GETTY IMAGES

Coraz więcej starszych Niemców wymaga opieki w domu

Czy potrzeba opiekunki?

ŁUKASZ GRAJEWSKI, CARINA HUPPERTZ, JONAS SEUFERT Z NIEMIEC

Polskie firmy wysyłają Ukrainki do Niemiec, by pracowały tam nielegalnie jako opiekunki seniorów – wynika ze wspólnego śledztwa „Tygodnika Powszechnego", „Süddeutsche Zeitung" i magazynu ARD „Fakt".

Swietłana otwiera oczy i widzi nad sobą dwie postacie. Rozpoznaje swoją podopieczną i jej córkę. Wskazują na nią palcem i mówią do siebie coś po niemiecku. Ukrainka przed chwilą straciła przytomność. – To był skutek narastającego z dnia na dzień napięcia – powie tydzień po zdarzeniu w rozmowie z „Tygodnikiem".

„Dłużej tak nie wytrzymam" – myśli wówczas. Dzwoni do koordynatorki polskiej firmy, która ponad miesiąc wcześniej wysłała ją na wschodnioniemiecką prowincję, aby tam opiekowała się niemiecką seniorką. „Jedź do lekarza" – słyszy głos w telefonie. Tylko jechać nie ma czym, a do najbliższego miasta z lekarzem jest ok. 9 km. Za oknem już ciemno. Wieś, w której mieszka, z wszystkich stron otacza las.

Swietłana (imiona bohaterek tekstu zostały zmienione) zostaje w domu podopiecznej, ale przez noc planuje ucieczkę. W internecie szuka możliwości powrotnego transportu na Ukrainę. Polska agencja chce, by wytrzymała do końca kontraktu. Obiecuje, że da znać niemieckiej firmie, która w skomplikowanej sieci układów odpowiada za kontakt z rodziną. Następnego dnia do podopiecznej Swietłany i jej córki dzwoni niemiecka agencja i informuje o zerwaniu umowy.

Atmosfera w mieszkaniu gęstnieje. Rodzina nie chce wypuścić kobiety. Mimo to Swietłana pakuje walizkę i wychodzi.

Jest sama w obcym kraju, ponad tysiąc kilometrów od domu. Bus, którym wyruszy w kierunku zachodniej Ukrainy, gdzie mieszka, przyjedzie jutro. Swietłana puka do sąsiadów i przez aplikację do tłumaczenia prosi o nocleg. – Na szczęście trafiłam na dobrych ludzi – wspomina.

Dwa miesiące, które spędziła u niemieckiej rodziny, określa dziś jako pasmo nieporozumień, upokorzeń i werbalnej przemocy. – Codziennie miałam poczucie, że jestem w jakimś obozie, a nie w normalnej rodzinie – relacjonuje. 80-letnia seniorka, z powodu stanu zdrowia leżąca w łóżku, miała krzykiem wyrażać dezaprobatę. Według niej Ukrainka źle gotowała, za długo jadła, była za głośna, nie rozumiała poleceń. – Moralne tortury – mówi Swietłana.

30 grudnia 2020 r. Ukrainka wraca do domu. Nowy rok zaczyna się od kłopotów. Polska agencja nie chce wypłacić jej 900 euro, które miała dostać. Firma pisze, że Swietłana wbrew umowie opuściła podopieczną. W tym sporze Ukrainka jest na przegranej pozycji. W rozmowie z „Tygodnikiem" twierdzi, że choć podpisała polską umowę o pracę, to nigdy nie dostała jej egzemplarza, a w Niemczech pracowała nielegalnie.

Policyjna obława

25 listopada 2020 r. na terenie całych Niemiec policjanci i celnicy przeprowadzili rewizje w pomieszczeniach 71 niemieckich firm-pośredników, które we współpracy z polskimi agencjami werbowały do Niemiec tzw. opiekunki 24h. To zwykle kobiety z Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które mieszkają w prywatnych domach osób starszych i opiekują się nimi całodobowo.

Skala zjawiska jest wielka, choć trudna do precyzyjnego ustalenia. Szacunki mówią nawet o 500 tys. osób, które pracują w ten sposób w Niemczech – legalnie, półlegalnie albo zupełnie na czarno. Popyt jest duży, niemieckie społeczeństwo się starzeje. Pod koniec tej dekady nawet milion Niemców będzie potrzebować całodobowej opieki w domu.

Policyjny nalot, w którym brało udział około tysiąca funkcjonariuszy, był wymierzony w firmy, które do Niemiec zaczęły ściągać Ukrainki – zdaniem policji nielegalnie. Akcja była zwieńczeniem trwających trzy lata przygotowań organów ścigania – i równocześnie początkiem naszego śledztwa, w którym oprócz „Tygodnika Powszechnego" wziął udział dziennik „Süddeutsche Zeitung" oraz „Fakt", magazyn niemieckiej telewizji publicznej ARD.

Na początku grudnia 2020 r. ustalamy w Prokuraturze Okręgowej w Gliwicach, że na wniosek strony niemieckiej polscy śledczy przeszukali biuro jednej z firm na południu Polski, która wysyła pracownice do Niemiec. Jej przychody w 2019 r. to kilkadziesiąt milionów złotych.

Informacja z prokuratury ustala kierunek naszego dziennikarskiego śledztwa.

Już w 2019 r. do jednego z warszawskich adwokatów zgłaszają się Ukrainki, które twierdzą, że zostały poszkodowane przez to przedsiębiorstwo. Adwokat przekazuje kontakty dziennikarzom. Firma miała zostawić kobiety bez pomocy w wyjątkowo trudnych rodzinach, a po powrocie do kraju miały nie otrzymać części wynagrodzenia lub wręcz otrzymały wezwania do zapłacenia kar.

Docieramy do kolejnych kobiet z Ukrainy, które pracują lub pracowały w ostatnich latach w Niemczech dla firmy będącej na celowniku niemieckich śledczych. Ukrainki komunikują się między sobą przez sieć nieoficjalnych grup na Facebooku i Viberze (komunikatorze, który jest popularny na Ukrainie). Nasze pierwsze rozmówczynie otwierają nam dostęp do zamkniętych grup, w których bez ceregieli opisują sposoby na wjazd do Niemiec bez dokumentów oraz ostrzegają się przed „złymi" pośrednikami i szczególnie trudnymi podopiecznymi. Wiele odmawia rozmów z mediami. Jednak część dzieli się informacjami i dokumentami, które uwiarygadniają zarzuty stawiane przez niemieckie organy ścigania.

Daryna lubi ryzyko

Daryna z roku na roku coraz częściej słyszy o możliwości pracy w Niemczech. Po wpisaniu słów kluczowych w wyszukiwarce znajduje strony agencji, które oferują zatrudnienie w roli opiekunki seniorów w Niemczech. Zgłasza się do kilku. Firma, którą się interesujemy, odzywa się jako pierwsza – Daryna wspomina to w rozmowie telefonicznej z „Tygodnikiem". Ukrainka ma już doświadczenie w pracy za granicą – w poprzednich latach zamiast odpoczywać na urlopie, pracowała sezonowo w Polsce.

Opowiada nam, jak po telefonicznej rekrutacji przyjechała do Polski, by podpisać umowę-zlecenie. Potem czekała w biurze kilka godzin, a wieczorem wsiadła już do minibusa i razem z pozostałymi siedmioma kobietami z Polski i Ukrainy pojechała do Niemiec. – Wiem, że to nieleg... – nie kończy słowa. – Że to nie jest prawidłowe – poprawia się, po czym wybucha śmiechem. Daryna nie boi się konsekwencji. – Ja nie z takich ludzi. Lubię ryzyko – przekonuje. Trafia do dobrej rodziny, w której potrafi sobie poradzić z opieką nad 82-letnim podopiecznym.

Problemy pojawiają się wraz z epidemią, która w pierwszych miesiącach destabilizuje wysyłanie opiekunek do Niemiec. Ze względu na utrudnienia na granicach i strach przed chorobą wiele kobiet rezygnuje z wyjazdu. Firma nie może znaleźć zmienniczki dla Daryny, a jej kończy się termin pobytu, przysługujący jej z racji posiadania paszportu biometrycznego. Oficjalnie przebywa w Niemczech jako turystka.

Żeby nie zostawić podopiecznego, zostaje dłużej niż dozwolone trzy miesiące. Z każdym kolejnym dniem naraża się na potencjalne kary, np. wieloletni zakaz wjazdu do Niemiec. W końcu przy braku reakcji firmy postanawia wrócić do domu na własną rękę. Informuje niemiecką rodzinę, że ta musi sama zaopiekować się własnym ojcem. Wraca przez Austrię i Węgry. – Wolałam uniknąć kontroli na granicy polsko-ukraińskiej – tłumaczy. Wkrótce jest w domu.

Również ona, podobnie jak Swietłana, zostaje przez firmę oskarżona o pozostawienie podopiecznego bez opieki i otrzymuje na koniec mniej niż ustalone 800 euro za przepracowany miesiąc.

Postępująca emancypacja

Dlaczego polskie firmy ryzykują i wysyłają nielegalnie do Niemiec obywatelki Ukrainy?

– Zasób opiekunek z Polski już praktycznie się wyczerpał – mówi Kamil Matuszczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami Uniwersytetu Warszawskiego. Polki wyjeżdżają do Niemiec w tej roli od kilku dekad. Jeszcze pod koniec XX w. pracują głównie na czarno. Po wejściu Polski do Unii i otwarciu niemieckiego rynku pracy w 2011 r. do gry wkraczają firmy. Odtąd regularnie pojawiają się sygnały na temat wykorzystywania i złych warunków, jakie napotykają w Niemczech polskie opiekunki. Jednak w porównaniu do Ukrainek ich pozycja wobec rodzin i firm jest dziś i tak zupełnie inna, lepsza. ↦

↦ – Jak przyjeżdżam do rodziny, to mówię, czego oczekuję, i o której godzinie kończę pracę. Wiem, że należą mi się dwie godziny przerwy – mówi nam Weronika. Z Polką, która od wielu lat pracuje dla polskiej agencji, nawiązujemy kontakt przez sieć doradczą Uczciwa Mobilność, finansowaną przez niemieckie związki zawodowe. Pracownicy tej organizacji od lat doradzają polskim opiekunkom. Organizują spotkania, na których kobiety dzielą się doświadczeniami i radami, np. za jakie stawki warto pracować. Wynagrodzenia z roku na rok rosną, postępuje też emancypacja polskich opiekunek.

Weronika jest w stałym kontakcie z doradcami. – Znam swoje prawa – powtarza z przekonaniem, gdy spotykamy się w jednym z miast Nadrenii Północnej-Westfalii. Jest zadowolona z relacji z rodzinami. A jeśli podopieczny jej nie odpowiada, dzwoni do agencji i prosi o zmianę. W rozmowie z „Tygodnikiem" zdradza, że zarabia blisko 1500 euro miesięcznie.

Weronika wraca do początków swojej przygody z zawodem opiekunki. Podobne historie słyszymy od innych kobiet z Polski i Ukrainy, z którymi przeprowadzamy wywiady na przestrzeni ostatnich dwóch miesięcy. Ich akcja dzieje się w polskich i ukraińskich miasteczkach. Kobiety, zwykle po pięćdziesiątce, tracą pracę. Weronika pracę biurową, Mariola w śląskiej kopalni, Daryna w firmie trudniącej się wyrębem drewna, a Swietłana w ukraińskim szpitalu (gdzie i tak pracowała za bardzo niskie wynagrodzenie). Ich szanse na znalezienie nowej pracy na miejscu są małe. Jadą do Niemiec nie tylko z myślą o sobie, lecz aby wesprzeć swoje dzieci, przeważnie wchodzące właśnie w dorosłość. Studia, śluby, kredyty na mieszkania. To i wiele więcej finansują z pieniędzy zarobionych w Niemczech.

Ukrainki zarabiają mniej

– Najwyraźniej na początku przygody bycia opiekunką trzeba trochę dostać po tyłku. Ale po kilku latach, jeśli ktoś ma wykształcenie pielęgniarskie i zna dobrze język, to dyktuje warunki – przekonuje Kamil Matuszczyk z UW. – Tak naprawdę mało kto w Polsce zarabia na rękę ponad 1500 euro [ok. 6800 zł – red.], a takie stawki to coraz częściej standard w tej branży. Praca bywa ciężka, godziny jej wykonywania nie są przestrzegane, ale te kobiety przywożą praktycznie całą tę kwotę do Polski. Mają transport *door to door*, bezpłatne zakwaterowanie i wyżywienie. To nie są współczesne niewolnice – uważa ekspert.

ŁUKASZ GRAJEWSKI

„Jak przyjeżdżam do rodziny, mówię, czego oczekuję" – Weronika, Polka, zna swoje prawa.

Proces emancypacji polskich opiekunek oznacza dla firm rosnące koszty. Polki, z którymi rozmawialiśmy, zarabiają przeważnie 1200–1400 euro netto i nie jest to ich ostatnie słowo. Weronika jest przekonana, że powinna zarabiać więcej. Rodziny, u których pracowała, pokazywały jej rachunki od polskiej agencji, która za miesiąc opieki pobiera ok. 2,5 tys. euro. – To przesada, żeby oni brali połowę dla siebie – mówi o agencjach Weronika.

Kamil Matuszczyk zwraca jednak uwagę na rzeczywisty zysk firm: – Jeśli agencja wysyła pracowników legalnie, musi zapłacić składki na ubezpieczenia społeczne, a to już ponad 200 euro. Dodatkowo suma jest dzielona między pośrednikami polskim i niemieckim. Kolejne koszty to rekrutacja opiekunek i koszty administracyjne – wylicza.

Po każdym podwyższeniu płacy o 100 euro agencjom zostaje mniej, natomiast każda oszczędność o 100–200 euro miesięcznie przy skali wysyłanych opiekunek to rocznie duży zysk. Tymczasem Ukrainki, z którymi rozmawiamy, zarabiają najwyżej 900 euro na miesiąc.

Podróżując między domami niemieckich seniorów, nasze polskie rozmówczynie stale napotykają Ukrainki. – Ja się z nimi trzy razy zmieniałam. To nieporozumienie – uważa Weronika. W jej opinii Ukrainki nie znają języka i nie mają doświadczenia w opiece nad osobami starszymi. Można wyczuć jej niechęć: nie widzi w nich koleżanek z branży, ale konkurencję.

I *vice versa*. – Ukrainki pracują bardzo dobrze. Gotują, sprzątają, przyjeżdżają zarobić. A Polki przyjeżdżają odpocząć – uważa Olga, która przez lata pracowała w Niemczech dla polskich agencji. – Zmieniałam Polki i zawsze byłam w szoku. A moja wypłata zawsze była mniejsza – Olga nie ukrywa zdenerwowania. – Niemieckie rodziny chcą, żeby przyjeżdżały do nich Ukrainki – przekonuje.

Jak to się robi?

Teoretycznie legalne wysłanie Ukrainek przez polską firmę do pracy w Niemczech nie jest niemożliwe.

O przepisy pytamy w różnych miejscach: w niemieckiej ambasadzie w Warszawie, MSZ w Berlinie i niemieckim urzędzie celnym. Z odpowiedzi wynika, że osoba spoza Unii, która jest zatrudniona w polskiej firmie, może zostać oddelegowana do Niemiec na okres nie dłuższy niż 90 dni w ciągu 12 miesięcy. Warunkiem jest posiadanie zezwolenia na pobyt rezydenta długoterminowego Unii. Ten status można zdobyć dopiero po pięciu latach mieszkania w kraju unijnym, np. w Polsce. Tymczasem nasze ukraińskie rozmówczynie mówią, że jeśli w ogóle były w Polsce, to najwyżej po to, aby podpisać umowę-zlecenie i często jeszcze tego samego dnia odjechać minibusem do Niemiec.

Drugą możliwością legalnego świadczenia usług w Niemczech przez osoby spoza Unii, zatrudnione przez polskie firmy, jest otrzymanie wizy „Vander Elst". To specjalna niemiecka wiza, po którą chętny musi zgłosić się osobiście do ambasady w Warszawie. Jednak przez dwa miesiące nie znajdujemy nikogo, kto by się o ten dokument ubiegał.

Bez statusu rezydenta lub wizy Ukrainki pracują w Niemczech nielegalnie.

MATERIAŁY AUTORÓW TEKSTU

Na Ukrainie, gdzie płaca często wynosi kilkaset złotych, Swietłana pracowała w szpitalu.

W świetle niemieckiego prawa nic nie zmienia tu podpisanie umowy z polskim pracodawcą.

Do podejmowania ryzyka przedsiębiorców może popychać obecna sytuacja w kraju. Po wejściu do Unii Polska szybko stała się czempionem delegowania.

– Szacuje się, że w 2019 r. w całej Unii pracowników delegowanych było ponad dwa miliony, z tego pół miliona to pracownicy polskich firm – tłumaczy Stefan Schwarz, prezes Europejskiego Instytutu Mobilności Pracy (organizacji, która zrzesza przedstawicieli firm delegujących pracowników).

– Jeśli widzimy, że w jakiejś branży polscy pracodawcy delegują Ukraińców, to możemy być pewni, że wynika to z desperacji i braku możliwości znalezienia do wykonania tej pracy obywateli państw Unii, ponieważ legalne delegowanie obywateli państw trzecich wymaga wielu zabiegów administracyjnych. Jest drogie i skomplikowane – mówi Schwarz.

Przemysł migracyjny

Do podejmowania ryzyka motywuje też ogromna dysproporcja dwóch sąsiadów Polski. Po zachodniej stronie są Niemcy, najbogatszy kraj Europy, a po wschodniej Ukraina, jeden z najbiedniejszych krajów kontynentu, gdzie płaca to często równowartość kilkuset złotych.

– Analizowałem najróżniejsze przykłady migracji opiekuńczych na świecie, od Japonii, Tajwanu i Włoch po kraje afrykańskie. Nigdzie nie spotkałem się z tak prężnie i dynamicznie rozwijającym się przemysłem migracyjnym, jak między Ukrainą, Polską i Niemcami – stwierdza Kamil Matuszczyk z UW.

W 2019 r. Matuszczyk doliczył się 274 agencji działających na terenie Niemiec i 225 agencji w Polsce. To te działające legalnie – bo równolegle istnieje armia pośredników funkcjonujących w szarej strefie i oferujących pracę wyłącznie na czarno.

Stefan Schwarz zwraca uwagę na wieloletnią pobłażliwość strony niemieckiej wobec szarej strefy, która zdominowała rynek opieki domowej: – Nie było żadnych kontroli ani jasnych reguł. Na rynku zaczął wygrywać ten, kto jest w stanie zaoferować tańszą usługę, a nie ten, kto lepiej dba o personel czy oferuje usługę lepszej jakości. Niemiecki klient zawsze może powiedzieć, że jak firma nie obniży ceny, to zatrudni opiekunkę na czarno, bo wie, że nie poniesie z tego tytułu żadnych konsekwencji.

Niemieckie związki zawodowe i media od lat alarmowały na temat warunków pracy opiekunek z krajów unijnych, przede wszystkim z Polski. Pojawiające się w niemieckich reklamach hasło „opieka 24h" sugeruje dostarczenie osoby gotowej do pracy w dzień i w nocy, włączając weekendy. Polskie umowy-zlecenia podpisywane przez opiekunki w żaden sposób nie regulują czasu pracy i dokładnego zakresu obowiązków.

Mimo góry wątpliwości żaden niemiecki urząd długo nie podejmował działań. Dla niemieckiej polityki to temat tabu. Panuje poczucie, że bez utrzymania sytuacji w takim kształcie jak teraz system opieki nad najstarszymi po prostu się zawali. – Listopadowa akcja niemieckiej policji to postawienie dolnej granicy: pokazanie branży, co wolno, a czego nie wolno – uważa Stefan Schwarz.

Problemy komunikacyjne

Problemem całego systemu jest nie tylko jego nielegalny segment i fakt, że praca nielegalna prowadzi do ubezwłasnowolnienia i gorszych warunków pracy Ukrainek.

– Najsłabszym ogniwem pozostaje podopieczny, który jest słaby, schorowany i zależny od innych osób – zwraca uwagę Kamil Matuszczyk. – To osoby w ciężkiej sytuacji psychicznej, często bez możliwości zgłoszenia przemocy czy złego traktowania. Każda kolejna zmiana opiekunki jest dla nich trudna. A do zmiany dochodzi przeważnie co sześć-osiem tygodni. Po upływie tego czasu pojawia się nowa twarz. O tym za mało się mówi.

Jak niejednoznaczne mogą być relacje rodzin i opiekunek, przekonujemy się, gdy odwiedzamy dom, z którego uciekła Swietłana. Spodziewamy się pary z sadystycznymi skłonnościami. Drzwi otwiera uprzejma 55-letnia kobieta, córka byłej podopiecznej Ukrainki.

– Wychodzę do pracy na osiem godzin, oboje rodzice mają trzeci stopień niepełnosprawności i leżą w łóżku [jej ojciec mieszka osobno – red.]. To nie jest łatwe – mówi nam córka. Twierdzi, że z pracy opiekunki była zadowolona, a nagła decyzja o wyjeździe była dla niej zaskoczeniem. – Zostawiła wszystkie prezenty bożonarodzeniowe. To był dla mnie szok – opowiada kobieta.

Domyśla się, że powodem stresu u Ukrainki mogły być problemy komunikacyjne – Swietłana nie znała niemieckiego. Do tego dochodzą różnice kulturowe. Córka wspomina, jak mówiła Swietłanie *„geh raus"* i pokazywała ręką drzwi. Chciała, aby ta zrobiła sobie przerwę. Jednak przez osoby z naszego regionu mieszanka języka niemieckiego i bezpośredniości może wydać się agresywna. Do tego dochodzi charakter pracy. – No cóż, moja mama mówiła mi, że to w końcu pracownik zatrudniony na 24 godziny na dobę – przyznaje córka. – Ale nikt przecież nie może tyle pracować – dodaje.

W trakcie naszej rozmowy do mieszkania wchodzi młoda kobieta. Niemiecka agencja zdążyła w ostatnich dniach przysłać nową opiekunkę. Także ona przyjechała z Ukrainy.

Biznes będzie kwitł

Po wysłuchaniu świadectw ukraińskich opiekunek wysyłamy listę szczegółowych pytań do dwóch polskich agencji. ↦

↦ Firma z południa Polski, którą interesują się niemieckie organy ścigania, odmawia udzielenia nam jakichkolwiek odpowiedzi. Drugie przedsiębiorstwo, które do Niemiec wysłało Swietłanę, zasłania się poufnym charakterem danych zatrudnianych osób. Kobieta informuje nas w międzyczasie, że po tym, jak poinformowała agencję, iż nawiązała kontakt z dziennikarzami, ta wypłaciła jej część należności za grudzień.

Niezależnie od pytań prosimy o przysługę redakcyjnego kolegę, dla którego rosyjski jest językiem ojczystym. 19 stycznia dzwoni na podany na stronie internetowej polskiej firmy numer telefonu i podaje się za kuzyna kobiety z Ukrainy, która chce wyjechać do pracy do Niemiec. W odpowiedzi słyszy, że agencja dwa miesiące temu wstrzymała rekrutację osób z Ukrainy i Rosji. Konsultantka firmy nie zdradza powodów. – Mamy nadzieję, że wkrótce wznowimy tę działalność – dodaje na koniec i prosi o ponowny telefon pod koniec stycznia.

Tego samego dnia kontaktuje się z nami jedna z niemieckich agencji, z którą wcześniej rozmawialiśmy na temat sytuacji na rynku i jej kontaktów z polskimi firmami. Jej przedstawiciel przesyła nam maila, którego otrzymał od agencji z Opola. „Dzień dobry, chciałbym zapytać, czy potrzebują może państwo opiekunki?" – brzmi początek listu napisanego łamanym niemieckim. Firma załącza CV kandydatek: wszystkie cztery to Ukrainki, pracę chcą podjąć natychmiast.

Kamil Matuszczyk jest przekonany, że biznes będzie kwitł. – Niemiecka rodzina zrezygnuje z wakacji w Egipcie lub z nowego volkswagena, ale z opieki nad własną matką lub ojcem już nie. Zapotrzebowanie na nowy personel opiekuńczy będzie w Niemczech stale rosnąć. ©

ŁUKASZ GRAJEWSKI jest stałym współpracownikiem „TP" w Niemczech.

CARINA HUPPERTZ jest dziennikarką śledczą publicznego regionalnego radia i telewizji MDR.

JONAS SEUFERT stale współpracuje z tygodnikiem „Die Zeit", pisze m.in. o wyzysku pracowników i migracji.

Jeż w spodniach Putina

ANNA ŁABUSZEWSKA

Powrót Aleksieja Nawalnego do Rosji to wyzwanie dla stabilności reżimu. Czy człowiek podważający fundamenty putinowskiej kleptokracji dopnie swego? Na pewno Kreml będzie przeciw niemu grać ostro.

Od ponad 20 lat Władimir Putin stara się oczyścić pole gry z elementów niepożądanych, które mącą jego monopol władzy. Stopniowo zaostrzane przepisy blokują alternatywne inicjatywy, poddają kontroli państwa każdy przejaw pozasystemowej aktywności politycznej. Opozycja zwalczana jest na wszelkie sposoby, coraz częściej metodami siłowymi.

Na wygolonym trawniku zdołał jednak wyrosnąć polityk, który ogłosił, że ma pomysł na Rosję bez balastu korupcji, z uczciwą konkurencją polityczną i demokratycznymi wyborami. Aleksiej Nawalny ukazuje brudne bebechy rządzącego układu. Przez lata stanowił lekceważony z perspektywy Kremla margines, ale dzięki dynamicznym akcjom zyskał na tyle pokaźną wagę polityczną, że został w końcu uznany przez Putina za zagrożenie.

Na początku lat 60. XX w. gensek Nikita Chruszczow, zadowolony z pomysłu potajemnego zainstalowania na Kubie sowieckich rakiet pod nosem USA, powiedział: „Wpuściliśmy Amerykanom jeża do spodni". Odwołując się do tej historycznej metafory, można dziś powiedzieć, że Nawalny stał się dla Putina właśnie takim jeżem w spodniach – kimś tak niewygodnym, że postanowiono go wyeliminować. Fizycznie.

W niesprzyjających warunkach

Putin uprawia politykę w sposób wyuczony w szkole adeptów sowieckiej tajnej policji KGB, w której przez lata pracował: nie realizuje projektów politycznych, lecz bawi się w rozgrywanie operacji specjalnych.

Jedną z takich operacji miało być pozbycie się Nawalnego. Człowieka, który mimo mocno niesprzyjających warunków zdołał stworzyć w kraju sieć struktur realizujących jego program. Fundacja Walki z Korupcją wytropiła wiele schematów korupcyjnych obsługujących interesy rządzącej kasty; wskazywała też na fałszerstwa podczas wyborów.

W zeszłym roku Nawalny wezwał Rosjan do tzw. *smart vote*, inteligentnego głosowania: oddawania głosu na osobę, która ma największe szanse wygrać z kandydatem partii władzy. To się Kremlowi mocno nie spodobało – zwłaszcza że może wprowadzić ferment przed zaplanowanymi na wrzesień tego roku wyborami do Dumy Państwowej.

Trzeba było działać. Według rezultatów śledztwa dziennikarskiego (o czym dokładnie za chwilę) władze podjęły decyzję o zaangażowaniu do operacji przeciw Nawalnemu funkcjonariuszy Federalnej Służby Bezpieczeństwa: mieli oni otruć opozycjonistę bronią chemiczną – nowiczokiem – w trakcie jednej z jego licznych podróży po kraju.

Terroryzm państwowy

Przypomnijmy pokrótce, co się wydarzyło.

Gdy w sierpniu 2020 r. w samolocie Tomsk–Moskwa Nawalny stracił przytomność, piloci podjęli decyzję o awaryjnym lądowaniu w Omsku, a ekipa karetki pogotowia udzieliła mu błyskawicznie pomocy, zapewne ratując życie. Nawalny trafił do miejscowego szpitala w stanie śpiączki. Po kilku dniach zwłoki władze Rosji udzieliły, na wniosek rodziny, pozwolenia na przewiezienie opozycjonisty do kliniki Charité w Berlinie. Po 18 dniach Nawalny odzyskał przytomność. W międzyczasie niemieccy, francuscy i szwedzcy specjaliści potwierdzili, że został on otruty nowiczokiem, substancją zaliczaną do broni chemicznej.

Gdy odzyskał już świadomość, Nawalny publicznie stwierdził, że został

otruty na polecenie Putina. Natomiast władze Rosji nie wszczęły w ogóle śledztwa w sprawie dramatycznego pogorszenia się stanu zdrowia Nawalnego. Indagowany przez prezydenta Francji, Putin zasugerował, że Nawalny sam się otruł nowiczokiem.

Kilka miesięcy później, 14 grudnia, dziennikarze z grupy Bellingcat, portalu The Insider, telewizji CNN i tygodnika „Der Spiegel", którym w pracy pomagała Fundacja Walki z Korupcją, opublikowali rezultaty swojego śledztwa: ustalono personalia funkcjonariuszy FSB, którzy dokonali w Tomsku zamachu na Nawalnego z użyciem nowiczoka. To osoby powiązane z moskiewskim Instytutem Kryminalistyki FSB i instytutem badawczym Signał.

W filmie „Znam moich zabójców" Nawalny mówi: „Cały departament FSB pod kierunkiem wysokich szarż przez dwa lata prowadzi operację, w trakcie której kilka razy próbuje zabić mnie i członków mojej rodziny, otrzymuje broń chemiczną z sekretnego państwowego laboratorium. Taka operacja nie może być zorganizowana bez szefa FSB, a on nigdy by się nie ośmielił tego zrobić bez polecenia Putina. To, co się stało, to terroryzm państwowy". Mocne słowa.

Język duszy, mowa ciała

Kilka dni po opublikowaniu wyników dziennikarskiego śledztwa, 17 grudnia, podczas dorocznej konferencji prasowej Putinowi dwukrotnie zadano pytanie o otrucie Nawalnego. Prezydent nie wymienił opozycjonisty z nazwiska (to firmowy kremlowski chwyt), nazwał go „berlińskim pacjentem". Materiał dziennikarski uznał za dowód, że Nawalny jest agentem zachodnich służb specjalnych. Dowodząc, że nikt z FSB nie truł Nawalnego, argumentował: „Gdyby chcieli, toby doprowadzili sprawę do końca" (czyli otruli na śmierć).

Coś się w tej opowieści jednak sypie: dlaczego za Nawalnym jeździli nie oficerowie operacyjni, szkoleni do obserwacji, lecz chemicy i lekarze w służbie FSB, związani z instytutami pracującymi najprawdopodobniej nad ulepszaniem nowiczoka? Putin mową ciała, prychaniem, śmieszkiem próbował pokazać, że za nic ma poczynione ustalenia. To był sygnał: strategia zwalczania Nawalnego przez Kreml będzie opierała się na komponencie siłowym i odwoływała do oskarżeń o zdradę i pracę na rzecz obcych wywiadów.

Między wierszami można było wyczytać komunikat: złapaliście nas za rękę, ale to nie nasza ręka, a nawet jeśli nasza ręka, to nie wasza sprawa. To my rządzimy Rosją, niepodzielnie i bezkarnie. To my wyznaczamy standardy życia i nikt nas nie będzie rozliczać. A na pewno nie ktoś taki jak Nawalny. Ani tym bardziej Zachód.

Jeszcze nie wszyscy ochłonęli po wygłoszonych stalowym głosem słowach Putina o „berlińskim pacjencie", a Nawalny odpalił kolejny pocisk: opublikował nagranie rozmowy telefonicznej z jednym z członków drużyny trucicieli z FSB, Konstantinem Kudriawcewem. Nawalny zmylił agenta: podając się za asystenta sekretarza Rady Bezpieczeństwa Rosji (skutecznie: dzięki zabiegom technicznym w telefonie Kudriawcewa wyświetlił się zaufany numer), wyciągnął od rozmówcy wiele szczegółów akcji – zarówno przygotowań do otrucia, jak i zacierania śladów nieudanej operacji.

Wśród słuchających tego nagrania największe chyba wrażenie wywołał fragment, w którym chemik FSB opowiada o usuwaniu śladów nowiczoka z rzeczy osobistych Nawalnego. Substancja została bowiem naniesiona na odzież. W centrum zainteresowania znalazła się część garderoby, o której XIX-wieczne damy mówiły skromnie „niewymowne", czyli slipy. Zadaniem Kudriawcewa było oczyszczenie slipów z resztek trucizny. Chemik musiał się tym zajmować dwa razy, widocznie początkowo przepierka nie była dokładna.

FSB miała do powiedzenia tylko tyle, że rozmowa jest prowokacją i fałszerstwem.

Wbrew regułom

„Nigdy nie zadawałem sobie pytania, czy wracać. Bo nie wyjeżdżałem. Znalazłem się w Niemczech przywieziony ↦

Nawalny przed komisariatem w podmoskiewskich Chimkach już po wyroku sądu, który skazał go na 30 dni aresztu. 18 stycznia 2021 r.

ALEXANDER NEMENOV / AFP / EAST NEWS

↦ w pudełku i podłączony do aparatury reanimacyjnej z prostego powodu: próbowano mnie otruć. Ale przeżyłem. I teraz Putin, który wydał polecenie zabicia mnie, złorzeczy w swoim bunkrze i nakazuje sługom zrobić wszystko, abym nie wrócił. Ale mnie nie interesuje, co oni tam robią. Rosja to mój kraj" – tym komunikatem z 13 stycznia Nawalny zapowiedział rychły powrót, dając do zrozumienia Kremlowi, że nie uląkł się zapowiedzi, iż zaraz po powrocie trafi za kraty.

System putinowski ma swoją logikę, swoje porządki, swoją hierarchię. I swoje reguły gry, które wszyscy w Rosji mają przyjąć bez szemrania. Tymczasem Nawalny powtarza: nie zamierzam wpisywać się w wasz chory system, nie rozumiem waszych patologicznych sygnałów. Chcieliście mnie potajemnie otruć? Pokazałem światu, że to wy. Nie kupuję waszej ściemy, którą rozsnuwacie wokół sprawy mojego otrucia. Nie boję się „dziada siedzącego w bunkrze". O ile strach to firmowe uczucie, które Kreml lubi wywoływać w oponentach, o tyle Nawalny demonstruje, że strachem się go nie zniechęci.

W niedzielę 17 stycznia Nawalny wszedł więc w Berlinie na pokład samolotu linii Pobieda i poleciał do Moskwy. Do hali przylotów lotniska Wnukowo przybyło kilkaset osób, wśród nich współpracownicy opozycjonisty i jego brat Oleg. OMON wypchnął ludzi poza budynek. Wyciągano ich z tłumu, wleczono po śniegu. Zatrzymano ok. 60 osób.

W międzyczasie samolot przekierowano na inne lotnisko – Szeriemietjewo. Tam przy kontroli paszportowej Nawalny został zatrzymany. Federalna Służba Więziennictwa (FSIN) wydała komunikat, że do rozprawy nie wyjdzie na wolność. Rozprawa zaś ma dotyczyć odwieszenia wyroku orzeczonego przeciw niemu kilka lat temu w sfingowanym procesie. Nawalny zaskarżył ten wyrok przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka i wygrał – uznano, że był on podyktowany względami politycznymi i bezpodstawny. FSIN utrzymuje, że Nawalny naruszył warunki zawieszenia wyroku, bo nie stawiał się, aby się odmeldować. Cóż, nie stawiał się, bo przebywał w Berlinie, otruty nowiczokiem.

Komunikat o zatrzymaniu opozycjonisty poszedł w świat.

Czarnomorski gargamel

Nazajutrz Nawalny stanął przed obliczem rosyjskiej Temidy, która ma coraz szczelniej zasłonięte oczy. Tym razem Temida zasiadała w zaimprowizowanej salce na posterunku policji w podmoskiewskich Chimkach. Zwracał uwagę wystrój wnętrza: na ścianie wisiał m.in. portret Gienricha Jagody, szefa NKWD w czasach Wielkiego Terroru (najwidoczniej uwielbienie dla historii zbrodniczych wcieleń Czeki ciągle jest żywe „w organach"). Sędzia orzekła wobec Nawalnego 30-dniowy areszt. Na rozprawę ma czekać w słynnym areszcie śledczym Matrosskaja Tiszyna (to ten areszt, w którym przebywał i został doprowadzony do śmierci słynny adwokat Siergiej Magnitski).

Jednak wkrótce okazało się, że Nawalny nie przyjechał do Rosji z pustymi rękami. Jego fundacja opublikowała na YouTubie dwugodzinny film o rezydencji Putina nad Morzem Czarnym. W ciągu pierwszych dwóch dni film odnotował 47 mln odsłon!

Temat nie jest nowy. O gigantycznym pałacu-gargamelu pod Gelendżykiem, zbudowanym dla Putina za „darowizny" od osób z zaufanego kręgu, było głośno już kilka lat temu. Nawalny i jego ekipa zebrali teraz materiały, prześwietlili powiązania, podali konkretne liczby i pokazali wnętrza. Rezydencja – koszty budowy szacowano 10 lat temu na miliard dolarów – zaczęła generować nowe wydatki. Okazało się, że dopuszczono się uchybień przy pracach wykończeniowych (wykonawca być może tradycyjnym obyczajem skręcił część kasy) i w pałacu zalęgła się pleśń. Trzeba więc było przystąpić do remontu. To świetna metafora putinowskiego układu.

Zarzut zdrady państwa

Przesłanie filmu jest jasne: Rosją rządzi kasta złodziei, a największy z nich to Putin. Jest pazerny, rekompensuje sobie kompleksy człowieka wychowanego w ciasnocie, w leningradzkiej komunałce bez wygód. Działa jak gangster i ma mentalność gangstera.

Wyposażenie dla pałacu w Gelendżyku zamawiano we włoskich firmach meblarskich produkujących ekskluzywne serwantki czy kanapy. Kiczowate, ale na wysoki połysk. W pałacu jest teatr, sala wyposażona w automaty do gry, basen, fitness, czytelnia, a nawet wyłożona ciemnym pluszem intymna salka z wyekspo-nowaną rurą do tańca erotycznego. Nad bramą wjazdową pyszni się dwugłowy orzeł: taki jak w Pałacu Zimowym w Petersburgu.

Po opublikowaniu tego filmu władze przystąpiły natychmiast do przyprawiania Nawalnemu na nowo gęby zagranicznego agenta, przysłanego po to, aby pokrzyżować plany krystalicznej rosyjskiej demokracji. W Dumie do ataku ruszyły doborowe pułki wiecznych deputowanych. Ton nadał przewodniczący izby Wiaczesław Wołodin, który w emocjonalnej tyradzie nazwał Nawalnego „człowiekiem przysłanym nam z Niemiec" i agentem Departamentu Stanu USA.

To sygnał, że Nawalnemu może zostać postawiony zarzut zdrady państwa.

Długi marsz

Aleksiej Nawalny walczy o uwagę Rosjan, chce ich przekonać do konieczności rozliczenia prezydenta. „Wróciłem, bo nie jestem w stanie dłużej siedzieć cicho i godzić się na kłamstwa i korupcję przyjaciół Putina. Korupcja, kłamstwa i bezprawie skracają życie każdemu z nas" – napisał w liście z Matrosskiej Tiszyny.

Czy znajdzie zrozumienie wśród rodaków? W mediach społecznościowych, które stały się platformą wymiany opinii głównie przychylnych Nawalnemu, można znaleźć jednak i takie głosy „z ludu": „Mama obejrzała film o pałacu. Wzruszyła ramionami: on jest prezydentem, jemu wolno. Próbowałam wyjaśniać, że on nie jest carem, że Rosja nie jest jego własnością, że jest zwyczajnym urzędnikiem na czele państwa. Jak grochem o ścianę, mama nie rozumie". Albo: „Putin jest silnym liderem, to najważniejsze". Albo też: „To kolejna kaczka dziennikarska". Wreszcie: „Nie sądzę, żeby Putin tak oszukiwał naród i brał łapówki".

Nawalny wezwał swoich zwolenników w całym kraju, aby przyszli na wiece w sobotę 23 stycznia. „Przeciw złodziejom i zabójcom, przeciw korupcji i niesprawiedliwości. Za własną przyszłość. Za wolność każdego z nas". Gdy w miniony piątek zamykaliśmy ten numer „Tygodnika", nie było wiadomo, ilu Rosjan zdecyduje się przyjść i zaryzykować.

Nawalny nastawia się na długi marsz. Chce być kroplą drążącą skałę putinizmu aż do jej skruszenia. Droga przed nim daleka i wyboista. © ANNA ŁABUSZEWSKA

Tekst ukończono 22 stycznia.

ANDRZEJ

Stasiuk:
Odnaleziony notes

17 LIPCA. NARYN. HOTEL, ULEWA O BLACHĘ. Deszcz za deszczem. Rano targowisko. Knajpa. Kurdak – mięso z kartoflami. Kirgiskie kelnerki: sprawne, wdzięczne, obrotne. Jak wróbelki. Potem miasta-cmentarze. Jedyna architektura przyciągająca wzrok. Miasta umarłych. Miasta żywych odpychające. Tyle że w Narynie dużo zieleni, która kryje ten trąd.

W przedpokoju pęka z hukiem żarówka i w tej samej chwili piękny śpiew muezina nad miastem. Nicość materii, wielkość ducha.

W korytarzu hotelu dwóch Chińczyków z torbami pełnymi zupek i piwa. Cieszą się na widok naszych białych twarzy.

Dziury, otwarte studzienki, pokruszony beton. A potem wychodzisz w czystość gór. Pachną zioła, łagodne skłony, wszędzie pola dzikich konopi, pofałdowana ziemia, cień obfitej zieloności w miejscach, gdzie zostaje wilgoć. W dole, wzdłuż rzeki, szara rana miasta.

18 lipca. Naryn, ranek. W nocy uporczywy, ciężki deszcz. Rano widać, jak śnieg zszedł niżej i leży tuż nad miastem. Tałaj przyjeżdża białą hondą stepwgn. W recepcji spór o „kwitancju", potrzebną Olafowi. Biedne, wystraszone kobiety, bierny opór. Jak zagonione zwierzęta. Na dworze zimno, ciemno, deszcz. Wzdłuż Narynu. Ciasny, ograniczony mgłą i chmurami pejzaż. Ale wielki, ogromny. Z tymi cielesnymi górami – „jakby dzieci olbrzymów stawiały babki z piasku", a z prawej zielona krzaczasta równina nad Narynem. Żółta woda przez drogę. A potem w górę i w górę, i w śnieg. Tałaj jedzie szybko, pewnie, bez oszczędzania hondy. Przełęcz – jurty w śniegu, bydło grzebiące w zaspach, melancholijny osioł ze spuszczonym łbem, trzech facetów wypychających starą ładę z zasp. Poczucie, że jesteś na dachu świata, w jakimś Tybecie. A wcześniej ta dolina z rozproszonym słonecznym blaskiem i stadem owiec.

Kazarman. Pogoda i od razu upał. Miasto, czyli rozległa wieś – niemal mołdawska, co tam, całkiem mołdawska. Tylko meczet i głos muezina przypominające, że jesteś gdzieś indziej. Tałaj wraca do Narynu. Ściskamy się na pożegnanie.

19 lipca. Kazarman. W miarę dobry sen, tylko jacyś wkurwiający pisarze wyświetlali się nad ranem. Gospodyni zostawia dom na naszej głowie i idzie na targ, żeby w kotle na podwórku zrobić nam pilaw. Potem wychodzimy w góry. Przez rozpacz górniczego blokowiska. Kopali albo jeszcze kopią złoto. Obłażące z rudego ocieplenia bloki. Dramat balkonów, śmietnik w powietrzu. Ludzie patrzą na nas jak na kosmitów. Cuchnie szczyną. Przez betonowe ruiny do mostu przez Naryn. Wodospad. W górę, przez ciasną wieś z nieufnymi spojrzeniami na płaskowyż, w czystość pejzażu z cmentarzem jak małe miasto z baśni. Aryki biegną skrajami urwisk. Geometria cywilizacji – aryki, kanały: płyną od stuleci w tych samych miejscach. Kosiarze w szeregu. Siano jak rozbuchane zielsko. Pachnące inaczej, obfite, odurzające. W ogóle nieustający aromat nieznanych ziół i gówna, ludzkiego, bydlęcego – Azja.

Śmiałe uśmiechnięte dziewczynki, chłopcy też, ale dziewczynki bardziej. Zmierzch napełnia miasteczko złotym blaskiem. Chłopaki siedzą pod drzewami obok swoich aut. Rozpaczliwy monument ze srebrnym sołdatem i armatą ppanc. „Rodina nie zabudie swoich gierojów" – dokładnie odwrotnie: Ojczyzna zabija swoich bohaterów.

22 lipca. Osz. Hotel Staryj Gorod. Siergiej odjechał swoją toyotą o 8 rano. A potem my, z milczącym kierowcą, starym uazem. Złom absolutny. Ale jechał. Chudy kolega w dresowych spodniach, klapkach i złotych okularach przeciwsłonecznych. W górę i w górę, przez bezludzie. Potem koczownicy z tą całą bajkowością namiotów, światła i zieleni, wody, zwierząt samopas i samopas dzieci. Dzieciaki na osłach wiozą nad strumień bańki na wodę. Nawet drób koczował: stado indyków. W górę i w górę. Na przełęczy z wielkim betonowym orłem koparka usuwała dwumetrowe zaspy i musieliśmy czekać. A potem w dół i w dół. Krajobraz łagodnieje i powoli się zaludnia. Otwiera się Kotlina Fergańska: zielono-złota, łagodna jak kraina miodu i mleka. W Dżalalabadzie nasz milczek przekazuje nas gadule w buraczkowym vento, który opowiada o przyjemnościach posiadania dwóch żon. Jedzie jak wariat, łamie wszystkie przepisy, łącznie z czerwonymi światłami. „Spakojna, ja milicjanier". Na polach ryż stoi w wodzie. ©

POŻEGNANIE

Z ogromnym smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.†P.

Alfreda (Alfa)
Gawrońskiego

filozofa,
niestrudzonego obrońcy racjonalności,
prawdy i służącego im języka,
znawcy i miłośnika antyku,
łącznika pomiędzy dwiema Ojczyznami:
Włochami i Polską,
wiernego i oddanego w przyjaźni.

PRZYJACIELE ZE ZNAKU

WYNALAZEK PANA ROZUMA

Sto lat temu w literaturze pojawiły się pierwsze roboty. Ich wyobrażenia rozjechały się z rzeczywistością – choć może po prostu jeszcze im nie sprostaliśmy.

JAKUB MEJER

Niewiele brakowało, a maszyny, które pomagają nam kroić warzywa, sprzątać podłogi, składać samochody i straszą nas w niezliczonych dziełach kultury, określalibyśmy dziś inaczej. Świetny pisarz czeski Karel Čapek planował początkowo nazwać sztucznych pracowników w swojej sztuce „labory" – od łacińskiego słowa oznaczającego pracę. Żalił się jednak bratu, artyście, że to sformułowanie jest dla niego za bardzo papierowe. „To nazwij ich »roboty«" – miał według późniejszej relacji rzucić Josef Čapek, nie odrywając się od malowania. W języku czeskim, w odróżnieniu od polskiego czy słowackiego, „robota" nie oznacza zwykłej pracy. W domyśle jest ciężka – niewolnicza, pańszczyźniana.

Alegoria rosyjskiej rewolucji

Taka wymowa bardzo pasowała Čapkowi w sztuce „R.U.R." (od „Rossum's Universal Robots", w przekładzie Andrzeja Sieczkowskiego „Uniwersalne Roboty Rossuma"). Krytyk literacki „Guardiana" Michael Billington pisał o niej niedawno, że należy do gatunku „ekspresjonizmu obawiającego się odczłowieczającej technologii", popularnego w latach 20. zeszłego wieku. Jej uroczysta premiera odbyła się na deskach praskiego Teatru Narodowego 25 stycznia 1921, a później obeszła wszystkie sceny europejskie. Przedstawia świat, w którym naukowiec Rossum w 1932 r. odkrywa substancję pozwalającą powołać do życia sztuczne humanoidy, a po dziesięciu latach jego bratanek, inżynier w oparciu o to odkrycie tworzy Robota; produkowane seryjnie, roboty wykorzystywane są jako tania siła robocza.

Fabuła podąża zgodnie z motywami, które po Čapku będą kopiować zastępy twórców fantastyki naukowej. „Nie może nie budzić w dzisiejszym człowieku najgłębszych socjologicznych refleksyj ta fantazja dramatyczna o wydoskonalonych automatach w postaci ludzkiej, co uwalniają swych twórców, ludzi, od wszelkiej pracy mechanicznej, ale wreszcie się przeciw nim organizują i buntują i po wymordowaniu resztek rodzaju ludzkiego, uzyskawszy ludzkie przymioty, same stają się początkiem nowej ludzkości" – pisał filolog Roman Dyboski w 1929 r.

W Polsce „R.U.R." nie zdobył większej popularności, chociaż Čapek był uznanym pisarzem – cytowała go prasa, wydawano jego książki i wystawiano sztuki. Polscy czytelnicy woleli inne jego dzieła, jak przewidująca stworzenie broni masowego rażenia w stylu bomb atomowych powieść „Krakatit". Zdaniem Dyboskiego rodacy po prostu zbyt dobrze znali prawdziwą „rewolucję socjalną w Rosji", aby jej alegoria działała na nich tak, jak na narody zachodnioeuropejskie, „dla których przecież i sama rzeczywistość piekła sowieckiego jest jakąś daleką i na wpół legendarną fantasmagorją".

Na Zachodzie, a w szczególności krajach anglojęzycznych, sztuka była wielkim hitem. „Słowo robot weszło na stałe do potocznego słownictwa angielskiego jako określenie niewolnika ustroju kapitalistycznego" – notował Dyboski. W 1922 r. „R.U.R." wystawiono na nowojorskim Broadwayu, a robota grał nieznany wówczas Spencer Tracy, przyszły zdobywca dwóch Oscarów. W 1927 r. staje się pierwszą sztuką teatralną transmitowaną na falach radiowych BBC w całości, a w 1938 r. – pierwszym dziełem fantastyki naukowej zekranizowanym na potrzeby telewizji.

Starożytne korzenie

Nie oznacza to, że przed Čapkiem nikt nie wpadł na podobne pomysły. – Za prekursorów robotów uważa się posągi bogów w świątyniach starożytnego Egiptu. Miały poruszane linkami przez kapłanów kończyny, a obserwujący je ludzie myśleli, że żyją. Heron z Aleksandrii uważany jest za ojca teatrów robotycznych, natomiast żyjący w XV w. Al-Dżazari za prekursora robotyki, projektował bowiem mechanizmy użyteczne dla człowieka – wyjaśnia prof. Teresa Zielińska z Politechniki Warszawskiej. Wśród wynalazków zaprojektowanych przez tego ostatniego są m.in. napędzany hydroenergetyką flet albo zegar w kształcie słonia. Ludzkość najlepiej zapamięta go jednak jako twórcę... spłukiwanej toalety.

Słowo „automaton" występuje już w „Iliadzie", a w późniejszych latach wielokrotnie używane było do opisu rzeczy, które moglibyśmy nazwać protoplastami robotów. Od połowy XVIII w. używano też słowa „android" (po raz pierwszy w literaturze alchemicznej – do opisu sztucznej głowy, rzekomo zdolnej do rozmowy, którą w średniowieczu miał stworzyć z pomocą aniołów i kamienia filozoficznego św. Albert Wielki).

Najbardziej rozpropagowaniu słowa „robot" w języku angielskim, a co za tym idzie na całym świecie, przysłużył się jednak gigant literatury *science fiction* – Isaac Asimov. O sztuce Čapka napisał wprawdzie w 1979 r., że jest „strasznie zła, ale nieśmiertelna z powodu tego jednego słowa", lecz jego określenie wykorzystywał regularnie. Tak nazywane postacie pojawiały się w wielu dziełach Asimova, z których najbardziej znany jest zapewne zbiór „Ja, robot" (1950), w którym sformułował trzy prawa robotów – zaczątek trwającej po dziś dzień, już nie tylko wśród artystów, ale też naukowców, debaty o etyce sztucznej inteligencji.

„Po pierwsze, robot nie może wyrządzić żadnej krzywdy człowiekowi, nie może też poprzez brak czynnej reakcji dopuścić, aby człowiekowi stała się jakakolwiek krzywda.

Po drugie, robot musi wykonać każdy rozkaz człowieka pod warunkiem, że rozkaz taki nie koliduje z Prawem Pierwszym.

Po trzecie, robot musi ochraniać własny mechanizm pod warunkiem, że nie jest to sprzeczne z Prawem Pierwszym i Drugim".

(I. Asimov „Zabawa w berka", przeł. Jerzy Śmigiel)

Tymczasem roboty przestały zapełniać jedynie strony powieści i ekrany kin. – Pierwsze roboty humanoidy pojawiły się na początku XX w. Roboty przemysłowe to początek drugiej połowy wieku, patent z lat 50. – wylicza prof. Zielińska.

W 1927 r. Ron Wensley zaprezentował Televoxa. „Oszołomiona grupa nowojorskich inżynierów zobaczyła elektryczną maszynę odpowiadającą na telefony z prawie ludzką inteligencją i wyższą dokładnością. Gdy zadzwonił dzwonek, podniosła słuchawkę, odpowiadała na pytania i wykonywała polecenia drugiej strony, takie jak włączenie światła, grzejnika, odkurzacza" – opisywało czasopismo popularnonaukowe prezentację tej prostej maszyny, która w rzeczywistości reagowała na określone sygnały dźwiękowe. Stworzyli ją naukowcy z firmy Westinghouse, ówczesnego potentata na amerykańskim rynku (produkował wiele ↦

Prezentacja robota Atlas firmy Boston Dynamics. Waltham, Stany Zjednoczone, 13 stycznia 2021 r.

JOSH REYNOLDS / AP / EAST NEWS

↦ urządzeń – od lamp, przez RTV i AGD, po pociągi). W 1940 r. na Wystawie Światowej w Nowym Jorku widzowie mogli zobaczyć inne roboty tej samej firmy – równie interesujące jak bezużyteczne – humanoidalnego Elektro, który potrafił palić papierosy, i Sparko, który przypominał psa i mógł szczekać.

Dwie tradycje

Wiosną 1961 r. w jednej z fabryk samochodów General Motors po cichu zjawił się natomiast Unimate – ważąca prawie dwie tony maszyna, która pomagała przy obsłudze wysokociśnieniowej maszyny odlewniczej, a konkretnie umieszczaniu rozgrzanych do czerwoności części samochodowych w substancji chłodzącej. Tej niebezpiecznej pracy nie chciał wykonywać żaden z trzech tysięcy pracowników fabryki. GM i twórcy maszyny – pomysłodawca George Devol i jego partner biznesowy Joseph Engelberger – początkowo trzymali ją w tajemnicy, z obawy przed porażką. Gdy okazało się, że działa, zaczęli się nią chwalić – w programie telewizyjnym nalewała piwo, dyrygowała orkiestrą, grała w golfa i na akordeonie.

Dzisiejszy świat pełny jest następców tych maszyn. Jak wynika z raportu przygotowanego przez Międzynarodową Federację Robotyki, w 2019 r. na całym świecie pracowało 2,7 mln robotów przemysłowych. Najwięcej z nich, podobnie jak prekursora, wykorzystuje branża motoryzacyjna (923 tys.), która wyprzedza elektroniczną i elektryczną (627 tys.). Z reguły służą do poruszania, montowania i spawania części. W Polsce miało ich działać 15,8 tys., co daje nam 14. pozycję na świecie.

Ponadto, jak szacuje MFR, na świecie działały w 2019 r. 173 tys. profesjonalnych robotów użytkowych (czyli np. medycznych i transportowych), 18,6 mln robotów domowych (np. do sprzątania) i 4,6 mln w branży rozrywkowej (np. do obsługi klienta, sprzedaży, udzielania informacji).

Chociaż roboty są powszechne, z reguły nie przypominają tych z kart zapisanych przez Čapka, Asimova ani też projektów firmy Westinghouse. Większość z nich jest niepozorna, rzadko są humanoidalne – moda na takie projekty panowała kilkanaście lat temu, kiedy na pokazach mogliśmy zobaczyć np. stworzonego przez Hondę ASIMO (nazwany, jakżeby inaczej, na cześć Asimova), potrafiącego podać rękę albo odpowiedzieć na machanie.

– Mamy w istocie dwie tradycje wizualne robotów – uważa prof. Elizabeth Stephens, kulturoznawczyni z University of Queensland. – Wczesne „roboty", takie jak XVIII-wieczne androidy i inne figury z mechanizmami zegarowymi, były dość ludzkie, a codzienne roboty użytkowe nie są. To produkty różnych, choć powiązanych genealogii maszyny przemysłowej.

Zdaniem Stephens najbardziej fascynuje nas połączenie obu tradycji. Na początku stycznia chińskie media społecznościowe podbił (prawie na pewno zmanipulowany) film przedstawiający dwa kłócące się roboty mające udzielać informacji użytkownikom biblioteki w Nanchang. Odzywają się do siebie sformułowaniami w stylu „przestań być taki kapryśny", „masz duże wahania nastrojów".

Nie słabnie też popularność filmów z udziałem robotów firmy Boston Dynamics – w lutym 2018 r. najpopularniejszym materiałem na YouTubie zostało nagranie, na którym ich czteronożny robot Spot otwiera drzwi, a kilka tygodni temu podobnym hitem był film, na którym trzy różne rodzaje robotów tej firmy tańczą w rytm muzyki.

– Nagranie Boston Dynamics pokazuje, jak roboty, których forma jest bardziej przemysłowa, wykonują czynność typową dla człowieka. To nadaje im cechy ludzkie. Także inne współczesne roboty często nie przypominają człowieka z wyglądu, ale są tak projektowane, by wydawały się „słodkie". Wywołuje to więź emocjonalną – mówi Stephens.

Terminator na sofie

– Dzięki fantastyce naukowej, parkom rozrywki i mediom ludzie są przeko-

Moduły i roje

DĄŻENIE DO ODTWORZENIA FORMY LUDZKIEJ to pokusa gigantyczna, ale prowadząca często na manowce. Dwunożność, przykładowo, nie ma praktycznie żadnych zalet – poza swojskością – w porównaniu z czworo- lub sześcionożnością albo z transportem kołowym. Głowa i twarz to kolejny zbędny balast, gdy interesuje nas skuteczność, a nie walory estetyczne. Dokąd więc prowadzi surowy pragmatyzm?

ROBOT SMORES jest przykładową demonstracją popularnego we współczesnej robotyce podejścia, opartego na wielu względnie prostych modułach, które można dowolnie rekonfigurować (to tzw. MMR). Jest on złożony z dowolnej liczby kostek o rozmiarze ok. 10 cm, wyposażonych w dwa koła z własnym napędem i panele dokujące. Jedna taka kostka może niewiele, ale już osiem sztuk sczepionych z sobą potrafi najpierw złożyć się w węża, aby wdrapać się na stół, następnie, w postaci pojedynczego bloku, przepchnąć ciężkie pudełko, a w postaci struktury czworonożnej unieść coś „na plecach".

Robot modułowy

D. CHRISTENSEN

W OSTATNICH LATACH testuje się coraz mniejsze moduły, łączone już setkami, tworzące roje (ang. *swarm* – stąd *swarm robotics*). Gdy robotom takim pozwoli się na pewną autonomię, są w stanie samodzielnie dzielić się pracą, jak choćby testowane obecnie roje niewielkich dronów, które wpuszczone do nieznanego budynku potrafią spontanicznie rozprzestrzenić się po nim tak, aby sprawnie go zmapować, nie wchodząc sobie w paradę. Jednym z planowanych zastosowań rojów jest badanie

nani, że zaawansowane roboty są „tuż za rogiem” i niedługo będziemy mieli humanoidy jak u Asimova lub jak DATA w „Star Treku”. W tym samym czasie naukowcy mówią o tym, jak trudno jest stworzyć roboty. Nawet Boston Dynamics zajęło lata, aby Atlas [ich humanoidalny robot – red.] poruszał się w imponujący sposób – mówi dr Lisa Nocks, historyczka z Instytutu Inżynierów Elektryków i Elektroników (IEEE), autorka książki „The Robot: The Life Story of a Technology” („Robot: Podróż przez życie technologii”). I dodaje: – Rozwój techniki sensorowej, materiałów syntetycznych czy uczenia maszynowego przybliża nas oczywiście do stworzenia robotów humanoidalnych zachowujących się tak, jakby czuły emocje. Ale wierzę, że stworzenie androidów, które współpracują z ludzkimi zachowaniami w czasie rzeczywistym, jest jeszcze oddalone o dekady. Co nie znaczy, że nie powinniśmy już teraz dyskutować o traktowaniu świadomych maszyn humanoidalnych.

Na razie muszą nam wystarczyć tańczące roboty Boston Dynamics. Pierwszy z nich, czworonożny, przypominający psa Spot, od czerwca ubiegłego roku jest dostępny w regularnej sprzedaży – jego podstawowa wersja kosztuje 74,5 tys. dolarów. Spoty są już wykorzystywane, głównie do inspekcji niebezpiecznych lub niedostępnych miejsc – np. SpaceX

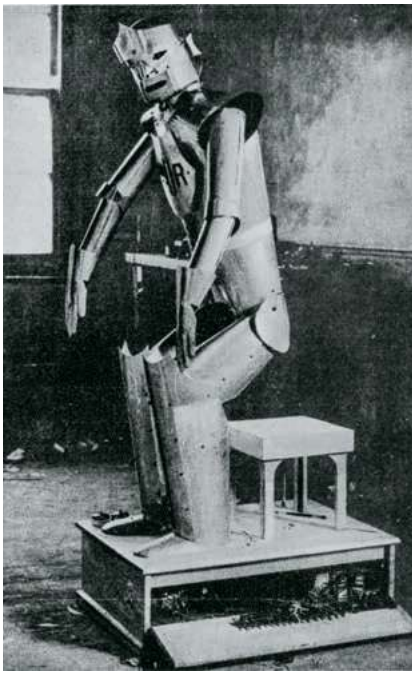

MARY EVANS PICTURE LIBRARY / BEW

Sztuka Karela Čapka „Rossum’s Universal Robots” z 1929 r.

używało go po nieudanym starcie rakiety, a BP do pilnowania przeładunku ropy z platformy na Morzu Norweskim. W grudniu większościowe udziały w wycenianym na 1,1 mld dolarów Boston Dynamics kupił Hyundai – mimo że od lat jest to firma przynosząca milionowe straty.

Możemy też spróbować obejrzeć sztukę, którą z okazji stulecia „R.U.R.” pisze sztuczna inteligencja. Przedstawiciele Wydziału Matematyki i Fizyki Uniwersytetu Karola w Pradze, organizatorzy festiwalu projektowania CEE Hacks oraz teatru Švanda postanowili sprawdzić w projekcie Theaitre, czy jest w stanie ona napisać interesujący scenariusz teatralny. Efekty pracy SI mają zostać opublikowane w internecie 26 lutego.

– „R.U.R.” jest teraz bardziej aktualne niż kiedykolwiek. Jasne, większość pracy wykonują współcześnie algorytmy i sieci neuronowe w chmurach. Tego Čapek nie przewidział. Ale trafnie przewidział trzy rzeczy: „terminatory”, „sofalność” i *omnia vincit amor* [miłość wszystko zwycięża – red.] – twierdzi Tomáš Studeník, współtwórca Theaitre. I dodaje: – Čapek pisał o robotach wykorzystanych w walce, a tego się obawiamy, oglądając stworzenia Boston Dynamics wykonujące najbardziej spektakularne sztuczki. „Sofalność” to termin ukuty przez prof. Tima Wu. W przyszłości ludzie będą mogli spędzić całe życie na sofie, z goglami, zanurzeni w wirtualnej rzeczywistości. U Čapka ludzie przestają mieć dzieci, bo jak już nie muszą pracować, nie dostrzegają sensu życia; leżą na sofach i nic nie robią. Często pojawia się też pytanie, czy maszyny mogą czuć i kochać. Čapek przekonywał, że miłość robotów jest możliwa, choć tutaj wszystko jeszcze przed nami.

© JAKUB MEJER

rumowisk po katastrofach naturalnych i poszukiwanie potrzebujących (dzięki wykorzystaniu kamer na podczerwień). Tego typu projekty wymagają wyposażania robotów w zdolność do samodzielnego podejmowania decyzji, co silnie wiąże współczesną robotykę z dziedziną badań nad sztuczną inteligencją. Jednym z żywo obecnie roztrząsanych problemów jest możliwość pozostawiania robotom wolności „wyboru”, jak zrealizować dany cel: w idealnych warunkach ludzki operator przedstawiałby tylko zadanie do rozwiązania, a algorytm sam decydowałby, jak je wykonać. W przypadku robotów typu MRR cel jest taki, aby najbardziej skuteczna konfiguracja modułów wychodziła niejako w praniu dla każdego zadania z osobna. Coraz częściej jest tak, że maszyna wpada na lepsze pomysły niż inżynier, który ją stworzył.

BIOROBOTYKA jest kolejnym popularnym kierunkiem rozwoju. Oznacza ona łączenie obiektów wykonanych ręką ludzką z organizmami żywymi. W 2016 r. zespół z Politechniki w Montrealu opisał specjalnie spreparowane bakterie, do powierzchni których doklejono kilkadziesiąt nanokuleczek tłuszczowych wypełnionych związkiem chemicznym zabójczym dla komórek nowotworowych. Po wpuszczeniu tych robobakterii w pobliże zmiany nowotworowej możliwe stało się sterowanie nimi przy pomocy pola magnetycznego tak, że docierały w samo serce guza i upuszczały ładunek tam, gdzie nie są w stanie samoistnie dotrzeć cząsteczki leku.

POWAŻNE OGRANICZENIA dotyczące minimalnego rozmiaru elementów mechanicznych czy elektronicznych powodują, że coraz to mniejsze roboty mają coraz prostszą budowę. Jednak jeśli tym pojęciem obejmiemy każde urządzenie zdolne do powtarzalnego wykonywania ustalonej pracy, to okaże się, że prawie wszystko może być robotem. Np. w maju 2018 r. opisano prototyp „robota” tak małego, że jest on już w stanie przemieszczać się we wnętrzu komórki żywej. W istocie była to niewiele więcej niż specjalnie ukształtowana grudka materiału magnetycznego, która – sterowana z zewnątrz – mogła naciskać na rozmaite organelle komórkowe z dokładnością sięgającą setek nanometrów: wydaje się więc, że wkraczamy śmiało w erę nanorobotyki.

©℗ ŁL

JACEK

Podsiadło

Krótko i na temat

Pierwsza strofa wiersza „Annus mirabilis" Philipa Larkina wygląda tak: „Sexual intercourse began / In nineteen sixty-three / (Which was rather late for me) – / Between the end of the *Chatterley* ban / And the Beatles' first LP". Pierwsze wrażenie tłumacza? Jeśli nie znajdzie dla „nineteen sixty-three" i „LP" odpowiedników krótszych niż „rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci" i „płyta długogrająca", powinien oddać walkowera. Wiersz funkcjonuje już w przekładach Stanisława Barańczaka i Jacka Dehnela, którzy walkowera nie oddali i do bilansu walk translatorskich musieli sobie dopisać po porażce. Rozmiar wersu w strofie Larkina to od sześciu do dziewięciu sylab. Barańczak przerabia to na linijki trzynasto- i piętnastozgłoskowe! Wyobraźcie sobie, że jesteście Paulem McCartneyem, i zanućcie przytoczoną powyżej zwrotkę Larkina pod jakąś wymyśloną melodyjkę. Już? To teraz wyobraźcie sobie, że McCartney chce zawojować polski rynek, i pod podobną melodyjkę spróbujcie zanucić wersję Barańczaka: „Stosunek płciowy zrodził się jako idea / W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim / (Dla mnie trochę za późno przyszła ta nadzieja) – / Między zdjęciem zakazu z *Chatterley* (takiej powieści) / A nagraniem przez Beatles pierwszego longplaya". Da się zanucić? Da się, ale na melodię „Bogurodzicy". Z kolei Dehnel wygrywa z Barańczakiem na punkty, o dwie sylaby w linijce, ale z Larkinem przegrywa średnio o cztery (ja osiągnąłem zwycięski remis *á la* Wembley; jak zobaczycie, moje wersy mają po 7 lub 8 sylab). Oto, jak zaczyna Dehnel: „Stosunek płciowy rozpoczął się w roku / Tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim / (Dla mnie zbyt późno), gdzieś pomiędzy pierwszym / Krążkiem Beatlesów, a zdjęciem wyroku / Z *Kochanka Lady Chatterley*, powiedzmy".

Jeśli wiersz zaczyna się od słów „Stosunek seksualny", to bardzo daje to po oczach. Dla Barańczaka zrodził się ów stosunek w 1963 r. „jako idea". Nie łapię, co to może znaczyć, chociaż widzę, że „idea" rymuje się z „nadzieja". Nie pamiętam, żeby w 1963 r. wydarzyło się cokolwiek, co przeniosłoby znaną ludzkości od czasów małpowania pawianów czynność w sferę idei. I na pewno nie ma tego w oryginale. „Stosunek płciowy rozpoczął się" na pierwszy rzut oka wydaje się lepsze, bo wydaje się dosłowne. Ale jeżeli w 1963 r. rozpoczął się jakiś stosunek płciowy, to ja jako czytelnik, który zapłacił za tomik wierszy, żądam informacji, co było dalej. Czy ów stosunek trwa w najlepsze? Tamten pan się nie zmęczył, pani się nie znudziła?

Słownik angielsko-polski podaje dwa znaczenia „sexual intercourse". Po pierwsze, jest to „stosunek płciowy" („act"), po drugie „współżycie seksualne" („activity"). Wydaje mi się oczywiste, że Larkinowi nie chodzi o jednorazowy stosunek, ale właśnie o rozciągnięte w czasie współżycie. W 1963 r. rozpoczęło się ono dla świata w takim znaczeniu, w jakim mówi się czasem, że ktoś podjął współżycie płciowe w wieku lat tylu i tylu. I tylko w takim znaczeniu do początku lat 60., będącego też początkiem rewolucji seksualnej, pasuje ten fakt z biografii Larkinowskiego świata.

Na szczęście bohaterem wiersza nie jest żaden stosunek, ale słodkie lata sześćdziesiąte. Pamiętam jak dziś: za sprawą młodzieżowej rewolty, wynalezienia pigułki antykoncepcyjnej i przemian obyczajowych ludzie przestali mówić o tych sprawach „te sprawy", wolną miłość wypuszczono z klatki i wszystkie stosunki, nawet międzynarodowe, stały się seksualne. Po trzydziestu z górą latach wydano wreszcie „Kochanka Lady Chatterley" w całości, wraz z „nieprzyzwoitymi" fragmentami, a Beatlesi szykowali swój seksapil do podboju świata. Lecz pan Larkin był już wtedy zgredem z biblioteki. Skądinąd wiadomo, że jego życie erotyczne nie było nadzwyczajnie bogate, niektórzy badacze spraw alkowy twierdzą nawet, że stosunek seksualny pozostał dla niego nigdy nie zrealizowaną ideą. Ale nie radzę nikomu żartować sobie z tego. Wiersz to takie skrzyżowanie peryskopu z trampoliną, które daje możliwość bliskiego obcowania ze sprawami, do których nie ma się dostępu. Pod warunkiem, że wiersz jest dobrze skonstruowany.

No dobra, ładnie się kłaniam, podaję nazwisko autora i tytuł, i recytuję swój przekład:

PHILIP LARKIN

Annus mirabilis
Rok sześćdziesiąty trzeci, gdy
Świat podjął płciową aktywność
(Zbyt późno, bym tego liznął),
Wyszła bez skrótów *Chatterley*,
Jeszcze nie wyszło *Please Please Me*.

Wcześniej obowiązywał styl
Układów, paktów dwustronnych,
Sprzeczki o wzór obrączki,
Gdzieś w wieku lat szesnastu wstyd,
Który się nie miał skończyć.

Nagle ów świat ogłosił krach:
Wszyscy jedno poczuli
I każdy wiedział z góry,
Że życie to wygrana gra
Przy wzięciu pełnej puli.

Rok sześćdziesiąty trzeci i
Życie tak dobre jak nigdy
(Zbyt późno, bym ja go liznął),
Wyszła bez skrótów *Chatterley*,
Jeszcze nie wyszło *Please Please Me*.

P.S. Wyrażam zgodę na recytowanie powyższego przekładu wiersza „Annus mirabilis" w łóżku, przed snem lub przed podjęciem innej należnej temu miejscu aktywności. Panu Larkinowi na pewno też będzie przyjemnie. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 05-2021

oczami dzieci

AUSCHWITZ, MAJDANEK, ŁÓDŹ – KOSZMAR NIE MIJA

AKG / BEW

Rodziny węgierskich Żydów przybywają w transporcie do Auschwitz, czerwiec 1944 r.

Ich oczami

MAREK ZAJĄC

Głównym motywem 76. rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau będzie los dzieci. Nie tylko dlatego, że zgodnie z prawami przemijania większość żyjących dziś więźniarek i więźniów miała w obozie kilka-kilkanaście lat.

13 grudnia 1943 r. Primo Levi ma 24 lata. Ukrywa się we włoskich górach z niewielkim i mizernie uzbrojonym oddziałem partyzanckim. Faszystowska milicja przypadkiem zagarnia ich obozowisko. Levi, absolwent studiów chemicznych w Turynie, błyskawicznie kalkuluje w myślach. Jeśli przyzna, że jest partyzantem, trafi na ciężkie śledztwo i tortury. Dlatego mówi, że jest „obywatelem włoskim rasy żydowskiej". Akurat w tym równaniu z jedną niewiadomą popełnia fatalny błąd.

Zanim jednak pozna piekło Auschwitz, przez kilka tygodni wraz z dziesiątkami żydowskich rodzin wegetuje w obozie w Fossoli koło Modeny. Tam od polskich i chorwackich uchodźców dowiadują się, co czeka Żydów wywożonych na Wschód. Ich transport ma wyruszyć 22 lutego 1944 r. Cel nieznany. Ale przygotować się muszą na 15 dni podróży.

W książce „Czy to jest człowiek" Levi będzie potem wspominać ostatnie godziny przed wyruszeniem w drogę: „I nadeszła noc, a była to taka noc, że oczy ludzkie nie powinny były jej oglądać i żyć dalej. Wszyscy to czuli: żaden ze strażników ani włoskich, ani niemieckich nie miał odwagi przyjść i zobaczyć, co robią ludzie, którzy wiedzą, że mają umrzeć".

Dalej pisze: „Każdy pożegnał się z życiem we właściwy sobie sposób. Niektórzy modlili się, inni pili ponad miarę, jeszcze inni haniebnie szukali zapomnienia w ostatniej namiętności. Ale matki z tkliwą starannością przygotowały pokarm na drogę, umyły dzieci, spakowały bagaż, a o świcie druty kolczaste pełne były suszącej się bielizny dziecięcej; nie zapomniały ani o pieluszkach, ani o zabawkach, poduszkach i setkach drobiazgów im tylko znanych, bez których dzieci w żadnej sytuacji obejść się nie mogą. Czy i wy nie postąpilibyście tak samo? Czy gdyby was jutro mieli zabić razem z dzieckiem, czy dalibyście mu dzisiaj jeść?".

To pytanie pozostanie już bez odpowiedzi: ilu dorosłych – rodziców, dziadków, krewnych i przypadkowych opiekunów – poszło w czasach Zagłady na śmierć, bo nie chciało opuścić tych najmniejszych? Ilu zrobiło to z pełną świadomością, a ilu intuicyjnie, tłumiąc wątpliwości, podsycając złudne nadzieje i uciszając pierwotną wolę przeżycia?

Ilu do ostatnich chwil usiłowało ukoić dziecięce przerażenie? Służyły temu – jak pisał Levi – ulubione zabawki, które nagie maluchy niosły aż do komór gazowych. Ślady tamtych chwil przetrwały pod ziemią. Przed laty przy komorach Birkenau znaleziono małego porcelanowego kotka. Z kolei w Sobiborze, w miejscu, gdzie działało prowizoryczne krematorium, archeolodzy odkopali na wpół spaloną Myszkę Miki.

Jaką zabawkę dałbyś swojemu dziecku, gdyby szło na śmierć?

■ ■ ■

W najmroczniejszym etapie Zagłady, gdy mordowanie przybrało skalę i metody industrialne, opieka nad dzieckiem drastycznie zmniejszała szanse na przeżycie. A podczas selekcji na rampie w Auschwitz-Birkenau oznaczała praktycznie wyrok śmierci.

W opowiadaniu „Proszę państwa do gazu" Tadeusz Borowski naszkicował straszną scenę. Autentyczną, z obozowych wspomnień – z rampy, po przybyciu kolejnego transportu:

„Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko, o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubinka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: – Mamo, mamo!

– Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

– Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! – krzyczy histerycznie kobieta i ucieka zakrywając rękoma twarz.

Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojadą autem, które pójdą pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

– Mamo, mamo, nie uciekaj!

– To nie moje, nie moje, nie...!

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym, zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością:

– Ach ty, jebi twoju mat – blad' jewriejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo!

Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

– Masz! Weź i to sobie! Suko! – i cisnął jej dziecko pod nogi.

– Gut gemacht, tak należy karać wyrodne matki – rzekł esman, stojący przy samochodzie. – Gut, gut ruski.

– Małczi! – warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów".

W tym fragmencie jest cały Borowski. Niczego nie ukrywa i nie stępia ostrych kantów. Ale też nie ocenia, tylko między wierszami pyta: co byś zrobił na jej miejscu?

■ ■ ■

Mordercę i ofiarę dzieli bezdenna przepaść. Nieprzekraczalna przepaść między złem i niewinnością, przemocą i byciem bezbronnym, między dalszym życiem i nagłą śmiercią. Jednak od czasu do czasu głosy mordercy i ofiary – chociaż zdaje się to herezją – brzmią jak dwa podobne dźwięki.

Jaacov Gabai – grecki Żyd zmuszony do pracy w Sonderkommando, które obsługiwało komory gazowe i krematoria Birkenau – zapamiętał scenę jakby z surrealnego koszmaru: „Raz przyprowadzili węgierską dziewczynę z dwudniowym dzieckiem, prawdziwym noworodkiem. Wiedziała, że musi umrzeć. Tamtej nocy nie mieliśmy nic do roboty. Siedzieliśmy wkoło, jej też daliśmy stołek, żeby usiadła, jeszcze coś do jedzenia i papierosy. Zaczęła nam opowiadać, że jest śpiewaczką. Tak przegadała jakieś pół godziny. My siedzieliśmy przed piecami. Obok nas siedział holenderski esesman, dość miły, dobry facet. Też się przysłuchiwał. Kiedy tamta skończyła, wstał i powiedział: »Dobra, nie możemy tu sobie tak siedzieć, teraz kolej na śmierć«. Dziewczyna powiedziała: »Zabij najpierw mnie. Nie chcę widzieć mojego dziecka martwego«. Wtedy Holender wstał, przyniósł broń, strzelił i wrzucił ją do pieca. Potem wziął niemowlę, bum-bum, skończyło się".

Historia ta odbija się dalekim echem w relacji, którą przed laty słyszałem na wystawie w Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie. Ekspozycję poświęcono kolaborantom w procesie Zagłady, m.in. ukraińskim wachmanom czy litewskim szaulisom [formacja policyjna odpowiedzialna za zbrodnie na ludności żydowskiej i polskiej – red.]. Jeden ze sprawców rozstrzeliwał całe żydowskie rodziny. Opowiadał o tym beznamiętnie, bezbarwnym głosem. Odnosiło się wrażenie, że czyta nudną instrukcję obsługi. Gdy jednak zapytano, do kogo wpierw się strzela, do rodziców czy dzieci – wyraźnie się obruszył, jakby urażony banalnością pytania. Oczywiście, że na początek do rodziców. Przecież nie wolno pozwolić im patrzeć na śmierć ich dzieci.

Wciąż się zastanawiam, czy ta odpowiedź była dowodem jego absolutnego zezwierzęcenia, czy przerażającym przejawem resztek człowieczeństwa i współczucia?

■ ■ ■

Henryk Mandelbaum był jednym z najszlachetniejszych ludzi, których znałem. Życie poświęcił opowiadaniu o tym, czego musiał być świadkiem. Wierzył, że w ten sposób może zmienić świat na lepsze. A opowiadał do bólu szczerze, ze szczegółami. Jak wtedy, gdy wspominał, że do garnka musiał nabierać ciepły ludzki tłuszcz, ściekający z płonących ciał, żeby polewać nim trupy i podsycać ogień.

Nie było w tych historiach nachalnego dydaktyzmu, bo Mandelbaum zostawiał słuchaczowi margines wolności – niech każdy sam dla siebie wyciąga wnioski. Wspominał, że na bok odkładali trupy najpiękniejszych dziewcząt i chłopców – jak mówił: Wenusy i Adonisy – i palili dopiero na końcu. Prosił, żeby tę historię opowiadać po jego śmierci, ale nigdy nie sugerował, jak ją należy rozumieć.

W wieku 22 lat trafił do Auschwitz-Birkenau i został wcielony do Sonderkommando. Miał fotograficzną pamięć i aż do śmierci można z nim było rozmawiać o wszystkim. Poza jednym tematem: palenia dzieci.

W książce „Ja z krematorium Auschwitz" Igor Bartosik i Adam Willma pytają Mandelbauma o dzieci. Odpowiada, że nigdy ich nie palił. Gdy rozmówcy podkreślają, że to niemożliwe, wybucha: „Ale ja tego nie widziałem! Rozmawiacie z poważnym człowiekiem, przeżyłem bardzo wiele. Nie po to tutaj przyszedłem, żeby was okłamywać. Jak nie wiem, to mówię, że nie wiem. Ja dzieci nie widziałem. Może nie było ich na mojej zmianie?".

Jak to wyjaśnić? Bo przecież Mandelbaum na pewno palił także dzieci. Odpowiedź znajdziemy w książce kilkadziesiąt stron dalej. Na zdjęciu Mandelbaum siedzi w swoim mieszkaniu w Gliwicach. Jego dobre oczy patrzą gdzieś poza obiektyw. A za nim na łóżku stoi kilkanaście pluszowych zabawek w równych rzędach. Jego dom pełen był zabawek – misiów, kotków i piesków – nieruchomo stojących w szeregach.

Mandelbaum na pewno nie chciałby tu stawiać kropki nad i. Niech każdy sam sobie odpowie: co to znaczy?

■ ■ ■

To wciąż powraca w relacjach byłych więźniów i więźniarek. Ich najstraszniejsze wspomnienie? Dzieci. Nie tylko żydowskie, ale też romskie mordowane w komorach gazowych, a także polskie, białoruskie, rosyjskie i ukraińskie – umierające z głodu, chorób, bicia i wycieńczenia.

Podczas kilku ostatnich posiedzeń Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej zasiadający w tym gremium ocaleli więźniowie – Kazimierz Albin, Władysław Bartoszewski, Halina Birenbaum, Roman Kent, Marian Turski czy Kalman Sultanik – wciąż wracali do pytania, co zrobić, aby pamięć nie bladła i nie gasła. Żeby nie stała się zimna i koniec końców nie umarła. Prosili: opowiadajcie o dzieciach. Kiedy wszystko już stanie się odległe i mgliste – może los dzieci nadal nie pozostawi ludzi obojętnymi?

Oby mieli rację. Bo co byśmy musieli powiedzieć o sobie samych, gdybyśmy zapomnieli i opuścili tamte dzieci? ©

MAREK ZAJĄC jest przewodniczącym Rady Fundacji Auschwitz-Birkenau. Przez 12 lat był sekretarzem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Kieruje kanałem Polsat Rodzina.

ARCHIWUM PRYWATNE X3

U góry: Rosie Csengeri z córkami Yehudit i Leą, rumuński Siedmiogród, ok. 1937 r.
Yehudit i Lea, rumuński Siedmiogród pod węgierską okupacją, ok. 1943 r.

Bliźniaczki z Auschwitz

OFER ADERET Z TEL AWIWU

Choć obóz opuściły 76 lat temu, siostry Lea i Yehudit Csengeri – ofiary eksperymentów pseudomedycznych – do dziś odczuwają lęk przy kontakcie z lekarzem.

Krótko po wyzwoleniu obozu Auschwitz 27 stycznia 1945 r. siedmioletnie wówczas bliźniaczki Lea i Yehudit Csengeri usłyszały polecenie, że mają objąć się i stanąć wraz z innymi ocalałymi koło płotu z drutu kolczastego. Zanim mogły jeszcze poczuć smak wolności, miały wziąć udział w filmie propagandowym Armii Czerwonej, w którym już po fakcie zainscenizowano wyzwolenie obozu. Wszystko było upozowane, mówią mi siostry Csengeri, patrząc na swoje postaci uchwycone w stopklatce.

Pomimo że całkowicie zaaranżowany, film stanowi ważną dokumentację wyjątkowego losu żydowskich bliźniaczek, które przetrwały straszne eksperymenty prowadzone na nich przez niemieckiego sadystę-lekarza Josefa Mengelego. W kadrze filmu, eksponowanym w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau, widać także ich matkę Rosalię (używała ona też – jak wielu europejskich Żydów – imion żydowskich: Miriam-Rachela), wówczas 28-letnią. Ona również przetrwała obóz.

Siostry wspominają, że matka odegrała kluczową rolę w ich przetrwaniu. – Żyjemy tylko dzięki niej. Czesała nas, myła w śniegu i zakradała się do naszego baraku, żeby przynieść trochę chleba – mówi Yehudit.

Pewnego razu, gdy Mengele prowadził na nich eksperyment, matka wdarła się do baraku i ubłagała, żeby przestał. Za karę dostała zastrzyk, po którym straciła przytomność na dwa tygodnie. – To nasza bohaterka. Mało jest przykładów, że obaj bliźniacy czy obie bliźniaczki przetrwały obóz i eksperymenty – opowiada Lea (po mężu Huber).

Trzymałyśmy się razem

Yehudit i Lea urodziły się w 1937 r. w miasteczku Șimleu Silvaniei (węg. Szilágysomlyó) w rumuńskim Siedmiogrodzie. W 1940 r. miasto zostało przyłączone do Węgier (mając wsparcie Niemiec, państwo węgierskie odebrało wówczas Rumunii część terenów, które utraciło na jej rzecz po I wojnie światowej).

W 1942 r. ojciec bliźniaczek, Zvi, został skierowany na przymusowe roboty, a w maju 1944 r. Yehudit i Lea zostały przeniesione wraz z matką do getta. Wkrótce potem wywieziono je do Auschwitz. Z całej ich rodziny, która trafiła do obozu, przeżyły tylko one i matka.

Ponieważ były jednojajowymi bliźniaczkami, lekarz SS Josef Mengele wybrał je do swoich niesławnych eksperymentów pseudomedycznych. Mengele prowadził badania nad zagadnieniem bliźniactwa oraz fizjologią i patologią skarlenia, szukał sposobu na genetyczne warunkowanie cech aryjskich u dzieci i zwiększenie liczby ciąż mnogich – dlatego do badań wybierał bliźniaki, spośród więźniów żydowskich i romskich.

– Jak tylko przenieśli nas do baraku dla bliźniąt, dowiedziałyśmy się, że Mengele regularnie zachodzi, aby wybrać dzieci, których potrzebuje do eksperymentów. W naszych oczach, małych dziewczynek, był silną, władczą postacią. Kimś, kto decydował, kto przeżyje, a kto umrze – mówi Lea.

Najbardziej bały się, że któregoś dnia tylko jedna z nich wróci z eksperymentów. – Widziałyśmy, że z większości par zostaje jedno. Trzymałyśmy się mocno za ręce – opowiada Yehudit.

Jeszcze dziś, po 76 latach od opuszczenia obozu, siostry nie życzą sobie, by wdawać się w szczegóły eksperymentów, jakie prowadzono na nich w bloku Mengelego. Chcą zachować te wspomnienia dla siebie. Ale wnuczka Lei, Shani Levany, zdecydowała się opowiedzieć nieco o ich styczności z nazistowskim lekarzem.

– W jakimś stopniu je sobie upodobał. Nazywał je „ślicznymi Csengeri" i zwracał się do nich po imieniu, a nie numerami. Pewnego razu przesunął je do przodu w kolejce po posiłek, bo były zbyt grzeczne, zbyt dobrze wychowane i nie umiały się przepychać – powiedziała Shani.

Yehudit i Lea wspominają, że po wyzwoleniu sporo czasu zajęło im, zanim zdały sobie sprawę, że są wolne. – Byłyśmy małymi dziewczynkami i nie odczuwałyśmy tego wyzwolenia. Owszem, dostawałyśmy trochę więcej jedzenia, ale dalej nie miałyśmy domu. Zajmowałyśmy się odbudowywaniem naszego życia – zauważa Lea.

Prawdziwe poczucie wolności przyszło 15 lat później, gdy w 1960 r. wraz z ocalałymi rodzicami wyemigrowały z komunistycznej Rumunii do Izraela. – Wreszcie byłyśmy wolne, nikt nas nie prześladował – wspomina Lea.

Bliźniaczki Lea (z lewej) i Yehudit podczas święta Purim, rumuński Siedmiogród pod węgierską okupacją, ok. 1943 r.

– Nikt nas już nie pytał, co robimy – dodaje jej siostra.

Bez dziadków

Siedemdziesiąt osób z ich szerokiej rodziny zginęło w Holokauście – w tym jedna z babć i jeden z dziadków.

– Kiedy byłam mała, chciałam mieć kogoś, do kogo mogłabym mówić „babciu", „dziadku". Ale nie było nikogo takiego. To smutne – powiedziała Yehudit, która dziś nosi nazwisko Barnea. – Z drugiej strony mam swoją rodzinę, cieszę się ze swojego pięknego kraju i jego osiągnięć. Wygrałam.

W styczniu 2020 r., gdy w 75. rocznicę wyzwolenia Auschwitz przypadał Międzynarodowy Dzień Pamięci Holokaustu, obie siostry wzięły udział w konferencji na Uniwersytecie Ben Guriona w Beer Szewie, zorganizowanej przez Żydowskie Centrum Etyki Medycznej działające przy tej uczelni. Dyskutowano tam o różnych kwestiach bioetycznych związanych z Holokaustem.

Wnuczka Lei, Shani, studiuje medycynę na tym uniwersytecie. Wybór zawodu miał dla niej szczególne znaczenie w świetle cierpień, jakie jej babcia oraz babcia cioteczna doznały z rąk kogoś, kto miał tytuł doktora. – Zadawałam sobie pytanie, jakiego rodzaju lekarzem chcę być i jakimi zasadami etycznymi będę się kierować w pracy z pacjentami. Mam nadzieję, że nie będę jedynie przestrzegać zasad, ale zdołam dostrzec w każdym pacjencie istotę ludzką – mówi Shani.

Lęk przed lekarzem

Shani Levany pracuje jako asystentka doktora Matthew Foxa w uniwersyteckim centrum etyki medycznej. Badania Foxa dotyczą ostatnio tego, jak współczesna medycyna, nawet w XXI wieku, radzi sobie z wyzwaniami, które postawił przed nią okres nazistowski. – Nie ma w dzisiejszej etyce medycznej żadnego dylematu, który nie byłby jakoś z tym tematem związany – zapewnia Fox. Jak zauważa, dotyczy to różnych nowych terapii i eksperymentów z udziałem ludzi, a także eutanazji, aborcji i inżynierii genetycznej oraz relacji między zdrowiem publicznym a jednostkowymi prawami pacjenta.

Pomimo upływu tylu lat od wyzwolenia z obozu siostry Csengeri wciąż odczuwają lęk przy każdym kontakcie z lekarzem. – Staramy się chodzić jak najrzadziej do lekarzy, bo wciąż jest w nas lęk wywołany przez eksperymenty, jakie na nas robiono – mówi Lea.

– Fakt, że lekarz zrobił nam krzywdę, pozostał na długie lata w podświadomości. Idąc do doktora, czujemy wahania. To straszny lęk – dodaje Yehudit. – Nawet proste badanie krwi to koszmar. Lekarz to dla nas zagrożenie, widzimy w nim zimną okrutną osobę. Do dziś, kiedy spotykam lekarza, który jeszcze mnie nie zna, tłumaczę mu, że ma do czynienia ze szczególnym rodzajem pacjentki.

Mimo tego lęku obie mają, rzec można, osobiste więzi z medycyną: Lea wyszła za weterynarza, a Yehudit za dentystę. Obie siostry chciały studiować stomatologię, ale zanim wyemigrowały do Izraela, musiały w komunistycznej Rumunii zadowolić się szkołą dla techników dentystycznych. Yehudit pracowała potem jako pomoc dentystyczna przy swoim mężu i synu, który również wybrał tę specjalizację.

– To bardzo ważne, aby lekarz zdawał sobie sprawę, że pacjent to istota ludzka ↦

TOMER APPELBAUM

Lea Huber (z lewej) i Yehudit Barnea, Tel Awiw, styczeń 2020 r.

↦ z duszą, uczuciami, wątpliwościami i lękami – dodaje Yehudit.

Znaki ostrzegawcze

Matthew Fox podziela ten pogląd: – W trakcie studiów nasi przyszli lekarze uczą się o niebezpiecznej równi pochyłej, po której może się stoczyć medycyna. Kształcimy ich, aby byli wyczuleni na znaki ostrzegawcze.

– Medycyna to szlachetne powołanie, ale z drugiej strony lekarze to przecież ludzie. Kiedy myślimy o zbrodniarzach wojennych, zwykle przychodzą nam na myśl policjanci, żołnierze, a nie lekarze. Ufamy lekarzom. Nie traktuje się ich jak ludzi, którzy mogliby popełniać zbrodnie wojenne – dodaje Fox.

Rzeczywistość zadała temu kłam. Matthew Fox, który badał ten temat, twierdzi, że Josef Mengele to tylko czubek góry lodowej, jeśli chodzi o udział niemieckich lekarzy w zbrodniach wojennych III Rzeszy. Mengele był na świeczniku, ale prawie cały system medyczny Niemiec został zmobilizowany do współudziału w przeprowadzeniu Zagłady.

– Wielu ludzi nie wie, że Mengele prowadził swoje eksperymenty w Auschwitz w ramach programu badań postdoktoranckich, pod opieką światowej sławy genetyka z Berlina. Finansowała go prestiżowa fundacja naukowa – mówi Fox. Zresztą pierwszą grupą, która popełniła systemowe mordy w nazistowskich Niemczech, też byli lekarze. Chodzi o program eutanazji (o kryptonimie T4) z lat 1939-41: kilkadziesiąt tysięcy pacjentów z ułomnościami fizycznymi lub psychicznymi, w tym wielu Niemców, zostało zabitych przez lekarzy i pielęgniarki – czyli przez ludzi, którzy mieli się nimi opiekować i leczyć.

Celem było pozbycie się ludzi chorych i kalekich, uznanych za społeczny balast. Pierwsze komory gazowe, jak zauważa Fox, zainstalowano w niemieckich szpitalach, gdzie zabijano pacjentów na długo przed tym, zanim zaczęło się gazowanie w obozach zagłady. – W trakcie tego procesu medyczny *establishment* rozwinął teoretyczną i praktyczną infrastrukturę zastosowaną potem do ludobójstwa Żydów – dodaje.

Jak podsumowuje Fox, badania historyczne świadczą dziś niezbicie, że niemiecki *establishment* medyczny, z doktorem Mengele jako najsławniejszym przedstawicielem, był w pełni włączony w Holokaust.

– Lekarze wstępowali do NSDAP i SS proporcjonalnie częściej niż jakakolwiek inna kategoria zawodowa – mówi Matthew Fox. – Tych zbrodni dokonywali nie tylko poszczególni lekarze, tacy jak Mengele, ale cały system: kręgi akademickie, stowarzyszenia zawodowe, instytucje badawcze. Wszystkie te podmioty były mocno zaangażowane na każdym poziomie.

© OFER ADERET

Przełożył PB

OFER ADERET jest publicystą izraelskiego dziennika „Haaretz", w redakcji zajmuje się tematami historycznymi. Tekst ukazał się w „Haaretzu", przedrukowujemy go za zgodą autora.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 5/2021
REDAKCJA: Wojciech Pięciak | OKŁADKA: Marek Zalejski / FOT. ALAMY / BEW / MONTAŻ TP-ONLINE, | SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Edward Augustyn, Grażyna Makara
NA OKŁADCE: fragment niemieckiego zdjęcia przedstawiającego żydowskie kobiety i dzieci wywiezione z Węgier przed komorą gazową w Auschwitz-Birkenau, maj 1944 r.

WSPÓŁWYDAWCA: FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER: KONRAD ADENAUER STIFTUNG

PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU

Wysiedlona z Zamojszczyzny Aniela Kryń trafiła na Majdanek wraz z synem Januszem (zdjęcie sprzed deportacji). Oboje zostali wywiezieni potem na roboty do Niemiec, przeżyli wojnę.

ZBIORY DOMU SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

Była więźniarka Auschwitz Krystyna Zambrzycka z córką Elżbietą, urodzoną już po wojnie. Łódź, 1947 r.

Narodziny za drutami

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Żydowskiego chłopca, który przyszedł na świat w wigilię 1943 r., polskie więźniarki nazwały Mojżeszem. Ukrywały go, dokarmiały. „Musi żyć" – powtarzały.

Poród zaczął się w baraku na Polu V. Więźniarka żydowska leżała na zawszonym kocu wśród innych kobiet. Nie miała siły przeć, krzyczała z bólu. Günther Konietzny, sanitariusz SS z załogi obozu, stał obok i raz pocieszał, a raz popędzał. Po wielu godzinach wyczerpana kobieta urodziła chłopca. Niemiec pozwolił jej wziąć dziecko na ręce: „Popatrz, jakiego pięknego synka urodziłaś". Potem spakował noworodka do torby i odjechał rowerem do krematorium. Torbę zawiesił na ramie.

Ten opis wraca w wielu relacjach złożonych przez więźniów Majdanka. Nie należy do najbardziej drastycznych, są gorsze. Jak ten o porodzie innej żydowskiej więźniarki, gdy Konietzny wziął dziecko za nóżki i na oczach matki uderzył główką o ścianę budynku.

Obóz Majdanek (dziś dzielnica Lublina) powstał jesienią 1941 r., początkowo dla jeńców sowieckich. Gdy zaczęła się akcja Reinhardt – operacja mordowania Żydów na terenie Generalnego Gubernatorstwa – Niemcy kierowali tu żydowskie transporty z likwidowanych gett. Kobiety zdolne do pracy zostawiano przy życiu, ciężarne i dzieci kierowano do komór gazowych. Pole V, teren przeznaczony dla kobiet, powstało właśnie wtedy, w 1942 r. Prócz Żydówek kierowano tu Białorusinki z dziećmi, polskie więźniarki polityczne, potem także Polki z Zamojszczyzny.

Okupant chciał stworzyć na Zamojszczyźnie niemiecki obszar osadniczy – ludność polską wywożono na roboty do Rzeszy lub do obozów koncentracyjnych. Bywało, że ciężarne kobiety rodziły podczas transportu w bydlęcych wagonach – opisuje Marta Grudzińska, historyk z Państwowego Muzeum na Majdanku. Gdy przybywały do obozu, z noworodkiem na ręku musiały przejść kilka kilometrów, bo pociąg nie dojeżdżał do bram Majdanka.

Cud bywał rzadko

Dzieci rzadko przeżywały w warunkach obozowych. Piotr Denisow, zatrudniony w niemieckiej firmie budowlanej, która prowadziła roboty kanalizacyjne na terenie Majdanka, zeznał w 1946 r.: „Dzieci do lat 14 nie nosiły numerów takich jak reszta więźniów, a tym samym nie były w ewidencji. Przez to sama ilość osób, która przeszła przez obóz, jeszcze się powiększa o ilość dzieci żydowskich, polskich i rosyjskich. Przebywały w obozie razem z kobietami. Dzieci żydowskie wkrótce po przybyciu do obozu były tracone – zabijane gazami lub pałkami, natomiast sowieckie po przeglądzie lekarskim były wysyłane w głąb Rzeszy. Dzieci polskie w warunkach obozowych w krótkim czasie dochodziły do stanu wycieńczenia i masowo umierały. Były wypadki, że dzieci urodzone ↦

↦ w obozie zabijano, nie patrząc na rozpacz matki".

Kobiety wiedziały o tym i nie chciały rozstać się z dziećmi. Gdy Fela Cukierman trzymała kurczowo rękę czteroletniego syna, a Dora Bromberg przytulała sześcioletnie dziecko, usunięto je na bok. Bito je na oczach dzieci, aż umarły.

Majdanek był dla Żydówek obozem zagłady. Kobiety innych narodowości mogły liczyć na to, że ich dzieci jakimś cudem przeżyją. Ten cud nie zdarzał się jednak często – śmiertelność wśród noworodków była niemal stuprocentowa.

Pole III

Nie zmieniło tych statystyk założenie przez doktor Stefanię Perzanowską na Majdanku żeńskiego rewiru, czyli szpitala. Brakowało podstawowych leków, środków czystości, gorącej wody. Nie było ubranek dla dzieci, smoczków, butelek, pieluch.

Zresztą nie wszystkie kobiety miały dostęp do rewiru. Wiele z nich trafiło na Pole III (męskie), gdyż Pole V było przepełnione i nie mogło pomieścić więcej kobiet. Na Polu III przebywały razem z mężczyznami – zdarzały się tam ciąże, które były skutkiem gwałtów. Kobiety rodziły na oczach wszystkich, bez szansy na pomoc położnej czy lekarza.

Nikt nie wydawał im też lepszego jedzenia, więc matki nowo narodzonych dzieci nie miały często czym ich karmić. W obozie brakowało wody, sanitariaty były tak prymitywne, że groziły wypadkiem. Kobiety osłabione pracą i wycieńczone porodem nieraz wpadały do dołów z fekaliami.

Poza tym na Majdanku szerzyły się choroby – odra, ospa, tyfus zbierały żniwo. W tych warunkach trudności z przeżyciem kilku miesięcy miała zdrowa młoda kobieta – szanse dziecka czy kobiety w ciąży z każdym dniem drastycznie spadały.

Bóg się rodzi

Był 24 grudnia 1943 r. Tego dnia więźniowie skończyli pracę wcześniej, w barakach ustawiono choinki przesłane przez Polski Czerwony Krzyż. Nie było apelu, więźniowie mogli zasiąść do swojej skromnej quasi-wigilii. Dzielili się, czym mogli, bo od kilku miesięcy do osadzonych przychodziły paczki. Te świąteczne były szczególnie obfite. Na stołach leżały chałki, kluski z makiem, pierniki, był opłatek. Na Polu III ksiądz Jan Przytocki przewodniczył modlitwie przed posiłkiem. Z baraków dochodziła kolęda „Bóg się rodzi".

W obozie przebywali wtedy więźniowie wielu narodowości, w tym Polacy, obywatele Związku Sowieckiego, więźniowie z Europy Zachodniej i niewielka grupa Żydów. Do tego czasu na Majdanku zgładzono już ok. 60 tys. więźniów żydowskich. Największa egzekucja – największa jednorazowa w dziejach obozów koncentracyjnych – została przeprowadzona 3 listopada 1943 r.: podczas operacji Erntefest (Dożynki) Niemcy rozstrzelali 18 tys. Żydów, mężczyzn, kobiet i dzieci. Z masakry wyłączono 300 Żydówek, aby dokonały segregacji mienia zamordowanych.

Doktor Perzanowska też zasiadła do kolacji. Była internistką, na Majdanek trafiła z więzienia w Radomiu jako więźniarka polityczna. Tego wieczoru nie zdążyła podzielić się opłatkiem, gdy wezwano ją do rodzącej. Była to jedna z Żydówek segregujących odzież.

Po wielu godzinach na świat przyszedł chłopiec. Polskie więźniarki nazwały go Mojżeszem i postanowiły uratować. Ukrywały go w szpitalu, dokarmiały. Mojżesz był oczkiem w głowie rewirowego personelu, a jego narodziny uznano za cud. „To dziecko musi żyć" – powtarzały między sobą więźniarki.

Udało im się chronić Mojżesza aż do likwidacji żydowskiego obozu żeńskiego. W kwietniu 1944 r. wraz z matką wysłano go do Auschwitz, dostał numer. Potem wszystkie Żydówki z transportu lubelskiego trafiły do komory gazowej. Wraz z nimi Mojżesz.

Urodzona w Auschwitz

Leokadia Rowińska, bohaterka książki Sylwii Winnik „Dziewczęta z Auschwitz", urodziła syna 21 stycznia 1945 r. – na sześć dni przed zajęciem obozu przez Armię Czerwoną. Nie mogła go karmić, wyczerpany organizm nie wytwarzał pokarmu. Dawała mu mleko od krowy, tuliła w używanym beciku, wkładała do buzi poszarpany smoczek. Irek nie płakał, a po dziewięciu dniach zmarł. Leokadia pochowała go w pudełku po makaronie.

Kiedy więc słucham relacji Stefanii Wernik (nagranie jest dostępne na kanale YouTube „Świadkowie epoki" – archiwum historii mówionej Instytutu Pileckiego), urodzonej w Auschwitz, nie mam wątpliwości, że jest szczęściarą. Wygrała życie. „Mama nie przyznawała się, że jest w ciąży. Chodziła do pracy, wywoziła gnojówkę z latryn. Jak zemdlała, dotąd leżała, aż się sama podniosła" – opowiadała Stefania.

Jej mama, Anna Piekarz, trafiła do Auschwitz, gdy była w drugim miesiącu ciąży. Zatrzymano ją na granicy między Generalną Gubernią a Rzeszą, kiedy szła do rodzinnego domu po żywność.

Rodziła długo, od poniedziałku do środy, a towarzyszyła jej Stanisława Leszczyńska – legendarna położna, którą nazywano w obozie aniołem. Ale nawet aniołowie nie mogli zdobyć leków czy lepszego jedzenia dla położnic. I choć od połowy 1943 r. Niemcy pozostawiali przy życiu dzieci urodzone przez więźniarki, które nie były Żydówkami (rejestrując je i nadając im numery), przeżycie było trudne.

Mija i inni

Jak było wcześniej? Sięgnijmy po wspomnianą książkę Sylwii Winnik. Występująca w niej Irena Wiśniewska opisuje Niemkę, nazywaną w obozie Czarna Mija, która obok doktora Mengele przerażała ją najbardziej: „Na rewirze od czasu do czasu pojawiały się kobiety w ciąży. Zawsze starałyśmy się ratować matkę i dziecko, ale niestety bardzo rzadko się to udawało. Mija miała zwyczaj brać na ręce żywego noworodka i wrzucać je do rozpalonego pieca".

Gdy pod koniec 1942 r. przyjechał do Auschwitz transport z Zamojszczyzny, wśród przybyłych były trzy ciężarne kobiety. Umieszczono je w bloku 24, gdzie urodziły zdrowe dzieci. Julian Kiwała, skierowany w grupie więźniów do obozu kobiecego, do organizacji tam rewiru, wspominał: „Przez kilka dni ukrywaliśmy dzieci przed esesmanami, co było o tyle łatwe, że esesmani, bojąc się duru, nie wchodzili do bloków szpitalnych. Po kilku dniach dr SS Rohde dowiedział się jednak o niemowlętach i polecił mi umieścić je w stanie liczbowym bloku. Dzieci te były ulubieńcami całego bloku. Początkowo pokarm jak mleko, chleb biały dla matek »organizowaliśmy« w kuchni obozowej obozu męskiego". Po dwóch tygodniach matki i dzieci przeniesiono na blok 25, zwany blokiem śmierci. Wszyscy zginęli, zabici zastrzykiem z fenolem.

Strach przed blokiem śmierci był powszechny i kobiety robiły wszystko, aby tam nie trafić. Do końca ukrywały ciążę. Joanna Stöcker w artykule „Zagłada żydowskiego macierzyństwa w KL

MACIEJ BILLEWICZ / PAP

PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU

PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU

Od lewej: położna z Auschwitz Stanisława Leszczyńska oraz lekarki Hanna Narkiewicz-Jodko i Stefania Perzanowska – więźniarki Majdanka.

Auschwitz-Birkenau" opisuje historię Belgijki, która bandażowała się, aby ktoś nie odkrył, że jest w ciąży. Urodziła córkę, ale natychmiast odebrano jej dziecko i zabito.

Liczba nieznana

Nie sposób ustalić, ile dzieci urodziło się w obozach koncentracyjnych. Na stronie Muzeum Auschwitz-Birkenau można znaleźć informację, że przyszło tam na świat ok. 800 dzieci. Ale Stanisława Leszczyńska, która w obozie przebywała w latach 1943-45, twierdziła, że przyjęła więcej porodów: „Chore, jak wspominałam, rodziły na piecu. Ilość przeprowadzonych tam przeze mnie porodów wynosiła ponad 3 tysiące. Pomimo przerażającej ilości brudu, robactwa wszelkiego rodzaju, szczurów i chorób zakaźnych, braku wody oraz niedających się wprost opisać okropności działo się tam coś niezwykłego".

Niemożliwe nawet do oszacowania są dane na temat narodzin na Majdanku. W Auschwitz więźniów tatuowano, a na Majdanku numery wydawano na blaszkach, noszonych na szyi bądź nadgarstku. Jeśli więzień umarł, uciekł lub trafił do innego obozu, jego numer dostawał ktoś nowo przybyły. W kartotekach obozowych jeden numer przypisany jest do wielu więźniów.

W Auschwitz noworodek otrzymywał tatuaż z numerem na udzie, na Majdanku dzieci nie podlegały rejestracji, wpisywano je do kartoteki matki.

Strach dziedziczony

– Więźniowie, którzy jako dzieci przebywali w obozie, do tej pory przeżywają lęki. Trauma towarzyszy im przez całe życie. Józef Psiuk, który był więziony na Majdanku jako kilkuletni chłopiec, przez wiele lat śnił ten sam sen: jedzie w bydlęcym wagonie, jest ścisk, ludzie tłoczą się, nie ma czym oddychać. Budził się przerażony, długo nie mógł dojść do siebie – opisuje Marta Grudzińska w rozmowie z „Tygodnikiem".

Trauma poobozowa to zespół stresu pourazowego, który występuje w różnych formach jako skutek uwięzienia w kacecie. Badania sugerują dziś, że może być ona dziedziczona. Dotyczy to zarówno wychowania (rodzic obarczony lękiem kształtuje zalęknione dziecko), jak też tzw. czynników epigenetycznych. Kilka lat temu Rachel Yehuda z Mount Sinai School of Medicine i jej współpracownicy ustalili, że traumatyczne doświadczenia więźniów obozów zmieniają aktywność genów powiązanych z przeżywaniem stresu, ta zmiana zaś może zostać przekazana potomstwu; określa się to zjawisko jako dziedziczenie epigenetyczne.

O takim właśnie doświadczeniu – dziedziczonym strachu – pisała w książce „Mała Zagłada" (wydanej w 2015 r.) pisarka i poetka Anna Janko – córka Teresy Ferenc, również poetki, która jako dziewięcioletnie dziecko przeżyła pacyfikację wsi Sochy na Zamojszczyźnie (Niemcy zrównali wieś z ziemią).

Osoby dotknięte traumą poobozową miały problem z budowaniem więzi społecznych. Bywało, że doświadczenie upokorzenia niszczyło ich poczucie własnej wartości. Zmagały się z koszmarami sennymi. Niektórzy reagowali histerią na dźwięk języka niemieckiego, widok dużych psów czy mundurów.

– Moi rozmówcy, dzieci więźniarek z KL Ravensbrück, wspominali, że ich matki „robiły się zielone" na widok czerwonej szałwii, bo pamiętały, że taka właśnie rosła w okolicach obozu – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Maria Buko, kierowniczka Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią.

Bezradne wobec pamięci

– Więźniowie po opuszczeniu obozu byli schorowani nie tylko psychicznie, niedostępni emocjonalnie, chłodni, nerwowi, lękowi, ale też fizycznie – mówi Maria Buko. – To wszystko, a także po prostu kilkuletnia wyrwa w życiorysie, utrudniało im adaptację do powojennego życia, miewali trudności w ukończeniu edukacji czy podjęciu pracy zawodowej. Bywało, że jeśli ↦

IZABELA TOMASIEWICZ / ZBIORY PAŃSTWOWEGO MUZEUM NA MAJDANKU

Marta Grudzińska, historyk z Państwowego Muzeum na Majdanku, z lalką znalezioną na terenie dawnego obozu.

↦ szukali pomocy psychologicznej, to traktowano ich z pobłażaniem, jakby w ich doświadczeniu nie było niczego wyjątkowego. Słyszeli wokół, że przecież „wszyscy w czasie wojny mieliśmy ciężko".

O ile jednak osoba dorosła może nazwać i opisać swoje doświadczenia, dziecko pozostaje bezradne wobec pamięci, bo to, co przeżyło, nie podlegało jeszcze świadomym procesom myślowym, ale w destrukcyjny sposób wpływało na kształtowanie się mózgu. We wspomnieniach lekarki Hanny Narkiewicz-Jodko, która odbierała porody na Majdanku, powraca opis baraku dziecięcego. Niemowlaków nikt nie przewijał, nie karmił, nie przytulał. Wiele skonało daleko od matek, a te, które przeżyły, zostały emocjonalnie okaleczone.

Stefania Wernik, urodzona w listopadzie 1944 r. w Auschwitz, niewiele mogła zapamiętać. Ale to, co przeżyła, wpłynęło na jej psychikę: „Mengele przychodził i zabierał mnie na badania, po tych badaniach przynosili mnie do mamy. Zawsze tak wrzeszczałam, że nie mogli mnie uspokoić".

Gdy Armia Czerwona zajęła obóz, jej matka wzięła taboret, przywiązała do niego sznurek, włożyła córkę w takie prowizoryczne niby-sanki i ciągnęła za sobą. Szła na wolność z trudem, sama ważyła ledwie 29 kilo. Trauma poobozowa towarzyszyła jej do końca życia. Jeszcze przed śmiercią krzyczała: „Idzie Mengele, zabierze mi moją Stenię".

Genowefa Makara, dziecko Zamojszczyzny, trafiła wraz z matką na Majdanek. Już wolne, wróciły do domu, który był w ruinie. Jej matka przez całe lata przeklinała Niemców i każdej napotkanej osobie opowiadała swoje przeżycia. Genowefa nie mogła uciec od przeszłości, była zostawiona sama sobie, bo matka żyła wciąż w świecie obozu. Dziewczynka nie potrafiła się skupić, miała problemy z nauką. Nigdy nie przepracowała tej traumy.

Pielęgniarka

Pisarz Tadeusz Borowski, więzień Auschwitz, w opowiadaniu „Ludzie, którzy szli" przedstawia obóz kobiecy zwany FKL („F" od *Frauen*). Pisze, że kobiety nie miały nic, że prosiły mężczyzn, którzy pracowali na bloku, o miski, chusteczki, łyżki. Śmierdziały potem i krwią, bo nie wszystkie tak od razu przestawały miesiączkować. Także w relacjach wielu więźniarek pojawia się krew, którą próbują tamować brudnymi szmatami.

Ten brak wszystkiego jest kluczowy, gdy próbujemy wyobrazić sobie poród i opiekę nad noworodkiem. Gdy zatem słucham Krystyny Zambrzyckiej, która trafiła do Auschwitz w 1944 r. z pudełkiem na kapelusze, fotografią za szkłem i rudym lisem, uśmiecham się mimowolnie (jej relacja dostępna jest w Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią). Ona zresztą także trochę się dziwi i nie umie powiedzieć, czemu zabrała właśnie te rzeczy. „Człowiek zupełnie zgłupiał" – mówi w pewnym momencie.

Była w ciąży, poród odbył się na rewirze, a odbierała go Stanisława Leszczyńska.

Więźniarki uważały, że Leszczyńska kiedyś zostanie świętą (w 1992 r. zaczął się jej proces beatyfikacyjny). Nie tylko pomagała rodzić, ale ratowała dzieci i mimo niemieckich rozkazów nigdy nie zabiła niemowlęcia. „Ona żydowskie dzieci chrzciła i podrzucała innym kobietom. I dzieci znaczyła, żeby rodzice mogli [je] odnaleźć" – tak Krystyna Zambrzycka przedstawia pielęgniarkę w swojej relacji.

We wspomnieniach Leszczyńskiej pojawia się opis dramatu, jaki się rozgrywał w obozie: dzieci były topione w kuble, umierały masowo z głodu, a te o cechach aryjskich Niemcy odbierali matkom i wysyłali do wynarodowienia: „Przejmujący skowyt matek żegnał odjeżdżające transporty niemowląt. Póki maleństwo przebywało przy matce, to już samo macierzyństwo stwarzało promień nadziei. Rozłąka z matką była straszna".

Trzydzieści

Stanisława Leszczyńska zachowywała zimną krew, choć nie było środków czystości, leków, a w nocy nie można było iść po wodę. Gdy rodziła Krystyna Zambrzycka, położna odmawiała różaniec – nic innego nie mogła zrobić. Była więźniarka wspomina: „A ja ją prosiłam, żeby mi dała narkozę. Taka byłam głupia, bo sobie wyobrażałam, że oni mi dadzą narkozę. Jak ja teraz patrzę na te wszystkie szkoły rodzenia i to wszystko, co się dzieje, to mnie się po prostu śmiać chce".

Jednak opieka nad niemowlakiem okazywała się trudniejsza od samego porodu. Córka Krystyny Zambrzyckiej, Ewa, zmarła po trzech tygodniach.

Jeszcze na kilka dni przed wkroczeniem Armii Czerwonej Leszczyńska odbierała porody. Po latach w swoim „Raporcie położnej z Oświęcimia" napisała: „Wśród tych koszmarnych wspomnień snuje się w mej świadomości jedna myśl – mianowicie wszystkie te dzieci urodziły się żywe, ich celem było życie. Przeżyło obóz zaledwie trzydzieści".

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Oprócz źródeł, które przywołuję w tekście, korzystałam z zasobów Archiwum Historii Mówionej Domu Spotkań z Historią i kanału na YouTubie „Świadkowie epoki", a także z książek: „Majdanek. Obóz koncentracyjny w relacjach więźniów i świadków" w oprac. Marty Grudzińskiej; Helena Kubica „Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942–1943".

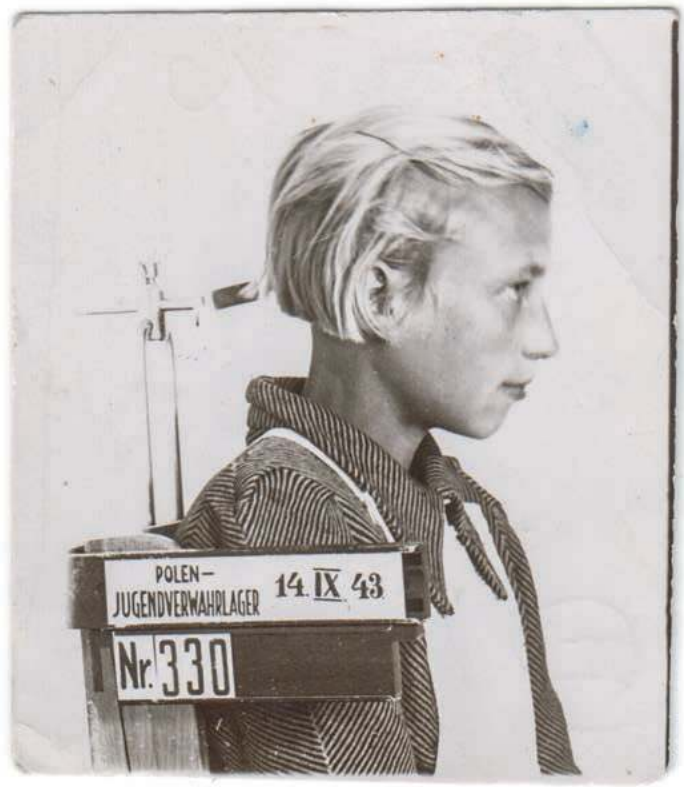

ZE ZBIORÓW MUZEUM TRADYCJI NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH W ŁODZI X2

Więzień i więźniarka niemieckiego obozu koncentracyjnego dla dzieci w Łodzi.

Piekło w Litzmannstadt

BŁAŻEJ TORAŃSKI, PISARZ

Bezmiar cierpienia był tam tak wielki, że byłym więźniom kneblował usta. Im nikt nie chciał w te doświadczenia uwierzyć. Nawet najbliżsi.

MIKOŁAJ MIROWSKI: Czym był obóz przy ul. Przemysłowej w Łodzi? Czy określenie „mały Oświęcim" jest adekwatne?

BŁAŻEJ TORAŃSKI: Jak najbardziej. Był piekłem. SS-Obergruppenführer Oswald Pohl, szef Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS, wymieniał go w jednym ciągu piętnastu miejsc obok takich obozów jak Auschwitz, Dachau, Buchenwald, Ravensbrück, Gross-Rosen. „Nie było gazu i krematorium, bo nie były potrzebne. Zabijano nas głodem, pracą, biciem i mrozem" – mówił Jolancie Sowińskiej-Gogacz były więzień Jerzy Jeżewicz. Nad dziećmi znęcano się psychicznie i fizycznie. Wachman Edward August, stale pijany, bił zawsze i wszędzie. Zacytuję: „Z rozkoszą poddawał więźniów najwymyślniejszym torturom. Bił i kopał w najczulsze miejsca, wpychał do skrzyń z piaskiem, topił w beczułce z wodą, wieszał za nogi na łańcuchu i opuszczał głową w dół do kanału ze zużytymi smarami samochodowymi, scyzorykiem wycinał genitalia, bił w pięty, gasił na piersiach więźniów papierosy". Były więzień Janusz Prusinowski opowiadał, jak kazał mu zebrać kał do miski, w której przyniesiono mu jedzenie. „Siłą podniósł mi ją do ust. Pohl (inna wachmanka) uderzyła mnie z tyłu w głowę tak, że twarz wpadła mi do miski, a kał do ust. Dopilnowali, abym zjadł, co wydaliłem".

Wstrząsające relacje.

Więzień Jan Woszczyk wspominał, jak dwoje wachmanów, Genowefa Pohl i Edward August, z kolejki dzieci oczekujących na posiłek wyciągnęli chłopca imieniem Józio; nie znamy jego nazwiska. Woszczyk mówił: „Kazali mu klęczeć i wypić wiadro kawy. Po kilku litrach posikał ubranie. Wtedy August kazał dolać do kawy zupę z robakami, ugotowaną na zgniłej brukwi. Do tej zupy dodali fusy z solą. August zamieszał ją miotłą. Bayer [kolejna strażniczka] i Pol poganiały go, aby szybciej jadł: *Essen, essen, schnell, schnell.* Popychali go, szydzili, jakby to było widowisko rozrywkowe. Widziałem, jak rozdęty brzuch Józia puchł w oczach. Kilka godzin później niesiono go na drewnianych tragach. Zmarł". Jan Woszczyk był też świadkiem innej sceny. Zeznał o tym przed sądem, na procesie Genowefy Pohl: „Podeszła za plecy mojego kolegi, podniosła czterokilogramową cegłę i uderzyła go w głowę, prosto w potylicę, krzycząc: »Giń, polska świnio«. Kiedy upadł na ziemię, deptała go butami. To była masakra". Kazimierz Stefański wspominał, jak ta sama wachmanka uderzyła go garnkiem w głowę. A Maria Wiśniewska-Jaworska opowiadała: „Potrafiła dziecko zamknąć w szafie na noc, a ono mdlało, bo nie miało dostępu powietrza. Mówiła do nas: »I tak wszystkie zdechniecie«. „Dzieci były tak głodne, że obgryzały sobie ręce" – wspominała Gertruda Skrzypczak, z domu Nowak. W obozie nie było myszy, wróbli czy glist, bo dzieci zjadały wszystko. Jeśli wylała się zupa, zlizywały ją z ziemi.

↦

↦ **Po wojnie historia tego obozu została dość szybko społecznie zapomniana. Jak Pan trafił na ten temat?**

Mieszkam w Łodzi od 36 lat, ale jeszcze trzy lata temu o tym obozie nie wiedziałem prawie nic. Podobnie jak jeszcze 10 lat temu współautorka książki, Jolanta Sowińska-Gogacz, która łodzianką jest całe życie. Krakowska dziennikarka i autorka filmów dokumentalnych Urszula Sochacka, która nakręciła film dokumentalny o obozie przy ul. Przemysłowej i wydała książkę, dowiedziała się o nim przypadkowo. W 2009 r. sprzątała rzeczy po zmarłym ojcu. Znalazła kartkę, na której była informacja, że był w jakimś obozie dla dzieci.

Ale przecież historia obozu została w PRL-u upamiętniona pomnikiem. Był też film fabularny Zbigniewa Chmielewskiego z 1970 r. „Twarz anioła", którego scenariusz oparto na wspomnieniach byłego więźnia Tadeusza Raźniewskiego.

Podczas dwuletniej pracy nad książką zrozumiałem, jak słabo ten temat jest udokumentowany i spopularyzowany. O obozie było głośno zaledwie przez kilka lat. Po haniebnym marcu 1968 r. tzw. partyzanci Mieczysława Moczara zaczęli rozdmuchiwać niemieckie zbrodnie na polskich dzieciach w kontrze do martyrologii Żydów łódzkiego getta. Wtedy też szkoła podstawowa nr 81 w Łodzi zyskała imię Bohaterskich Dzieci Łodzi, a w maju 1971 r. odsłonięto Pomnik Martyrologii Dzieci, potocznie zwany Pomnikiem Pękniętego Serca. Żadna z tych nazw nie kojarzy się jednak bezpośrednio z piekłem polskich dzieci przy ulicy Przemysłowej. Przybywający z Izraela Żydzi, masowo odwiedzający Łódź, modlą się pod tym pomnikiem, sądząc, że upamiętnia żydowskie dzieci.

Mówił pan o filmie opartym na książce „Chcę żyć" Tadeusza Raźniewskiego. Niestety on przeszedł bez echa. W latach 70. media relacjonowały proces wachmanki Eugenii Pol vel Genowefy Pohl. W 1975 r. Ossolineum wydało książkę ocalonego z tego obozu Józefa Witkowskiego vel Józefa Gacka pt. „Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi". Nakład był śmiesznie niski jak na PRL, niecałe 3 tys. egzemplarzy. To za mało, aby trafić do pamięci zbiorowej.

Polen-Jugendverwahrlager w Litzmannstadt

BYŁ TO JEDYNY NIEMIECKI OBÓZ koncentracyjny na terenach okupowanej Polski przeznaczony dla polskich dzieci i nastolatków. Powstał w 1942 r. przy ulicy Przemysłowej w Łodzi (w 1939 r. włączonej do III Rzeszy i przemianowanej na Litzmannstadt), na terenie tamtejszego getta. Trafiały do niego dzieci od drugiego do szesnastego roku życia: wojenne sieroty, synowie i córki działaczy podziemia. Ich codziennością były mordercze apele, często po nocach i na mrozie, praca ponad siły, głód, choroby, tęsknota i strach, a także przemoc dorosłych oprawców.

W 1945 R. obóz nie został przez Niemców „ewakuowany" (jak inne obozy koncentracyjne). W pierwszych dniach po wkroczeniu Armii Czerwonej do Łodzi starsze dzieci opuściły go, wracając samodzielnie do domów rodzinnych. Część młodszych też tak uczyniła, ale niedługo potem wróciła na teren obozu, bo nie dawała sobie rady z życiem poza jego ogrodzeniem. Stąd też zostały zabrane przez odradzające się w mieście służby i organizacje charytatywno-opiekuńcze.

NIE WIADOMO, ile spośród kilku tysięcy dzieci, które przeszły przez obóz w Łodzi (szacuje się, że więziono ich tam od 2 do 3,5 tys.), straciło życie; dokumentacja obozowa została zniszczona.

O TYM WSZYSTKIM opowiada książka „Mały Oświęcim. Dziecięcy obóz w Łodzi" (Prószyński i S-ka, 2020), której autorami są Błażej Torański i Jolanta Sowińska-Gogacz. Torański, rocznik 1960, w latach 80. działacz opozycji, jest dziennikarzem i pisarzem, w 2017 r. otrzymał Nagrodę im. Janusza Kurtyki za publikacje historyczne. Autor także książek „Knebel. Cenzura w PRL-u" i „Fabrykanci. Burzliwe dzieje rodów łódzkich przemysłowców".
© MM

Ale przyczyn przemilczania było więcej. Bezmiar cierpienia był tak wielki, że byłym więźniom kneblował usta. Im nikt nie chciał w te doświadczenia uwierzyć. Nawet najbliżsi, bracia, matki, żony. A dokumenty zniszczono. Podam przykład Leona Banasika, od którego żona nie mogła wyciągnąć wspomnień przez 60 lat! Banasik ani jednej nocy nie przespał spokojnie. Krzyczał i płakał. Była więźniarka Krystyna Wieczorkowska-Lewandowska tłumaczy to tak: „Ten obóz był tajny, ukryty w getcie, i taki pozostał. Od wielu lat się zastanawiam: komu na tej ciszy zależy? Po wojnie go zburzono, rozebrano, »pozamiatano«. A przecież był unikatowy, drugiego takiego w Europie nie było. Jak widać Niemcy wciąż mają wielki wpływ na kształt świata, skoro do dziś prawie nikt o nas, dzieciach z Przemysłowej, nie wie". To wszystko, jej zdaniem, jest już nie do sprawdzenia. Trzeba wierzyć ludziom na słowo, powiada.

„Mały Oświęcim" jest dwugłosem dwojga autorów. Na czym to polega?

Współautorstwo jest sztuką kompromisu. Zwłaszcza gdy spotykają się tak różne światy jak nasze: Jolanty Sowińskiej-Gogacz, poetki, i mój, autora literatury faktu. Gdy redaktor wydawnictwa Michał Nalewski złożył mi propozycję opisania jedynego w Polsce niemieckiego obozu koncentracyjnego dla dzieci, nie miałem pojęcia, jak dotknąć tego dramatu. W dziale promocji Teatru Powszechnego w Łodzi odnalazłem panią Jolantę. Ujrzałem w niej osobę niezwykłej wrażliwości i zaangażowania w tematykę obozu na Przemysłowej. Poświęciła tej idei osiem lat pracy. Pokonała tysiące kilometrów, aby odnaleźć ocalałych z obozu i utrwalić ich wspomnienia. Poświęcała im weekendy, święta, a przecież równocześnie ma rodzinę i pracuje zawodowo. Zebrała obszerną dokumentację pisaną, fotograficzną i filmową związaną z obozem. Ja pracowałem w archiwum łódzkiego IPN, gdzie w 28 tomach akt procesowych Eugenii Pol vel Genowefy Pohl odnalazłem dokumentalne diamenty. Skoncentrowałem się na postaci tej wachmanki, która usiłowała wyprzeć z pamięci swoje zbrodnie. W „Małym Oświęcimiu" scaliliśmy dwie narracje.

W wielu obozach więźniowie stosowali różne formy oporu.

MARIAN ZUBRZYCKI / FORUM

Dziennikarz i pisarz Błażej Torański na tle Pomnika Martyrologii Dzieci w Łodzi.

Czy w przypadku dzieci były jakieś strategie przetrwania?

Oczywiście, dzieci szukały sposobów na przetrwanie, np. z głodu łapały myszy i wróble. Waldemar Bojanowski wspominał to tak: „Podstawialiśmy patyczek pod małą miskę, rzucali odrobinę byle jakich okruchów i jak zwierzę podchodziło, to patyk robił pyk. Wtedy miskę z myszą lub wróblem nakrywaliśmy szybko kocem. Potem opiekaliśmy zdobycz i ją zjadaliśmy". Myszy były bezcenne. Za sztukę trzeba było dać pajdkę chleba. Henryk Chrzanowski opowiadał, jak pomagały w leczeniu się. „Obcinano ogon i robiono z tego wywar, i to miało stanowić lekarstwo na przeziębienie". Na jaglicę, a ciągle chorowali na oczy, mieli inną metodę: „Wieczorem przykładaliśmy do powieki szmatę zmoczoną własnym moczem. O północy budził nas dyżurny. Wtedy nakładaliśmy sobie coś w rodzaju maści, zrobionej z przeżutego chleba, ugniecionego z pajęczyną. Rano zdejmowaliśmy okład i na siłę otwierali powieki. Kto oślepł, ten już nie miał czego szukać na sali. Izolowano go. Nie wracał".

W naszej rozmowie przewija się wachmanka Eugenia Pol vel Genowefa Pohl. Psychologia tej postaci jest przerażająca, mogłaby wypełnić osobną książkę. Kim była?

Rzeczywiście jej życie nadaje się na scenariusz. Może kiedyś taki film powstanie? Na pewno chcę napisać o niej osobną książkę. Była córką majstra budowlanego i szwaczki, jej brat był krawcem. Skończyła jedynie szkołę podstawową w Łodzi na Księżym Młynie. Przed sądem regularnie wypierała się zbrodni: „Nigdy, naprawdę, nie czułam się Niemką. Duchem i sercem jestem Polką, na wyzwolenie czekałam tak samo jak inni Polacy" – powtarzała. Przez większość życia nazywała się Eugenia Pol i takie nazwisko widnieje na jej nagrobku. Genowefą Pohl była w czasie okupacji, od czerwca 1940 r., od kiedy w wieku 17 lat podpisała volkslistę, aż do stycznia 1945 r., gdy wyszła z obozu. Wtedy jakby otrzepała się z kurzu, wyparła z pamięci zbrodniczy okres. „Uciekłam od nich. Poszłam prosto do swojego domu. Miałam na sobie szary żakiet i nieprzemakalny płaszcz. Mundur został za bramą" – twierdziła.

O swoim spotkaniu z Eugenią Pol, z którą zetknęła się w areszcie, opowiedziała mi publicystka Elżbieta Królikowska-Avis. Był rok 1970, miała 26 lat i była działaczką tajnej antykomunistycznej organizacji Ruch, skazaną na dwa lata więzienia. W 11-osobowej celi siedziały ze złodziejkami i luksusowymi prostytutkami. Eugenia Pol, wtedy 48-letnia, sąsiadowała z nią na piętrowej pryczy, spała na dole. Zapewniała, że jest niewinna, i że aresztowano ją w związku z nadużyciami finansowymi w żłobku. Elżbieta Królikowska-Avis zapamiętała ją tak: „Wysoka, szczupła, o ogorzałej, apoplektycznej cerze i z fryzurą z lat czterdziestych. Stanowczy, męski charakter, żadnych subtelności. Zdystansowana. O silnym instynkcie samozachowawczym, kontrolująca słowa, starająca się o dobre relacje z innymi więźniarkami". Lubiła rozmawiać o sztuce, kinie. Kochała muzykę klasyczną. Kiedy z „kołchoźnika" dobiegał Mozart czy Bach, wzruszała się. Królikowska-Avis wspominała: „Zawsze wieczorem, przed snem, wyciągała w górę rękę i mówiła: »Pani Elżuniu, rączka na dobranoc«. I chętnie czesała po myciu moje długie wtedy włosy. W więzieniu przecież nie było suszarek".

Maska spadła z twarzy Eugenii Pol, kiedy Elżbieta przeczytała informację o procesie folksdojczki z obozu przy Przemysłowej, której zarzuca się zakatowanie jedenaściorga polskich dzieci. Ona, więźniarka polityczna, była w szoku. Pokazała wachmance gazetę. „Pani Gieniu, co to jest?". Tamta zaczęła płakać. Potem przeniesiono ją do innej celi.

Jak się skończył proces Eugenii Pol?

Była sądzona w latach 1972-75 i ostatecznie skazano ją w procesie poszlakowym na 25 lat więzienia. Ale skrócono jej karę, wyszła w 1989 r. i zamieszkała w łódzkiej dzielnicy Dąbrowa. Zmarła w 2003 r.

W Waszej książce ograniczacie odautorską narrację do minimum, zastępując ją gęsto cytowanymi relacjami dzieci ocalałych z obozu i ich zeznaniami.

To nie jest książka naukowa, ona miała wstrząsnąć sumieniami. Chodzi o to, aby obozowi na Przemysłowej przywrócić miejsce w pamięci zbiorowej. Izba pamięci w szkole i pomnik, które istnieją dziś, to za mało. Tam powinno stanąć muzeum. Warto też byłoby „Mały Oświęcim" przełożyć na obce języki. Zwłaszcza na niemiecki.

© Rozmawiał MIKOŁAJ MIROWSKI

ARCHIWUM MIASTA ACHERN

Dziewczynki ze Szkoły Ojczyźnianej w Achern w Bawarii z kierowniczką Klarą Keit.

Skradzione dzieciństwo

MONIKA SIERADZKA

Podczas II wojny światowej tysiące polskich dzieci miały zasilić niemiecką rasę. Wywózka do Niemiec, a potem oderwanie od kochającej rodziny w Austrii to podwójna trauma Zyty.

W niespełna 30-metrowym mieszkaniu na warszawskim Targówku są dwie klatki z papużkami. Jest też akwarium, dwupoziomowe łóżko, liczne doniczki z kwiatami i stanowisko fryzjerskie z potężną suszarką, która pamięta salon z lat 80. XX wieku.

Latem 2018 r. jeszcze czasem zaglądają tu dawne klientki emerytowanej fryzjerki Zyty Suś. Kobieta stoi przy kuchence gazowej w ciasnym przedpokoju, wrzuca do garnków ćwiartki kurczaka. To dla 12 kotów, które regularnie odwiedzają jej podwórko. – Żyję dla zwierząt. One są lepsze od ludzi – mówi Zyta.

Ze zdjęcia nad łóżkiem patrzy rezolutna ośmiolatka. Gdyby nie numer 129, którym opatrzono zdjęcie, mogłaby to być zwykła fotografia dumnej uczennicy. Ale mała Zyta, rocznik 1934, była dzieckiem-numerem – jako jedno z tysięcy dzieci w Polsce i innych krajach okupowanych przez III Rzeszę, które specjaliści od „nordyckiej" rasy przeznaczyli do zniemczenia. Na zdjęciu ma czarne warkocze, sukienkę w groszki i poważne, dorosłe spojrzenie. Za sobą ma piekło tułaczki, bicia, głodu i samotności.

Matkę straciła dwa miesiące po urodzeniu i trafiła do sierocińca w Łodzi. To właśnie z takich miejsc pracownikom Głównego Urzędu SS ds. Rasy i Osadnictwa (RuSHA) najłatwiej było zabierać polskie dzieci, bo tu mało kto się o nie upominał. W sierocińcach w okupowanej Polsce ruszyła rasowa maszyneria III Rzeszy, uruchomiona przez szefa SS Heinricha Himmlera.

Ideologia rasy

„Jedno jest pewne: w tych mieszanych narodach na pewno są typy dobre pod względem rasowym. I tu, jak sądzę, mamy zadanie: zabrać do nas ich dzieci, nawet jeśli trzeba będzie je rabować i kraść" – tak Himmler tłumaczył podwładnym ideę zasilania niemieckiego narodu ludźmi z podbitych krajów. Specjalne rozporządzenie SS nr 67/1 z marca 1940 r. reguluje „zniemczanie dzieci z polskich rodzin i z byłych polskich sierocińców", które na podstawie swojego wyglądu „mogą być uznane za dzieci nordyckich rodziców". Mają trafić do niemieckich rodzin, zasilając aryjską rasę. RuSHA uruchamia regularne badania rasowe.

Gdy wiosną 1941 r. Zyta zostaje uznana za „zdolną do zniemczenia", trafia do domu dziecka w Bruczkowie koło Kalisza, czyli teraz Bruckau w Warthegau (Kraju Warty). To punkt zbiorczy dla porywanych przez Niemców dzieci. Stamtąd zostaje przewieziona do Szkoły Ojczyźnianej w Achern w Bawarii: to placówka służąca edukacji młodych folksdojczów, którzy mają się stać obywatelami Rzeszy. Również kilkadziesiąt polskich dziewczynek ma od teraz uchodzić za folksdojczów. Legenda dla przyszłych niemieckich opiekunów w Niemczech i Austrii głosi: „dzieci ze Wschodu" stały się sierotami, bo ich rodziców zamordowali Polacy.

W Achern polskie dziewczynki mają już nowe imiona i nazwiska. Zadbała o to organizacja Lebensborn, założona przez SS w 1936 r., która stała się jednym z głównych trybów w systemie przymusowej germanizacji. Zyta Suś to teraz Zita Suse.

Spotkanie ze śmiercią

W Achern Zyta niszczy jeden z wszechobecnych tu portretów Hitlera, za co musi przebyć kilkudniową głodówkę. Kierowniczka szkoły Klara Keit ma dość niesfornej dziewczynki. Za „obnoszenie się ze swoją polskością" Zyta zostaje odesłana z powrotem do Łodzi, tym razem do obozu dla polskich dzieci, Polen-Jugendverwahrlager [patrz materiał w tym dodatku – red.].

Jest tu głód, są kary za mówienie po polsku i za moczenie się w łóżku. Zyta pamięta Gienię, którą nadzorczyni Eugenia Pohl karała za to chłostą. – Gienia musiała się kłaść na specjalnej ławce do bicia, to była taka deska na czterech kółkach. Ramiona wyciągnięte do góry. Uderzenia musiała liczyć po niemiecku i nie wolno jej było płakać. Za drugim razem niosłyśmy ją do naszej sali ledwie żywą. Całą noc czuwałyśmy przy niej. Rano Gienia oświadczyła, że umrze. Pocałowałam ją i poprosiłam, by tego nie robiła. Kilka minut później już nie żyła. To było moje pierwsze spotkanie ze śmiercią – wspomina Zyta.

I ona musi wielokrotnie leżeć na desce do bicia z podniesionymi do góry rękami. Pohl szczególnie upodobała sobie bicie pejczem po stopach, aż zamieniały się w krwawiące rany. Albo wciskanie palców między deski baraków tak głęboko, że zaczynały krwawić od drzazg.

Mama z Salzburga

Ponieważ Zyta już dość dobrze zna niemiecki, znów zostaje wysłana w głąb Rzeszy, tym razem do ośrodka Lebensbornu w Steinhöring koło Monachium. Zgłaszają się tu Niemcy, często wysocy rangą urzędnicy i działacze NSDAP, którzy chcą wziąć pod opiekę dziecko.

Gdy młoda niemiecka para zabiera ją do siebie, jest oczarowana. Ale tylko przez chwilę, bo dokonuje pewnego odkrycia: – Jeden pokój był przygotowany dla mnie: buciki, sukienki równo powieszone w szafie, zabawki. I wtedy zobaczyłam tę lalkę. Potem nie chciałam już tam zostać. Dokładnie taką lalkę miała dziewczynka, która musiała oddać swoje zabawki, gdy w Łodzi stawałyśmy nago przed komisją lekarską. Może to była ta sama lalka?

„Skoro nie podoba ci się u bogatych, pójdziesz do biednych" – słyszy po powrocie do ośrodka Lebensbornu. Trafia do państwa Bliem w Salzburgu. I tu zaczyna się nieoczekiwane szczęście. Państwo Bliem otaczają ją czułą opieką, jakiej Zyta, teraz Zita, nigdy nie zaznała. Chodzi do szkoły, ma koleżanki, bawi się w wielkim ogrodzie i z zapałem biega na spotkania Związku Niemieckich Dziewcząt. Jest Niemką.

Kiedyś jednak spotyka przebywającego w sąsiedztwie starszego o parę lat Janka, również z Polski. „Pamiętaj, że jesteś Polką" – mówi Janek. I Zita pamięta. Także latem 1945 r., gdy pod dom Bliemów podjeżdża czarna limuzyna z Czerwonego Krzyża, a na postawione po polsku pytanie, kim jest, odpowiada: „Jestem Polką".

To przesądza jej los. Wraz z setkami innych Ostkinder (dzieci ze Wschodu) bydlęcym wagonem wraca do Polski. Potem przez całe życie wspomina jedyny szczęśliwy okres swojego życia: te kilka miesięcy u mamy Bliem w Salzburgu.

Drugie porwanie

Bo w Polsce czeka ją kolejna gehenna.

Zgłasza się po nią kobieta, która podaje się za jej matkę. Mąż kobiety, którego Zyta uważa za ojca, to działacz PPR, a później PZPR, który wyrusza umacniać władzę ludową na ziemiach poniemieckich. W domu w Łogdowie pod Olsztynem Zyta latami żyje w izolacji od otoczenia, by nikt nie usłyszał jej twardego niemieckiego akcentu. Za każde niemieckie słowo opiekunowie biją ją batem.

W wieku 26 lat wyprowadza się do Warszawy, gdzie kończy szkołę fryzjerską i wychodzi za mąż. Mąż nigdy nie dowiedział się o przeszłości swej żony. Podobnie jak przyjaciele i znajomi.

Zyta chce zapomnieć. Każe nazywać się Żenią. Dopiero po śmierci domniemanych rodziców szpera w dokumentach i zaczyna pisać do archiwów. Odkrywa, że para, która ją biła za niemiecki akcent, nie była jej biologicznymi rodzicami. – Moje największe marzenie to dowiedzieć się, kim była moja mama. Przed śmiercią chciałabym jeszcze znaleźć jej grób – mówiła mi, gdy rozmawiałyśmy dwa lata temu.

Zbrodnia bez kary

Temat przymusowej germanizacji dzieci z krajów okupowanych prawie nie istnieje w świadomości dzisiejszych Niemców. Isabel Heinemann z uniwersytetu w Münster jest jedną z nielicznych badaczek zajmujących się tą dziedziną. Mówi o 20 tysiącach dzieci, które przeszły systematyczne zniemczanie. W badaniach opiera się na dokumentach Lebensbornu. Jednak to tylko część ofiar. Polscy historycy do dziś bazują na badaniach Romana Hrabara, pełnomocnika polskiego rządu ds. rewindykacji dzieci w latach 1947-50, który ich liczbę szacował na 200 tys. Oparł się nie tylko na dokumentach Lebensbornu, ale też na listach zgonów polskich dzieci w Niemczech, na danych z obozów dipisów [od *displaced persons* – „osoby przemieszczone", czyli wywiezione ze swojego kraju podczas wojny – red.] i powojennych zeznaniach rodzin szukających porwanych dzieci.

Sprawcy zostali potraktowani łagodnie. Sądzący nazistów Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze uznał Lebensborn za organizację charytatywną, rabunek dzieci nie został ukarany. Np. psycholożka Hildegard Hetzer, która w ośrodku w Bruczkowie decydowała o ich losie, była po wojnie w Niemczech zachodnich cenioną badaczką, wykładała na uniwersytecie.

Po wielogodzinnych opowieściach, które Zyta snuje w swoim warszawskim mieszkaniu, wszelkie dokumenty i fotografie są pieczołowicie zamykane w szafkach i szufladach. Nic nie może zostać na wierzchu, nikt nie może się o niczym dowiedzieć. Ani sąsiedzi, ani byłe klientki. Zyta nie zgadza się też na opublikowanie aktualnego zdjęcia. Boi się po raz kolejny zostać obiektem szyderstw, jak po powrocie z Niemiec. Nie chce być „niemiecką świnią" czy „niemieckim bękartem". Trauma trwa przez całe życie. – Skradziono nam nasze dzieciństwo – mówi Zyta. – Po dziś dzień mam chroniczną neurozę. To my. Nieufni, samotni pośród żyjących. Nie trzeba być zabitym, by umrzeć.

W 2020 r. Trybunał Konstytucyjny RFN odrzucił wniosek niemieckiej organizacji Zrabowane Dzieci – Zapomniane Ofiary w sprawie odszkodowań dla porwanych dzieci. W świetle niemieckiego prawa nie są ofiarami nazistowskich prześladowań. Zdaniem Federalnego Ministerstwa Finansów, do którego wcześniej były kierowane zapytania z Bundestagu, ich cierpienia wpisują się w „ogólne losy wojenne". ©

MONIKA SIERADZKA

Przed budynkiem szkoły w Achern dzisiaj – na zdjęciu z prawej mała Zyta.

MONIKA SIERADZKA jest dziennikarką Deutsche Welle; w 2020 r. niemiecka telewizja publiczna wyemitowała film „Kinderraub der Nazis. Die vergessenen Opfer" (Dzieci zrabowane przez nazistów. Zapomniane ofiary), którego była współreżyserką.

MDSM W OŚWIĘCIMIU X2

Spotkanie z byłą więźniarką Zofią Posmysz w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu, 2015 r.

Licealiści z Oświęcimia przekazują rodzinie więźnia Tadeusza Sieprawskiego należące do niego przedmioty, 2020 r.

Szkiełko i oko

MAŁGORZATA GWÓŹDŹ

Jak młodzież przeżywa losy rówieśników sprzed ponad 75 lat? Czy emocje są potrzebne w edukacji historycznej?

Tematyka II wojny światowej nadal porusza współczesną młodzież. Uważają ten okres za najbardziej interesujący w historii Polski. Wielu traktuje ją jako źródło niesamowitych opowieści, na dodatek prawdziwych.

Czas ten jest szeroko omawiany na lekcjach. Uczniowie poznają go z punktu widzenia żołnierza i cywila. Tematy lekcji koncentrują się wokół pokolenia Kolumbów, powstania warszawskiego, walk na terenie Polski i Europy, obozów i Holokaustu, życia codziennego cywilów, moralnych wyborów. Ulubioną lekturą pozostają „Kamienie na szaniec". Z wycieczek do stolicy uczniowie najchętniej wspominają zwiedzanie Muzeum Powstania Warszawskiego. Także wśród nauczycieli temat II wojny należy do preferowanych. Czasem uczniowie dopiero wtedy widzą pasję i zaangażowanie pedagogów.

Niezmiennie jednak mierzenie się z tematem obozów i Holokaustu wywołuje najwięcej emocji. Koncepcja eksterminacji narodów i system „fabryki śmierci" nadal nie mieszczą się w głowach. Przy tym książki i filmy nie są w stanie zastąpić konfrontacji z miejscem pamięci. „Wydaje się, że każdy zna historię. Ale jeśli choć raz odwiedzi się to miejsce, dostrzeże się, że to, co się tu zdarzyło, jest niepojęte. Pozostają pytania, na które nikt nie da nam odpowiedzi. Mnie najbardziej nurtuje: jak można było tak zmanipulować cały naród niemiecki, że nikt nie stawiał oporu?" – mówiła młoda Niemka po wizycie w byłym niemieckim obozie zagłady.

Dopiero w „jądrze ciemności" uruchomione zostają emocje – najsilniej uzewnętrzniane przez dziewczyny, które płaczą, patrząc na sterty włosów ściętych więźniarkom czy na hałdy butów, wśród nich dziecięcych. Wszelako większość młodych ludzi nie okazuje emocji – co nie znaczy, że ich nie odczuwają. Nie wolno ich zostawić bez rozładowania uczuć, a sposobów na to jest wiele – sprawdza się zwłaszcza rozmowa albo warsztaty.

Jednak każdy doświadczony edukator pracujący w miejscu pamięci powie, że emocje, najczęściej fascynacja i egzaltacja, są chwilowe i ulotne. Trudno na nich budować. Dlatego za uczuciem powinna iść pogłębiona refleksja i racjonalny osąd tego, co się zdarzyło, a następnie odpowiedzenie sobie przez młodego człowieka na pytanie: jaki to ma wpływ na moje życie?

Koniec epoki

Kilka lat temu prowadziłam w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu (MDSM) warsztaty pt. „Argument – Biografia", poświęcone opowiadaniu Zofii Posmysz „Chrystus oświęcimski". Uczestnikami byli licealiści, którzy mieli wiele szczęścia, gdyż akurat na tych warsztatach pisarka, ocalała z Auschwitz, mogła zjawić się we własnej osobie i z nimi porozmawiać. Spotkanie odbywało się na najwyższych tonach emocjonalnych. Na koniec młodzież ustawiła się w kolejce do autorki po autograf na egzemplarzu opowiadania. Pani Zofia bez pośpiechu, kaligraficznym przedwojennym charakterem pisma wpisywała imienną dedykację pierwszej osobie.

– Przepraszam, jaka jest dzisiejsza data, bo zapomniałam... – powiedziała, podnosząc głowę i patrząc w oczy 17-letniej blondynki.

– To nieważne – odrzekła dziewczyna. – My i tak zapamiętamy ten dzień do końca życia.

Niestety, dziś nie wypowie już takich słów żaden nastolatek, gdyż epoka spotkań twarzą w twarz ze świadkiem z tamtych czasów dobiegła końca. Byli więźniowie są dziś wiekowi (pani Zofia ma 97 lat), w warunkach epidemii spotkania nie są możliwe.

Tymczasem ten najprostszy, ludzki wymiar przekazywania świadectwa za pomocą rozmowy niósł ogromny ładunek uczuć po obu stronach. Wielu byłych więźniów wskazywało na swoje emocje zwłaszcza podczas spotkań z młodzieżą niemiecką – potomkami oprawców. Nie były one negatywne, przeciwnie: wiele serca wkładali w dotarcie ze swoim pokojowym przesłaniem właśnie do tej grupy słuchaczy, a młodzi Niemcy odpłacali im z nawiązką.

Kazimierz Smoleń, więzień Auschwitz i Mauthausen, wieloletni dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, po spotkaniach z młodzieżą wyrażał wątpliwości i nadzieję: „Trudno jest nam określić, czy trafiliśmy do słuchaczy, czy nie. Ale chcemy wiedzieć przynajmniej jedno: że to, co mówiliśmy, dotarło poprzez głowę do serca. To jest dla nas bardzo istotne". I dalej: „Zastanawiamy się nad tym, jak potoczy się historia w przyszłości i czy nasze historie, w wielu przypadkach trudne i życiowo ciężkie, do czegoś się przyczyniły. Wiemy, że zostanie dokonana ocena, wierzymy, że nasze rozmowy były skuteczne, że młodzi ludzie je zrozumieli. I to nas bardzo pociesza".

Historyczni detektywi

Jak dotrzeć do serc młodzieży w roku 2021? Czy mimo odchodzenia pokolenia świadków możliwe jest nawiązanie osobowego kontaktu z tamtą historią? Zdawałoby się, że to niemożliwe. A jednak...

Można zachęcić młodych ludzi do pochylenia się nad historią własnych rodzin. W MDSM od pięciu lat prowadzone jest seminarium dla studentów z Polski, Niemiec i Ukrainy pod nazwą „Historia zaczyna się w rodzinie – Dialog pokoleń". Badanie historii rodzinnych, ukierunkowane na II wojnę, narodowy socjalizm, Holokaust, stalinizm i wczesne lata powojenne, staje się kluczem do porozumienia międzynarodowego. Podczas seminarium uczestnicy przeprowadzają wywiad z członkiem rodziny, prezentują go pozostałym i szybko zauważają podobieństwo losów zwykłych ludzi (utrata bliskich, cierpienie). Więź rodzinna przekłada się na więź historyczną, a ta, przez wspólnotę doświadczeń, na ogólnoludzką.

Z kolei dla młodych oświęcimian niezwykle angażujący okazał się udział w projekcie #StolenMemory (Skradziona Pamięć), zainicjowanym w 2016 r. przez Międzynarodowe Centrum Badań Prześladowań Nazistowskich w Bad Arolsen (instytucja ta ma największe na świecie archiwum poświęcone ofiarom III Rzeszy). Celem kampanii #StolenMemory jest zwrot przedmiotów osobistych należących do byłych więźniów ich rodzinom (zegarków, portfeli, zdjęć, dokumentów, puderniczek itp.). Kampania, prowadzona w wielu miastach w Polsce, opiera się na współpracy z wolontariuszami, którzy szukają rodzin byłych więźniów.

Także kilkoro licealistów z Oświęcimia zamieniło się w detektywów szukających potomków Tadeusza Sieprawskiego i Stefana Bastera. „Każdy członek naszej grupy poczuł iskierkę powołania, zapalającą się gdzieś w głębi serca" – mówi jedna z uczestniczek. Ciekawość, wzruszenie, fascynacja, a potem duma, radość, wdzięczność – oto gama uczuć im towarzyszących.

Zapytani o zainteresowanie tematem II wojny światowej, wśród wielu powodów podają poczucie obowiązku świadczenia prawdy, co więcej – czują się strażnikami pamięci. Jako zaszczyt postrzegają możliwość uczestniczenia w tej historii, w pewien sposób kontynuując coś, co zaczęło się 80 lat temu. Zauważają, że nie wszyscy traktują przeszłość jako lekcję, że wiele konfliktów na świecie pozostaje nierozwiązywalnych. I wreszcie pojawia się empatia: „Oni tak samo jak my mieli plany, marzenia, cele, które zostały im odebrane przez wojnę".

Za najcenniejsze, co wynieśli z projektu, młodzi ludzie uznają ceremonię wręczenia pamiątek odnalezionej rodzinie bohatera. I znów na plan pierwszy wysuwa się aspekt ludzki i emocjonalny: spotkanie z drugim człowiekiem, łzy wzruszenia, poczucie spełnienia.

Wartości dodane

Decydując się na głębsze zainteresowanie tematyką obozów i Holokaustu, młodzi ludzie na przestrzeni ostatnich lat otrzymują, oprócz rzetelnej wiedzy, wiele wartości dodanych – zwłaszcza jeśli biorą udział w warsztatach, seminariach i wielu innych aktywnych metodach eksploracji tematu. To zaskakujące, jak wiele spraw ważnych dla teraźniejszości można „przerobić", opierając się na pamięci Zagłady! Przede wszystkim kształtowane są ich postawy ludzkie i obywatelskie. Młodzież poznaje znaczenie praw człowieka, tolerancji, szacunku. Uczy się dostrzegać zagrożenia dyskryminacją, nacjonalizmem, rasizmem, homofobią. Poznaje wartość dialogu międzynarodowego, międzykulturowego, międzywyznaniowego. Przełamuje granice i różnice, stereotypy, uprzedzenia. Zdobywa kompetencje społeczne, których nie uzyska w szkole.

Kolejnym ważnym bonusem jest integracja z rówieśnikami – także innych narodowości, zwłaszcza niemieckiej i ostatnio ukraińskiej. W ankietach młodzi ludzie podkreślają wartość wspólnie spędzonego czasu: na dyskusjach, w hotelowym pokoju, podczas posiłków, w autobusie. W czasach pandemii tego aspektu, niestety, zabrakło.

Czy to możliwe?

Na ekranie pojawiają się młodzi Polacy i Niemcy, prezentujący zdjęcia swej rodziny, na których uchwycono szczęście: wyjazd z mamą i tatą do Szczawnicy, zabawa z rodzeństwem, radość z narodzin nowego członka rodziny. „To zdjęcie jest szczególne, bo mało czasu udaje nam się spędzać razem" – mówi uczestnik polsko-niemieckiego seminarium „Prawa człowieka wczoraj – prawa człowieka dzisiaj", realizowanego w MDSM w 2017 r. „Po 12 latach bycia jedynaczką wreszcie powitałam na świecie siostrę". „Wybrałam to zdjęcie, bo lubię spędzać czas z siostrami". „Jeżdżenie do Szczawnicy było naszą rodzinną tradycją".

Te same słowa mogłyby powiedzieć dzieci chrześcijańskie i żydowskie przed okresem nazizmu, przed przybyciem do Auschwitz. One też lubiły spędzać czas ze swoją rodziną.

Czy po 80 latach można obudzić empatię młodych osób wobec ich rówieśników – ofiar nazizmu? Czy uświadomienie podobieństw między pokoleniem współczesnej młodzieży a ofiarami totalitaryzmów będzie siłą nośną pamięci? Motywacją do zgłębiania wiedzy historycznej? Przestrogą przed nienawiścią? Zachętą do obrony praw człowieka na świecie, teraz i w przyszłości? Myślę, że tak – jeśli tylko dołożymy starań. ©

MAŁGORZATA GWÓŹDŹ jest teatrolożką i nauczycielką języka polskiego, od lat współpracuje z MDSM w Oświęcimiu.

Specjalne podziękowania dla Elżbiety Pasternak i Judith Hoehne-Krawczyk, pedagożek pamięci z MDSM w Oświęcimiu.

ŚWIADEK HOLOCENU

Sir David Attenborough widział, jak rodzi się i zmienia telewizja, i jak ludzkość wchodzi w kolejną epokę – antropocenu.

ADAM ROBIŃSKI

Jedną z zabawniejszych scen opisanych kiedyś przez sir Davida Attenborough w książce „Przygody młodego przyrodnika" jest ta, w której ekipa telewizyjna BBC próbuje uwiecznić na taśmie, a następnie schwytać warana z indonezyjskiej wyspy Komodo.

Jest 1956 rok, pobliskie Bali, współcześnie topowy produkt turystyczny, nie ma jeszcze nawet lotniska. Z pomocą lokalnych przewodników filmowcy montują przynęty, pułapkę oraz kryjówkę, z której będą nagrywać smoki. Kiedy w otworze maskującego schronienia widzą pierwsze trzymetrowe zwierzę, paraliżuje ich strach. Waran jest tak blisko, że myślą o ucieczce na drzewo. Za blisko – teleobiektyw kamery może ze szczegółami pokazać nozdrze gada i już nic ponadto. Ale czas leci, a waran tylko patrzy. Po długich wahaniach ekipa postanawia zaryzykować i zmienić obiektyw. Smok to ignoruje, więc chwilę później udaje się nagrać serię efektownych kadrów z motylem siadającym na jego nosie. Wyłożona jako przynęta padlina kusi też kolejne zwierzęta, po jakimś czasie w okolicy jest już kilka waranów.

Ośmielony Attenborough zbliża się do jednego z nich z aparatem fotograficznym. Robi całą rolkę zdjęć, a gdy zwierzęta i to ignorują, wraca do kryjówki po nowy film. Potem podchodzi jeszcze bliżej. Stojąc przy samej padlinie, zmienia obiektyw na portretowy, a oddalony od niego o metr waran gapi się w aparat i wyrywa kolejne kęsy przynęty. Zanim kompletnie przestaną się bać spłoszenia zwierząt, filmowcy przeprowadzają jeszcze jedną próbę: wszyscy trzej zrywają się z krzykiem. Warany tkwią niewzruszone. Do ucieczki rzucają się dopiero wtedy, gdy ludzie biegną w ich stronę, próbując je schwytać. Ostatecznie jedno zwierzę zostaje złapane w pułapkę, jednak władze Indonezji i tak nie zgadzają się na jego wywóz do Wielkiej Brytanii.

Jeśli na postać Attenborough patrzeć przez pryzmat jego najnowszych produkcji, te groteskowe próby pojmania smoka z Komodo dla zoo mogą szokować. Dostępnej na Netfliksie „Naszej planecie" z 2019 r. też towarzyszą materiały o kulisach jej kręcenia. Relacjonując swoje zmagania, twórcy podkreślają, że drony nie stresują płetwali błękitnych, a na nagranie paru ujęć tygrysa syberyjskiego poświęcono kilka sezonów pracy z fotopułapkami. Oto ewolucja, jaką przeszła telewizja za życia jednego tylko – choć wyjątkowo długowiecznego – człowieka (BBC rozpoczęło właśnie emisję najnowszego serialu Attenborough – „A Perfect Planet").

Sprzedawca traszek

Urodził się w 1926 r. w Isleworth na przedmieściach Londynu, wychował w Leicester, gdzie w college'u pracował jego ojciec. Jako siedmiolatek zbierał w wapiennych kamieniołomach amonity. „Niektóre miały po piętnaście centymetrów średnicy i były zwinięte jak rogi baranie, inne rozmiarem przypominały orzechy laskowe. W środku kryły delikatny szkielet z kalcytu, który chronił organy oddechowe. Nic nie mogło się równać dreszczykowi emocji, który towarzyszył mi, kiedy podnosiłem obiecujący kamień, uderzałem ostrożnie młotkiem i patrzyłem, jak się otwiera, a w słońcu połyskuje wspaniała muszla. Napawałem się myślą, że jestem pierwszym człowiekiem, który na nią ↦

DAVID LEVENE / EYEVINE / EAST NEWS

↦ patrzy" – pisze w wydanej z okazji premiery filmu książce „Życie na naszej planecie. Moja historia, wasza przyszłość", która w Polsce ukaże się w lutym nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

Cztery lata później wiedzę przyrodniczą łączył już z rezolutnością. W uczelnianym stawie łowił traszki, a potem dostarczał je na wydział zoologii po trzy pensy za osobnika. Do BBC, najstarszej publicznej telewizji świata, trafił po studiach (geologia i zoologia na Clare College w Cambridge), służbie wojskowej i dwóch latach dorywczej pracy producenta i reżysera spektakli muzycznych, teleturniejów i debat politycznych.

Programy o przyrodzie miały już wtedy swoje miejsce w ramówkach za sprawą dyrektora londyńskiego ogrodu zoologicznego. George Cansdale przywoził do studia żywe zwierzęta, a potem przed kamerami opowiadał o ich budowie i zachowaniu. Jego występy cieszyły się dużą popularnością, również dlatego, że zdarzały się sytuacje, których scenariusz nie przewidział. Jak wtedy, gdy afrykańska wiewiórka uciekła ze studia i na długie dni schowała się w systemie wentylacyjnym, a potem bez zapowiedzi pojawiała się w innych programach.

Przełomem był pokazany w 1953 r. film, który Armand i Michaela Denisowie nakręcili we wschodniej Afryce. Telewidzowie zobaczyli w swoich domach słonie, lwy i żyrafy w ich naturalnym środowisku. Jak wspomina Attenborough w „Przygodach młodego przyrodnika", kluczowe dla dalszego rozwoju jego kariery było głębokie przekonanie, że należy połączyć obie te formy narracji: „Program pana Cansdale'a wywoływał niezaprzeczalny dreszcz emocji przy obserwowaniu żywych, nieprzewidywalnych zwierząt, ponieważ jednak znajdowały się one w obcym im środowisku studia, częściej wyglądały na jakieś dziwaczne osobliwości. Natomiast zwierzęta w filmach Denisów pojawiały się w naturalnym otoczeniu, do którego były idealnie przystosowane, ale brakowało im pikanterii pokazywanej na żywo nieprzewidywalności".

Z tego rozumowania wziął się scenariusz wspólnego przedsięwzięcia BBC i londyńskiego zoo. Jego bohaterem miał zostać Jack Lester, kurator działu gadów, poszukujący w towarzystwie kamery nowych okazów do ogrodu zoologicznego. Po schwytaniu zwierzęcia telewidzowie przenoszeni byli do studia, gdzie – już na żywo – Lester prezentował „nieprzewidywalne" stworzenie. Program nazywał się „Zoo Quest", a jego pierwszy odcinek zrealizowano w Sierra Leone i wyemitowano w grudniu 1954 r. Lester i Attenborough szukali w nim sępowronki żółtogardłej, średniej wielkości biało-brązowego ptaka o długim na pół ciała ogonie.

Dzień po transmisji Lester niespodziewanie zasłabł i ktoś musiał zastąpić go w roli prowadzącego program na żywo. „Figuruje pan na liście obsady – usłyszał Attenborough od kierownictwa telewizji – więc nie będzie się należała dodatkowa zapłata". Wypadł na tyle dobrze, że kiedy podczas realizacji drugiej serii „Zoo Quest" w Gujanie (wówczas brytyjskiej kolonii) Lester znów zaniemógł i musiał wracać do Londynu, Attenborough zajął jego miejsce już na stałe.

Niewidzialna drużyna

Z BBC byli prawie nierozłączni. Prawie – na początku lat 60. zamienił etat w telewizji na jego połowę, którą chciał łączyć ze studiami antropologicznymi na London School of Economics. Nauki nie dokończył – przerwała ją propozycja szefowania kanałowi BBC2 rok po jego uruchomieniu. Za kadencji Attenborough stacja stała się pierwszą w Europie nadającą non stop w kolorze. Było to w lipcu 1967 r., w czasie turnieju tenisowego na Wimbledonie.

Ale od sportu bardziej interesowały go inne przedsięwzięcia. Tym bardziej, że gdy podpisywał dyrektorski kontrakt, zastrzegł, że raz na parę lat będzie mógł ruszyć się zza biurka w teren. W 1972 r. odrzucił propozycję objęcia stanowiska dyrektora generalnego całego BBC, a jego oczkiem w głowie stała się spektakularna seria dokumentująca historię życia na naszej planecie. Na „Życie na Ziemi" złożyło się 13 godzinnych filmów, które uczyniły z Attenborough najbardziej rozpoznawalnego przyrodnika na świecie.

– Jego wpływ na to, jak dziś pokazuje się przyrodę, to temat na pracę habilitacyjną lub co najmniej książkę – mówił „Tygodnikowi" Arkadiusz Szaraniec, zmarły w listopadzie popularyzator przyrody. – Kiedyś przeczytał do kamery opis tańca rajskich ptaków, stojąc pośrodku dżungli na Nowej Gwinei. Zrobił to tak wspaniale, jakby był aktorem Royal Shakespeare Company. A potem dorzucił jedno tylko zdanie... Ale w jego pracy zawsze fascynował mnie ten niewidzialny, zapewne liczny zespół. Schowany za kamerą i mocno wyczuwalny w poszczególnych kadrach, choćby poprzez świetne wynalazki operatorskie, jak obiektywy zbierające na ostro dwa różne plany, ten najbliższy, z pełznącym ślimakiem, i najdalszy, z człowiekiem na trawniku. Żeby uchwycić z poziomu piasku idącego kiwi, który wypełnia ekran, z tłem wielkiej pustej plaży, a potem tak go prowadzić kamerą, aby bez cięcia wszedł w kadr przed twarz narratora, potrzeba wysiłku i współpracy sztabu ludzi o znakomitym przygotowaniu.

– Być może ktoś obrazi się za takie stwierdzenie, ale wydaje się, że każdy, kto para się dziś filmem przyrodniczym, w jakimś stopniu stara się naśladować Attenborough, każdy do niego aspiruje – mówi z kolei Krystian Matysek, reżyser filmów dokumentalnych. – Tym bardziej, że Brytyjczyk przewija się w naszych wspomnieniach właściwie od zawsze.

Matysek wspomina pracę z Janem Walencikiem nad pierwszym polskim serialem przyrodniczym, zatytułowanym „Tętno pierwotnej puszczy". – Walencik bardzo chciał naśladować Davida. Imponowało nam to, jak Attenborough ustawia się w jednym kadrze z filmowanymi zwierzętami. Ciągle się zastanawialiśmy: dlaczego ten ptak nie odlatuje, tylko spokojnie przy nim siedzi?

Agonia morsów

Matysek, który miał okazję osobiście poznać Brytyjczyka (w 2016 r. otrzymał na Wildscreen Festival w Bristolu nagrodę za film „Łowcy miodu"; Attenborough był gościem specjalnym ceremonii), zwraca jednak uwagę przede wszystkim na współczesne przesłanie jego filmów. Tu wrócić można do sceny chwytania warana z Komodo i samej idei wywożenia zwierząt z macierzystych habitatów, by zaprezentować je w telewizyjnym studiu – dziś byłoby to nie do pomyślenia.

„Nasza planeta" to opowieść o kruchości świata przyrody i jego zanikaniu w realiach antropocenu, epoki człowieka. Wielokrotnie powracają obrazy gehenny, którą zwierzętom zgotował gatunek ludzki. Bodaj najmocniejsze i najtrudniejsze dla widza będą sceny nagrane w Arktyce: stłoczone na niewielkim skrawku lądu morsy desperacko skaczą z klifów, próbując dostać się do wody. Ich potężne ciała bezwładnie toczą się w dół niczym worki kartofli, a kamera towarzyszy agonii.

– Kiedy dwie, trzy dekady temu zaczynałem pracę filmowca, właśnie to miałem na myśli – mówi Matysek. – Uświadamianie ludziom, czym jest nasz postęp cywilizacyjny dla świata zwierząt. Kiedy więc zobaczyłem „Naszą planetę", bardzo się ucieszyłem, że Attenborough poszedł tą drogą. Być może wraz z nim przyjdzie jakieś przebudzenie? Serial uświadamia przeciętnemu widzowi skalę naszej brutalności, pokazuje, jak mocno ingerujemy w ekosystemy, jak przecinamy szlaki migracji zwierząt i ograniczamy ich przestrzeń życiową. Powtarzanie tego do znudzenia to podstawowa misja wszystkich, którzy zajmują się przyrodą, i to co najmniej na najbliższą dekadę.

Attenborough zdaje się podzielać tę opinię, jako że w ostatnich latach wszedł w buty klimatycznego aktywisty. W 2018 r. wystąpił podczas szczytu klimatycznego ONZ w Katowicach, apelując do zgromadzonych liderów państw świata o solidarną redukcję emisji gazów cieplarnianych. – Pochodzę dosłownie z innej epoki – mówił kilka miesięcy później na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. – Urodziłem się w holocenie, trwającym 12 tys. lat czasie klimatycznej stabilności, która pozwoliła ludziom osiedlać się, uprawiać ziemię i tworzyć cywilizacje – tłumaczył. Potem dodał, że holocen się skończył, ludzkość weszła w kolejną epokę – antropocen, a ów eden przestał istnieć.

To, że owa przemiana była procesem, widać za sprawą przytoczonych przez niego w „Życiu na naszej planecie" danych liczbowych. Rok 1937: populacja Ziemi 2,3 mld ludzi, stężenie dwutlenku węgla w powietrzu 280 ppm, dzika przyroda zachowana w 66 proc. Rok 2020, odpowiednio: 7,8 mld, 415 ppm, 35 proc. (Attenborough powołuje się tu na raport Wydziału Ludnościowego Departamentu Gospodarki i Spraw Socjalnych ONZ, pomiary stężenia dwutlenku węgla z obserwatorium Mauna Loa na Hawajach oraz badania dr. Erle'a C. Ellisa z Uniwersytetu Maryland dotyczące krajobrazów antropogenicznych).

Stojąc przy samej przynęcie, Attenborough zmienia obiektyw na portretowy, a oddalony od niego o metr waran gapi się w aparat **i wyrywa kolejne kęsy padliny.**

A więc na przestrzeni życia jednego człowieka ewolucję przeszła nie tylko telewizja. Populacja ludzi na Ziemi wzrosła ponad trzykrotnie, o połowę zwiększyło się stężenie dwutlenku węgla w atmosferze i o podobną wartość zmniejszyła się powierzchnia, jaką na planecie zajmuje świat pozaludzki. Ziemia stała się planetą monogatunkową.

„I to już wszystko" – tak zaczyna się półtoraminutowe nagranie, które w minione Halloween pojawiło się na instagramowym koncie Davida Attenborough. Debiut 94-latka w mediach społecznościowych był wydarzeniem, które zauważyło ponad 6 mln internautów. A jednak telewizyjny weteran dał im niejako pstryczka w nos. W przeciwieństwie do telewizyjnej, jego internetowa kariera trwała raptem miesiąc. „Opowiedziałem wam o paru sprawach, którymi chciałem się podzielić. Inni użytkownicy mediów społecznościowych mogą pociągnąć te wątki. (...) Bo to nie jest wyłącznie moja historia, to opowieść o nas wszystkich, o każdym żyjącym w tych czasach. I wcale się tu nie kończy".

Dwugłos

Nagrywając owo przesłanie do młodych, być może miał na myśli Gretę Thunberg. 18-letnia już szwedzka aktywistka, pomysłodawczyni szkolnych strajków klimatycznych, to głos z przeciwnego bieguna doświadczeń, daleki od stonowanego angielskiego seniora z tytułem szlacheckim. Głos emocjonalny, stanowczy i wściekły. Należący do osoby, która nie doświadczyła Ziemi epoki holocenu, a jedynym, co zna, jest niepewność planetarnego jutra. Choć Thunberg parokrotnie występowała już przed podobnymi gremiami co Attenborough, poznali się dopiero rok temu w czasie zaaranżowanej na potrzeby telewizji wideorozmowy.

– Udało ci się osiągnąć to, co wielu z nas próbowało zrobić przez ostatnie ↦

David Attenborough na planie serialu przyrodniczego „The Life of Mammals", Tajlandia, 2002 r.

BEW

↦ dwadzieścia lat. Wzburzyłaś świat. Słowa, które uczyniłaś swoim mottem: że świat nie należy do mojego pokolenia, lecz twojego, do młodych, to bardzo mocna deklaracja. Argument, którego nie da się przemilczeć – mówił Brytyjczyk. Szwedka rewanżowała się wyznaniem, że to filmy przyrodnicze otworzyły jej oczy na to, co dzieje się z klimatem.

Niektórzy zarzucają Attenborough, że gdy wychodzi z roli świadka, pomysły zmian, które wyjmuje wówczas z teczki, są naiwne i nierealne. Thomas Oudman z internetowego serwisu „De Correspondent" przekonuje, że podając holenderskie rolnictwo szklarniowe (nastawione na uprawę kwiatów, a nie jedzenia) za godny naśladowania przykład, Attenborough powiela kłamliwe slogany tamtejszego biznesu. Kluczem ma być nie tyle szukanie nowych sposobów zaspokojenia rozbuchanej konsumpcji rozwiniętego świata, ile jej ukrócenie. To właśnie dlatego duet Attenborough-Thunberg tak mocno działa na wyobraźnię. Jeśli Szwedce – lub komuś z jej równie zaangażowanych rówieśników – przyjdzie żyć tak długo jak sir Davidowi, to dopiero ich zestawione razem życiorysy mogą dać prawdziwe świadectwo antropocenu.

Na razie dysponujemy tylko połową opowieści. Tą ponurą: „Kiedy oglądam swoje stare filmy, dociera do mnie, że chociaż miałem wrażenie, iż przebywam w dziczy, wśród pierwotnej przyrody, było to tylko złudzenie. Lasy, równiny i morza, które odwiedzałem, już wtedy pustoszały. Już wtedy z trudem znajdowaliśmy część dużych ssaków. Przesuwający się punkt odniesienia zakłóca to, jak postrzegamy przyrodę. Zapomnieliśmy, że dawniej w strefie umiarkowanej istniały lasy, przez które można było wędrować całymi dniami. Bizonów było tak wiele, że mijały cztery godziny, nim przebiegło jedno stado, a niebo ciemniało podczas przelotu ptaków. Jeszcze kilka pokoleń temu było to normalne. Teraz jest inaczej. Przywykliśmy do zubożałej planety" – podsumowuje sir David Attenborough. © ADAM ROBIŃSKI

David Attenborough, **ŻYCIE NA NASZEJ PLANECIE. MOJA HISTORIA, WASZA PRZYSZŁOŚĆ**, *przeł. Paulina Surniak, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021.*

Wiwisekcje

DARIUSZ KOSIŃSKI

Ewelina Marciniak patrzy na kłębiące się ludzkie emocje, by pokazać to, czego sami często nie widzimy, a co prowadzi nas ostatecznie na zatracenie.

Jeszcze pod koniec pełnego złych wieści i gniewu kobiet roku, z zepchniętych dawno na margines stron kulturalnych przebiła się na czołówki wiadomość, że najbardziej prestiżową niemiecką nagrodę teatralną Der Faust w kategorii „najlepsza reżyseria" otrzymała Ewelina Marciniak za spektakl z Thalia Theater w Hamburgu – „Der Boxer" na podstawie „Króla" Szczepana Twardocha. Ktoś nieobserwujący polskiej sceny współczesnej mógłby pomyśleć, że znów zagraniczne sukcesy zwracają uwagę rodzimej publiczności na niedocenianą w kraju twórczynię, ale tym razem byłby w błędzie.

Od debiutanckiego „Nowego Wyzwolenia" Witkacego w Teatrze Polskim w Bielsku-Białej (2010) niemal każde przedstawienie reżyserki zdobywało nagrody i było wysoko oceniane. Jej rosnąca renoma skutecznie zachęcała krytyków do podróży poza teatralne metropolie. Były wśród nich nie tylko stosunkowo łatwe wypady do Gdańska (od 2014 r. Marciniak jest etatową reżyserką Teatru Wybrzeże; zrealizowała tam m.in. głośne „Amatorki" Elfriede Jelinek, „Portret damy" według Henry'ego Jamesa i „Mapę i terytorium" według Michela Houellebecqa) i Katowic (m.in. pierwsza inscenizacja powieści Twardocha – „Morfiny"), ale też do Szczecina („Piotruś Pan" w adaptacji Michała Buszewicza, „Bzik. Ostatnia minuta" według Witkacego przepisanego przez Jana Czaplińskiego) czy Bydgoszczy („Skąpiec" Moliera). Jak dotąd reżyserka tylko wyjątkowo pracowała w polskich stolicach teatralnych (w Krakowie raz i to dawno temu; w Warszawie też raz, a na dodatek „Księgi Jakubowe" według Olgi Tokarczuk w Teatrze Powszechnym nie spotkały się z wielkim uznaniem).

Dziewczyna i śmierć

Kiedy się w końcu w dawnej, dziś już nieistniejącej stolicy teatralnej pojawiła, natychmiast wywołała trzęsienie ziemi. Przedstawienie według tekstów Elfriede Jelinek, pokazane po raz pierwszy na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu 21 listopada 2015 r., weszło do najnowszej historii polskiego teatru przede wszystkim za sprawą prowokacyjnych informacji o zatrudnieniu aktorów porno i „prawdziwym seksie" na scenie. Nerwowa reakcja nowego ministra kultury i oskarżenia o próbę ograniczania wolności słowa i twórczości spowodowały, że spektakl zdobył ogromny rozgłos i chwilową popularność, ale w atmosferze politycznego wzmożenia nie został dobrze obejrzany i przeżyty.

Widziałem „Śmierć i dziewczynę" dość późno, gdy na Sali Grzegorzewskiego nie było już podnieconych tłumów, i pamiętam go jako znakomitą inscenizację „Pianistki" (chyba już można powiedzieć, że tytuł sugerujący, iż jest to adaptacja „dramatów księżniczek", to zmyłka wymuszona problemami z prawami autorskimi?) z zachwycającymi nie tylko odwagą, ale i precyzją kreacjami Ewy Skibińskiej i Małgorzaty Gorol.

W „Śmierci i dziewczynie" widać było jak na dłoni wszystkie najważniejsze cechy stylu Marciniak. Podobnie jak większość jej przedstawień, i to było oparte na mocno przepracowanym materiale literackim, dalekim od klasycznej dramaturgii. Ogromną rolę odgrywała w nim teatralna (nie taneczna, a teatralna właśnie) choreografia stale współpracującej z Eweliną Marciniak krakowskiej tancerki i choreografki Dominiki Knapik. Przy całej śmiałości w eksplorowaniu cielesności i seksualności, przy całym okrucieństwie wobec postaci i aktorek, spektakl pozbawiony

KRAFFT ANGERER / THALIA THEATER HAMBURG

„Der Boxer" w reżyserii Eweliny Marciniak w hamburskim Thalia Theater

był zmysłowych jakości kojarzących się z fizjologią i materialnością ciała. Zamiast lepkości i mięsistości – chłód przerafinowanej elegancji wprowadzany przez scenografię Katarzyny Borkowskiej (też często z Marciniak współpracującej). Zamiast emocjonalnych szarż – teatralna wiwisekcja.

Oglądając to przedstawienie przypomniałem sobie słowa Gabrieli Zapolskiej, że scena jest jak prosektorium, w którym rozkraja się ciało społeczne, by zdiagnozować zagrażające mu choroby. Choć estetyka Marciniak jest daleka od naturalizmu sprzed ponad stu lat, to cel operacji wydaje się podobny: wydobyć spod splątanych historii, intymnych przeżyć i skrywanych fantazji pewien stan sytuacji odnoszący się już nie do indywidualnych biografii, ale do głębokich źródeł groźnych procesów społecznych. Nie przypadkiem wywiad udzielony przez reżyserkę „Polityce" po przyznaniu jej Paszportu nosił tytuł „Miłe faszyzmu początki"...

Ewelina Marciniak, ze względu na swoją filigranową, dziewczęcą urodę traktowana niekiedy z ledwo skrywaną paternalistyczną wyższością, patrzy na kłębiące się ludzkie emocje, by pokazać to, czego sami tak często nie widzimy, a co prowadzi nas ostatecznie na zatracenie.

Historie przemocy

„Der Boxer" estetycznie bardzo się różni od „Śmierci i dziewczyny": dominujący u Borkowskiej wyrafinowany chłód i metaliczne błękity zastąpiła brunatno-żółta graciarnia wspomnień zagrzebanych w piachu, którym inny znakomity polski scenograf, Mirek Kaczmarek, wysypał całą scenę. Odważyłbym się wręcz powiedzieć, że to przedstawienie stanowi nową wersję teatru ubogiego sprzed ponad pół wieku. Jego zasada sformułowana przez Ludwika Flaszena głosiła, że na scenie nie powinno się pojawić nic, co nie jest na niej od początku. I tak jest w „Der Boxer".

W trakcie przedstawienia kolejne elementy, postacie, wydarzenia i rekwizyty są wydobywane ze scenicznej pustyni przeszłości, przy czym niektóre z nich przechodzą zaskakujące metamorfozy. W efekcie powstaje seria zagęszczonych sekwencji nie tyle ukazujących jakąś wciągającą fabułę, ile wydobywających spod jej oddzielonych ogniw „stany zapalne", które infekowały ciało społeczne i doprowadziły w końcu do jego śmierci. W ten sposób zasadniczy koncept powieści Twardocha, ujętej w ramy wspomnienia demaskowanego stopniowo jako samooszustwo, został przełożony na dramaturgiczną zasadę przedstawienia, będącego swoistym „seansem wspomnień" z przeszłości dopełnionej zagładą.

Barwny i bombardujący wyrazistymi (może nawet zbyt wyrazistymi) wizerunkami ludzi i zdarzeń świat przedwojennej Warszawy, zbudowany przez Twardocha w „Królu", został przez Marciniak i jej ekipę przesłonięty pustką i zniszczeniem, które dominują w „Królestwie". Efektowne i egzotyczne sceny z dżungli półświatka zostały wciśnięte w piach ↦

pustyni, która pozostała po zagładzie miasta. Przesłonięty nią „Bokser" przestał być nostalgiczną pieśnią tęsknoty o romantycznie straumatyzowanym gangsterze, a stał się seansem przypomnienia, że zbrodnicze ideologie rosną na mitach wbijanych w ciała ciosami codziennej przemocy.

To samo, ale jakby głębiej i w odniesieniu do współczesności, przypomina Ewelina Marciniak w zrealizowanej miesiąc po hamburskiej premierze adaptacji innej głośnej w ostatnich latach książki – „Historii przemocy" Édouarda Louisa. W spektaklu wystawionym w Teatrze im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie przemoc nie jest ucieleśniana w jednej postaci czy grupie (jak polscy faszyści u Twardocha), ale wsącza się we wszystkich i wszystko. Jest (to skojarzenie wręcz oczywiste) jak woda zalewająca scenę na skutek teatralnej ulewy trwającej przez całe niemal przedstawienie – nie ma jednego źródła, a przecieka wszędzie i wszyscy są w niej umoczeni.

Droga do odsłonięcia i pokazania na scenie aktu bezpośredniej przemocy, który stanowi kulminację spektaklu, wiedzie przez serię zwykłych spotkań, codziennych rozmów. Pozornie niczym się niewyróżniające zdarzenia, drobne reakcje i wymiany banalnych zdań widziane z perspektywy gwałtu, o którym wiele się mówi, zanim się go jeszcze ponownie rozegra, odsłaniają drobiny okrucieństwa wpisanego w relacje między bliskimi sobie ludźmi.

W kraju, w którym edukacją kieruje „tolerancyjny do bólu" ortodoks, a prezydent udający niewinnego chłopaczka cynicznie wygrywa społeczną niechęć do „odmieńców", przypomnienie, że diabeł przemocy tkwi właśnie w takich „drobinach" i „wyrwanych z kontekstu" słowach, ma oczywiste znaczenie polityczne. Ale dojrzałość Eweliny Marciniak polega właśnie na tym, że nie projektuje pracy przemocy tylko na jakichś „tamtych". Wszyscy możemy być bohaterami tych historii i wcale nie jest pewne, jakie role przyjdzie nam w nich zagrać.

ANNA TOMCZYŃSKA

Ewelina Marciniak jest wręcz modelową reprezentantką współczesnej wersji mocnego teatru reżyserskiego bazującego na literaturze, jaki kiedyś tworzyli u nas Schiller i Swinarski.

Skończyć z postem

W roku 2009, gdy Ewelina Marciniak była magistrantką na nieistniejącej już specjalności dramatologicznej na Uniwersytecie Jagiellońskim, ukazał się polski przekład głośnej książki Hansa-Thiesa Lehmanna „Teatr postdramatyczny", autorstwa współtworzących tę specjalność Małgorzaty Sugiery i Mateusza Borowskiego. Książka narobiła sporo hałasu i szybko stała się lekturą obowiązkową, bo rzeczywiście klarownie opisywała i porządkowała zmiany, jakie zaszły w sztukach przedstawieniowych w XX w. Niestety Lehmann, zwiedziony mitem teatru dramatycznego, ukazywał je w kategoriach „przed" i „po", wpisanych już w tytułową formułę. Tymczasem w kulturze, której wieszczem teatralnym jest Adam Mickiewicz (a wbrew pozorom Niemcy też do niej należą), taki podział jest absurdalny.

Fortunność formuł nie zależy niestety od ich precyzji i trafności, lecz od stopnia, w jakim ułatwiają porządkowanie zjawisk, konieczne w komunikacji z publicznością szerszą niż grupka uczestników akademickiego seminarium. „Teatr postdramatyczny" bardzo się spodobał zwłaszcza tym, którzy wciąż tęsknią za dawnymi dobrymi czasami inteligenckich świątyń wyróżnienia. Czasy te raczej nie wrócą i żadne wysiłki nostalgicznych pań wiceminister tego nie zmienią, bo nie dzieje się to na skutek jakiegoś domniemanego lewackiego spisku, ale w wyniku zmian społecznych, kulturowych i medialnych zachodzących na świecie i w Polsce. Praktyka dramaturgiczna i teatralna wyglądają dziś zupełnie inaczej niż w mitycznych latach 70., a relacje między sceną a tekstem, tak ekscytujące przed półwieczem studentki i studentów teatrologii, układają się w sposób sprawiający, że pytania o „wierność autorowi" czy „przekład sceniczny" są po prostu źle postawione.

Niestety widma dyskusji sprzed pół wieku wciąż intensywnie nawiedzają szkolne i medialne rozmowy o teatrze, przyczyniając się do nieporozumienia między twórcami a widzami. Akademicka teatrologia nie jest tu oczywiście bez winy, bo rozmawiając najchętniej sama z sobą, daje się zepchnąć na margines buńczucznym recenzentom, pozwalając na dumne eksplozje zwykłej bezmyślności.

Książka Lehmanna, a szczególnie jej tytułowa formuła, dołożyła niestety nieporozumienie kolejne. Nieszczęsne „post" zostało przyjęte radośnie jako „gruba kreska" (by nie powiedzieć – pałka), oddzielająca „prawdziwy" teatr od nowomyślnych konceptów. W Polsce na dodatek książkę przetłumaczoną z niemieckiego przyjęto jako opis zjawisk i zmian przez niechętnych im ujmowanych w kategoriach „germanizacji rodzimej sceny". W efekcie słowo „postdramatyczny" znaczy u nas często tyle, co zapatrzony w niemiecki teatr i w ten sposób niszczący prawdziwie polską tradycję reżyserskiego „wystawiania sztuk".

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Piszę o tym wszystkim w tekście o Ewelinie Marciniak – polskiej reżyserce nagrodzonej właśnie w Niemczech i tam z powodzeniem pracującej – bo zapewne dla tych, którzy wytworzyli i podtrzymują takie rozumienie „teatru postdramatycznego", jest ona jego typową przedstawicielką. Tymczasem jest wręcz modelową reprezentantką współczesnej wersji mocnego teatru reżyserskiego bazującego na literaturze, jaki kiedyś tworzyli u nas Leon Schiller i Konrad Swinarski. Oczywiście tworzy jego własną, współczesną odmianę, którą – korzystając z faktu, że reżyserka sama chętnie wskazuje na swoje dawne studia i dobrze o nich mówi – nazwałbym teatrem dramatologicznym.

To teatr, który nie wystawia sztuk, ale je precyzyjnie analizuje, wykorzystując zarówno narzędzia literackie i intelektualne (stąd tak wielka w nim rola dramaturga), jak i choreograficzne, scenograficzne i reżyserskie. W efekcie powstaje przedstawienie, w którym osobliwość nie pojawia się w momentach zatrzymania iluzyjnej machiny, ale pracuje cały czas, wytwarzając dystans przenikający precyzyjne i wcale nie zrywające z tradycyjną teatralnością kompozycje sceniczne. Nie jest to żadne „po", ale zachowująca ciągłość kolejna faza ewolucji teatru rozwijającego się w Europie spójnie i konsekwentnie od czasów Szekspira, a rozlewającego się wraz z kolonializmem na cały świat.

Czas się z tym pogodzić i zakończyć wreszcie ten wielki post mesjanistycznej tęsknoty za zmartwychwstaniem przedstawień inscenizujących „po bożemu" czczone w szkołach dramaty. Same nie ożyją – trzeba na to wysilonej i długotrwałej pracy, którą (to zupełnie inna historia) powinien podjąć choćby jeden teatr, mogący wtedy z czystym sumieniem nazywać się „narodowym".

Czekamy długo, więc może lepiej ucieszyć się Faustem w rękach polskiej reżyserki i pomyśleć, że polski teatr nie jest w żadnym kryzysie, ale wciąż stanowi niezwykle ważną część wielkiej kultury teatralnej Europy Środkowej, obejmującej i Niemcy, i europejską część Rosji, i wszystkie kraje leżącego między nimi pasa ciągnącego się od Bałtyku po Bałkany.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

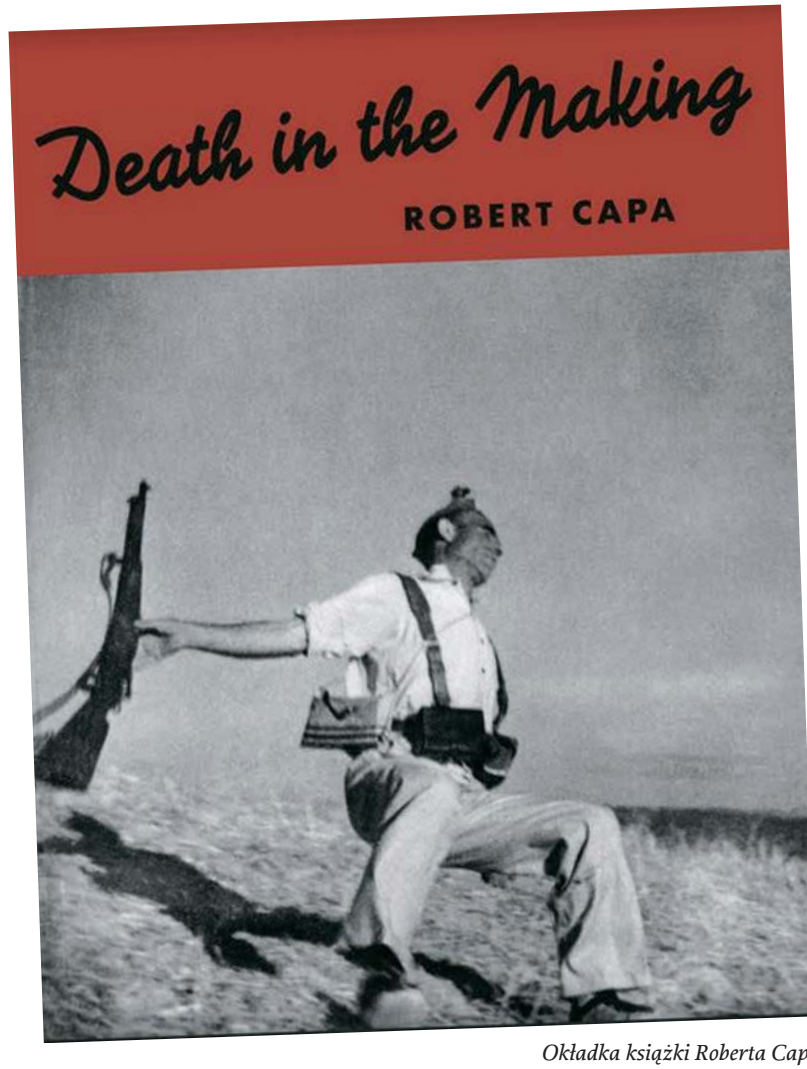

DAMIANI / ICP

Okładka książki Roberta Capy

Podejdź jak najbliżej

MACIEJ TOPOLSKI

Kula wystrzelona przez frankistę przeszywa ciało Federica Garcíi. I to jest moment możliwy do zatrzymania i do zobaczenia, jak śmierć się tworzy, śmierć trwa.

Na sukces wznowionej właśnie książki „Death in the Making" Roberta Capy złożyły się trzy osoby. Wszystkie przyjęły obce nazwiska, wszystkie – fotografując konflikty zbrojne – zginęły tragicznie.

Gerda Taro, a właściwie Gerta Pohorylle, pochodząca z polskiej rodziny żydowskiej, przyjęła nazwisko od japońskiego artysty – Tarō Okamoto. Urodzony w Warszawie Dawid Szymin przemienił się w Davida Seymoura, znanego też jako Chim. Robert Capa, a tak naprawdę urodzony w Budapeszcie André Ernő Friedmann, składa się z dwóch hollywoodzkich postaci: Franka Capry, reżysera, którego film „Ich noce" z Claudette Colbert i Clarkiem Gable'em w rolach głównych otrzymał w 1934 r. pięć Oscarów, oraz aktora Roberta Taylora, ekranowego kochanka Grety Garbo z filmu „Camille" z 1936 r.

Gerda Taro została zmiażdżona przez czołg lojalistów w miejscowości Brunete oddalonej o 28 kilometrów od Madrytu rok później (Capa miał ożenić się ↦

↦ z Taro, ponoć nigdy nie pogodził się ze śmiercią ukochanej). W 1956 r. Chim został zastrzelony przez egipskiego snajpera w trakcie kryzysu sueskiego. Rok później, 25 maja, Robert Capa towarzyszył francuskiemu konwojowi w ewakuacji dwóch fortów w regionie delty Rzeki Czerwonej w Wietnamie – oddaliwszy się od konwoju, żeby wykonać fotografię żołnierzom, nastąpił na minę przeciwpiechotną.

„Jeśli twoje zdjęcia nie są wystarczająco dobre, to znaczy, że nie jesteś wystarczająco blisko" – miał powiedzieć Capa. To właśnie bliskość względem fotografowanych wydarzeń wojennych przyczyniła się do tragicznej śmierci tej trójki. To bliskość, która stawała się jednocześnie synonimem śmiertelnego zagrożenia i wysokiej jakości obrazów fotograficznych, sprawiła, że wydana po raz pierwszy w 1938 r. książka „Death in the Making", a wznowiona przez wydawnictwo Damiani z Bolonii oraz International Center of Photography z Nowego Jorku, stanowi jedno z największych osiągnięć fotografii wojennej.

DAMIANI / ICP

Na tej i sąsiedniej stronie: rozkładówki z książki „Death in the Making"

Paradoks wojenny

Na okładce „Death in the Making" znajduje się zdjęcie, które Robert Capa wykonał 5 września 1936 r. w Hiszpanii, nieopodal wsi Cerro Muriano, na północ od Kordoby. Upadający żołnierz nazywał się Federico Borrell García, jego śmierć – jak wiele milionów poległych w tej i innych wojnach – pozostałaby niezauważona i nie wywołała tylu sporów, gdyby 22-letni wówczas Capa nie nacisnął spustu migawki. Zdjęcie zostało opublikowane po raz pierwszy już 23 września 1936 r. w czasopiśmie „Vu", w kolejnych latach pojawiło się – funkcjonując jako samodzielny, niepowiązany z książką obraz – na łamach prasy całego świata, do czego przyczynił się w dużej mierze artykuł w magazynie „Picture Post" prezentujący Capę jako „największego fotografa wojennego na świecie".

W 1975 r. rozpoczęła się trwająca do dzisiaj dyskusja dotycząca autentyczności tej fotografii, a zainicjował ją brytyjski dziennikarz Phillip Knightley w swojej książce „The First Casualty" poświęconej korespondentom wojennym. Powodów jest wiele: od zagubionych ponoć przez Capę negatywów i rozbieżnych zeznań samego autora dotyczących okoliczności wykonania fotografii po sfabrykowane przez niego w 1937 r. zdjęcia do serii filmów krótkometrażowych „The March of Time". Sam fakt, że taka dyskusja się rozpoczęła, nie tyle nawet potwierdza rangę obrazu, który dał początek trwającej do lat 50. złotej erze wojennego fotoreportażu i porównywany jest do malowidła Francisca de Goi „Trzeci maja 1808", ile wynika z całkiem prostego pytania: czy tak działa śmierć?

Hiszpańska wojna domowa w latach 1936-39 uznawana jest za zapowiedź II wojny światowej, jak również za pierwszy konflikt zbrojny, który został przedstawiony przez media w sposób współczesny. Dotychczasowe fotografie wojenne ukazywały – ze względu na ograniczenia technologiczne, które znacznie wydłużały proces fotografowania – marginesy i pozostałości wojenne. Na przykład na wystawie „The Dead of Antietam" przygotowanej przez Mathew Brady'ego w 1862 r. przedstawione zostały m.in. zdjęcia ukazujące poległych żołnierzy, grupy pogrzebowe i groby w okopach, wykonane przez Alexandra Gardnera pod miastem Sharpsburg w stanie Maryland. To były pierwsze w historii fotografie ukazujące śmierć, którą niesie ze sobą wojna (w tym przypadku secesyjna).

Inaczej miała się sprawa ze zdjęciami Roberta Capy. W książce „The Cruel Radiance: Photography and Political Violence" Susie Linfield twierdzi, że twórczość Capy ustanawia szczególnego rodzaju paradoks: „jako fotograf wojenny nie był zainteresowany fizycznym cierpieniem, okrucieństwem, bitwami czy śmiercią. Makabryczne zdjęcia trupów, z którymi jesteśmy dzisiaj tak zaznajomieni, były dla Capy przekleństwem i dlatego jego najlepsze fotografie nie przedstawiają działań wojennych jako takich".

Umożliwiła to sama technologia. Wprowadzone na rynek w latach 30. minionego wieku 33-milimetrowe aparaty, jako że były łatwe w przenoszeniu i drastycznie skracały proces wykonania zdjęcia, pozwalały ukazać trwanie wojny z bliska. Fotografia upadającego żołnierza tylko to potwierdza. Kula wystrzelona przez frankistę przeszywa ciało Federica. I to jest moment możliwy do zatrzymania i do zobaczenia, jak śmierć się tworzy, śmierć trwa.

Cel pisarski

„Death in the Making" to zaskakujący tytuł – można go przetłumaczyć właśnie jako „Śmierć się tworzy" lub „Śmierć w trakcie tworzenia" – dla książki przedstawiającej wojnę domową. Bo jak śmierć może cokolwiek kreować? Mówiąc inaczej: co pozytywnego zawiera się w wielkiej negatywności wojny? Te pytania pasują bardziej do pisarza niż fotografa.

Powód, dla którego Capa zajął się fotografią, wynikał z nieznajomości języka – jako młody węgierski emigrant nie potrafił posługiwać się angielskim lub francuskim na tyle sprawnie, żeby zarabiać jako dziennikarz. Wybór fotografii okazał się więc dość oczywistym wyborem innego, bardziej uniwersalnego języka, za sprawą którego mógł się komunikować ze światem. Jak pisze Richard Whelan w przedmowie do wydanych w 1947 r.

wspomnień Roberta Capy zatytułowanych „Slightly Out of Focus": „Chciał pisać – być reporterem lub autorem powieści. To przez przypadek, nie z wyboru, zdryfował (...) ku fotografii". W tej właśnie książce, na skrzydle, pojawił się ulubiony przez Capę zapis: „z fotografiami autora". Później pojawiał się również przy jego artykułach pisanych dla czasopisma „Holiday", gdzie publikował zabawne artykuły o swoich licznych podróżach po świecie, wizytach w kurortach czy imprezach, w których uczestniczył.

Nie powinna w tym kontekście dziwić również jego wyprawa z Johnem Steinbeckiem, której pokłosiem stał się „Dziennik z podróży do Rosji" (1948). To literacko-fotograficzne przedsięwzięcie miało jeden cel: ukazać – nieprzefiltrowane przez amerykańską cenzurę zajętą zimnowojenną batalią – życie radzieckiego człowieka. Jak pisze w przedmowie Steinbeck: „Zamiast faktów dostajemy ich interpretacje, przygotowane przez pół tuzina ekspertów. (...) Nikt nie pisze o rzeczach, które interesują nas najbardziej. Jak ubierają się Rosjanie? Co jadają na kolację? Czy urządzają przyjęcia? Jaka jest tamtejsza kuchnia? Jak uprawiają seks i jak umierają mieszkańcy Rosji? O czym rozmawiają? Czy tańczą, śpiewają, oddają się rozrywkom? Czy dzieci chodzą do szkoły? Pomyśleliśmy, że dobrze by było dowiedzieć się tego wszystkiego, sfotografować to".

Podobny cel przyświeca „Death in the Making". Obok 148 fotografii, z których 13 wykonał David „Chim" Seymour, 24 – Gerda Taro, a 111 – Robert Capa, w książce znajdują się teksty przygotowane przez Capę i współpracującego wówczas z „Chicago Daily Tribune" dziennikarza Jaya Allena, który napisał również przedmowę. Całość zaaranżował natomiast inny węgierski fotograf działający w Paryżu, André Kertész, układ wzorując na swojej książce „Paris vu" wydanej w 1934 r.

Robertowi Capie nie chodziło o produkcję przerażających obrazów wojennych. Jego słowa wskazują na odpowiedzialność fotografa jako uczestnika wydarzeń i twórcy sposobów ich widzenia.

Nowe wydanie „Death in the Making" podkreśla wspólnotowy wymiar publikacji, nie tylko na poziomie wykonania, ale i w wymowie. Jak pisze w posłowiu profesorka Cynthia Young: „Skomplikowane wewnętrzne polityczne walki hiszpańskiego rządu są w książce nieobecne. Obrazy najbardziej makabrycznych śmierci nie zostały w niej umieszczone. Z prostej przyczyny. Ta przypomina nam, żebyśmy i w naszych czasach nie pozostawali bezczynni, bo choć dyktatorzy pojawiają się teraz o wiele rzadziej, to jednak wciąż stanowią zagrożenie dla demokracji".

DAMIANI / ICP

Odpowiedzialność

Hiszpańska wojna domowa ukazana jest tu jako moment konieczny i formacyjny dla nowego, wolnego od tyranii państwa. Książka rozpoczyna się od słów: „Kiedy 5 sierpnia dotarliśmy do Barcelony, walki dobiegły końca. Dźwięk wystrzałów nie niósł się echem po ulicach. Poległych zabrano".

Robertowi Capie nie chodzi o produkcję przerażających obrazów wojennych. Te w nadchodzących dziesięcioleciach dosłownie zaleją percepcję współczesnego widza, nie tylko przyczyniając się do zobojętnienia na wizualną przemoc, ale także zaszczepiając poczucie bezradności, które znajduje wyraz w braku refleksji nad innym obliczem konfliktu wojennego. Innym niż powodującym przerażenie. Pierwsze słowa książki wskazują przede wszystkim na odpowiedzialność fotografa jako uczestnika wydarzeń wojennych i twórcy sposobów widzenia tych wydarzeń.

Jak napisze przywołana już Susie Linfield, fotografie Roberta Capy „nigdy nie sugerują, jakoby walka i zabijanie – a więc i umieranie – były najwyższym ludzkim zadaniem czy źródłem największej dumy; nie fetyszyzują broni, nie wychwalają śmierci. (...) Lojaliści byli gotowi umrzeć za sprawę, bardziej jednak – żyć dla niej; to byli ludzie, którzy, parafrazując Malraux, prowadzili tę wojnę, ale bez miłości".

Fotografie umieszczone w „Death in the Making" ujawniają chaotyczność działań prowadzonych przez lojalistów, frapujące piękno zburzonych domów, pokazują sposoby oswajania wojennej realności („Wojna stała się rutyną; to, co anormalne, jak zawsze, stało się normalne"), zjednoczonych w walce o wspólną sprawę Katalończyków, Andaluzyjczyków, Aragończyków czy Basków, wymieniających się rolami mężczyzn i kobiety, żegnających się kochanków, rzeczy, które otrzymują nagle nowe życie, zwierzęta pozostawione na ulicy w trakcie alarmu bombowego. Jeżeli wojna nieodmiennie ↦

↦ łączy się ze śmiercią, to należy zapytać: co ta śmierć przynosi? Czy tylko kres? A może odmienny porządek rzeczywistości?

„Na Uniwersytecie w Madrycie słowo przestało mieć władzę; rządzi tu teraz ołów wystrzeliwany z karabinów, pistoletów maszynowych, dział" – takim komentarzem opatrzone są zdjęcia studentów prowadzących ostrzał z sal wykładowych. Przy fotografii dzieci siedzących na tle ściany pooranej pociskami pojawia się opis: „Bawią się tam, gdzie dopiero co gwizdała śmierć". A obok zdjęcia żołnierzy schowanych za niskim murem i obsługujących miniaturową katapultę umieszczony został obrazowy zapis: „Ręczne granaty przelatują nad miejscem, gdzie kiedyś, czekające na zarżnięcie, beczały owce". Wojna w ujęciu Capy traci swoją przerażającą dosłowność, ujawniając bardziej chaotyczne, ale jednocześnie nieoczywiste oblicze.

Historia zweryfikowała nadzieje żywione przez Roberta Capę, Gerdę Taro i Davida „Chima" Seymoura. Książka zakończona słowami „W Hiszpanii wykuwa się nowy naród" ukazała się w lutym 1938 r., jednak już jesienią 1937, kiedy trwały przygotowania do publikacji „Death in the Making", było wiadomo, że Republika Hiszpańska przegra wojnę, pozbawiona wsparcia ze strony Stanów Zjednoczonych i państw europejskich. Nowe wydanie – wprowadzając poprawki do tekstu i udostępniając fotografie w jakości nieporównywalnie lepszej od oryginału – przypomina tę klęskę, upomina się również o odmienny sposób widzenia wydarzeń wojennych, daleki od ukazywania cierpienia, do którego oko współczesnego widza zdążyło się przyzwyczaić.

Na jednej z paryskich imprez w 1950 r. młoda fotografka Eve Arnold, nowa członkini słynnej agencji Magnum, przyznała dziennikarce Janet Flanner, że – jej zdaniem – Capa nie radzi sobie z rozplanowaniem zdjęć. Flanner spojrzała na Arnold z politowaniem i odrzekła: „Moja droga, historia też nie najlepiej radzi sobie z planowaniem". © MACIEJ TOPOLSKI

Robert Capa, **DEATH IN THE MAKING**, *Damiani/International Center of Photography, Nowy Jork 2020*

Wirus dorosłości

ANITA PIOTROWSKA

Najlepiej ogląda się „Złe baśnie", kiedy na chwilę zawiesza się w nich dziecięca perspektywa, kiedy jeszcze celebruje się, bez winy i wstydu, czysto sensualną stronę życia.

Wbrew nazwisku reżyserów nie jest to film o utraconej niewinności. Bliźniacy Damiano i Fabio D'Innocenzo (rocznik 1988) dzieciństwo traktują baśniowo, ale bez cienia złudzeń – jako czas pierwszej rozpaczy. Zresztą dorastanie w Spinaceto, na niezamożnych przedmieściach Rzymu, pokazano w „Złych baśniach" z dość złożonej, by nie rzec: pokrętnej perspektywy, i prawdopodobnie właśnie to przyniosło braciom nagrodę za scenariusz na ubiegłorocznym Berlinale.

Oto mężczyzna, czytający zza kadru narrację filmu, wyszperał ongiś w makulaturze dziewczyński pamiętnik, zapisany „dziecinnym, kapryśnym pismem". Zaczytawszy się w nim po uszy, postanowił go kontynuować, twierdząc, że „prawdziwa historia została zainspirowana wymyśloną". A może było całkiem na odwrót? Nieważne, wszak to baśń rządząca się własnymi prawami. Ów niejasny status opowiadacza wprowadza jednak niepokój, dystans, a nawet zwątpienie. Bo kto tu kogo tak naprawdę opowiada?

Gorące lato mogłoby być zaledwie scenerią, lecz tym razem ma w sobie dodatkowy ciężar – w filmach upały rzadko przywołują nastrój beztroskiej kanikuły. Obserwujemy (to słowo należałoby podkreślić, zważywszy na uparcie „nieimersyjny" charakter filmu) codzienność kilku rodzin, która toczy się w rytm posiłków i sąsiedzkich rytuałów. Przyznać trzeba, że włoski mit pięknego życia dawno nie był tak bardzo sfatygowany i mało ponętny. Przymrużonymi oczyma dzieci patrzymy na sfrustrowanych ojców i uległe matki, na zdegradowanych bezrobociem i na zakładników pracy bez prestiżu i bez sensu. Kosztem dzieciaków dorośli próbują kompensować sobie daremne aspiracje czy przepastne kompleksy, sięgając po przemoc fizyczną i psychiczną. Ta ostatnia bywa zrazu niezauważalna, toteż ujawnia się znienacka. Odkłada się także w genach i dlatego od początku wiadomo, że musi kiedyś uderzyć ze wzmożoną energią.

Tymczasem pora roku – spocona, zastygła w czasie, za to wyostrzająca dziecięce zmysły – sprzyja przyspieszonym inicjacjom. Jeśli ktoś chciałby dowiedzieć się, czym jest mityczna seksualizacja dzieci, zobaczy ją tu niczym pod szkłem powiększającym. A stoją za nią nie żadne ideologie, ale wulgarni, seksistowscy, uzależnieni od pornografii ojcowie i owocujące ryzykownymi eksperymentami nieuświadomienie młodych w temacie.

Przewija się przez tę historię tragiczna postać Vilmy (Ileana D'Ambra) – pracującej w szkolnej stołówce ciężarnej nastolatki, osamotnionej i niegotowej do macierzyństwa, deprawującej dużo młodszych kolegów w jakimś perwersyjnym geście władzy czy odwetu. Zafascynowany nią dwunastoletni Dennis (Tommaso Di Cola), syn bezrobotnego Bruna (Elio Germano) i szkolny prymus, niezgrabnie uczestniczy w tych przyspieszonych tańcach godowych, podobnie jak inni małoletni bohaterowie i bohaterki filmu, bezwiednie naśladujący niedorosłych dorosłych. Kwestią czasu jest, kiedy konstruowana przez dzieciaki bomba wreszcie eksploduje z hukiem, nawet jeśli tylko w przenośni.

Rządzi więc u braci D'Innocenzo duszny klimat „złej baśni", czyli takiej, która zamiast terapeutyzować, jeszcze bardziej traumatyzuje. Regularnymi dostarczycielami wstrząsów są rodzice, ich pozorowana obecność i niedojrzałe reakcje. Paradoksalnie najzdrowszy z nich okazuje się Amelio (Gabriel Montesi),

AURORA FILMS / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Złe baśnie”

groteskowy *macho* żyjący na obrzeżach społeczności. Kultywując toksyczną męskość instynktownie czuje, że trzeba wypisać syna z patologicznej szkoły życia społecznego. Bo jest coś odstręczającego w sposobie, w jaki matki i ojcowie wystawiają tu swoje dzieci na spotkanie z dorosłością: upokarzając, tresując, świecąc brudnym przykładem. Twórcy nie mają dla nich ani krzty współczucia, chwilami wręcz napawają się ich karykaturalną brzydotą. Oddając spojrzenie małoletnim bohaterom, muszą liczyć się z tym, że upraszczają sprawę, lecz równocześnie ten podwójny filtr – naiwności i okrucieństwa – nadaje filmowi osobliwy rys.

Najlepiej ogląda się „Złe baśnie”, kiedy ta dziecięca perspektywa zawiesza się na chwilę tu i teraz, rozpięta między wiekiem niewinności a przekroczeniem jego granic, kiedy jeszcze celebruje się, bez winy i wstydu, czysto sensualną stronę życia. Słońce, woda, chmury, zieleń, ciało, wszechobecne cykady – kamera reaguje na świat wszystkimi możliwymi zmysłami. Przynosi to chwilowe znieczulenie na brutalną rzeczywistość, w której młoda matka nie tęskni za dzieckiem pozostawionym w inkubatorze, gdzie chorego psa należy się pozbyć, i gdzie nikt nie widzi, że dorastają mu pod dachem smutne, stare dzieci. A wszystko to przykryte dmuchanym basenem, pizzą drugiej świeżości i przyspieszonym kursem dorosłości, która jest tutaj niczym wirus odry: w jednej z dziwaczniejszych scen rodzice aranżują spotkanie chorego chłopca z niezaszczepioną dziewczynką, ażeby ta mogła się uodpornić.

Bracia D’Innocenzo celują w polifoniczne kino formatu Roberta Altmana, bardziej jednak ufają baśniom niż rzeczywistości. Wolą niedopowiedzenia od narracyjnej układanki. Tym zaś, co nadaje filmowi moc prawdy ostatecznej, ma być zamykająca go barokowa „Passacaglia della vita” Stefana Landiego w nowoczesnej interpretacji duetu Birds on Wire.

To słodko-gorzkie przypomnienie o ludzkiej skończoności stanowi kontrapunkt dla codziennego banału, a jednocześnie ma porządkować półtoragodzinny przepływ scenek i obrazów o bardzo różnym ciężarze gatunkowym. Metafizyczna koda próbuje nadać sens czemuś, co w trakcie seansu nieustannie nam się wymykało i rozpadało. Trochę sztucznym gestem domyka zatem tę umyślnie rozproszoną historię, w której dzieci desperacko i na oślep próbowały ratować świat popsuty przez dorosłych. ©

ZŁE BAŚNIE *(Favolacce) – reż. Damiano i Fabio D’Innocenzo. Prod. Włochy/ /Szwajcaria 2020. Dystryb. Aurora Films. Najbliższy pokaz 30 stycznia na platformie mojeekino.pl*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Księgarnie Nowego Jorku

Dokumentalny, reż. D.W. Young, USA 2019, TVP VOD, CDA Premium, vod.mdag.pl

Antykwariusze, kolekcjonerzy, fetyszyści książek – bohaterem tego dokumentu jest wymierający, ale ciągle aktywny gatunek bibliofilów, mający swe siedziby przy nowojorskich ulicach. Zakurzone księgarnie i białe kruki to ich żywioł. Film opowiada też o tym, jak prezentuje się ekranowy wizerunek owej profesji i w jaki sposób internet wpłynął na rynek książkowych osobliwości.

2. Orfeusz

Dramat, reż. Jean Cocteau, Francja 1950, iTunes Store, Amazon Prime Video, Chili, vod.pl

Klasyka w streamingu to ciągle u nas rzadkość, jest więc okazja, by przypomnieć sobie uwspółcześnioną wersję mitu orfickiego w interpretacji jednego z najwszechstronniejszych artystów XX wieku. Na podstawie własnej sztuki scenicznej i przekładając słowa na fantasmagoryczne obrazy, Cocteau opowiada historię młodego poety zafascynowanego postacią Śmierci.

3. Święta Frances

Komediodramat, reż. Alex Thompson, USA 2019, HBO GO

Z dużym wdziękiem niezależny debiutant dotyka kobiecych spraw wciąż uchodzących za tabu. W historii słabo „ogarniętej” trzydziestoparolatki jest mowa o menstruacji, aborcji, adopcji dzieci przez lesbijki i konserwatywnym podziale ról w związku jednopłciowym. Najważniejsza jednak okazuje się relacja, jaka łączy świeżo upieczoną nianię z pewną rezolutną kilkulatką.

4. Gruba Kaśka

Dokumentalny, reż. Julia Pełka, Polska 2019, DAFilms

Studnia infiltracyjna, od 1964 r. pracująca w korycie warszawskiej Wisły, to żywa legenda. Obecnie stan czystości wody kontrolowany jest za sprawą ośmiu superczułych małży podłączonych do komputera. Krótkometrażowy dokument przybliża nam również tych, których życie od dawna kręci się wokół „Grubej Kaśki”.

JAN

Klata:
Próbujemy

W godzinach 10-14 i 18-22: wtorek, środa, czwartek, piątek, sobota. Wyjątkowo wszyscy aktorzy dyspozycyjni rano i wieczorem, przecież nie gramy spektakli, można bezustannie próbować – komfort, jakiego świat nie widział. Mieszkam w teatrze, śpię w teatrze, jem w teatrze, próbuję, próbujemy. Żeby nie zwariować, żeby nie sprawdzać 24/7, jak się kolejnym panom ministrom krzywa wypłaszcza/nie wypłaszcza, żeby nie spekulować, jaka średnia z ostatniego tygodnia – przecież to i tak bez najmniejszego znaczenia, zrobią, co im wyjdzie z sondaży, są tak wiarygodni, jak ich statystyki.

A my próbujemy. Powoli zaciera się pamięć o widzach na widowni, widzów się nie widzi, widownia pusta rano, wieczór, we dnie, w nocy. Kiedyś byli. Najpierw 110-120 procent, następnie obostrzone 50 procent, później 25 procent, teraz równe 0 procent. Zero absolutne. Permanentne *4'33"* w wykonaniu wielkich nieobecnych targanego zarazą teatru. Wkrótce tylko najstarsi aktorzy w zespole będą prehistorycznymi świadkami regularnego pobytu widzów w teatrze, poczną ze łzami w oczach opowiadać o tym młodym adeptom sztuki zoomowego aktorstwa na streamie. Juniorzy przyjmą owe klechdy z niedowierzaniem, bo jak to: teatr bez kamerki? Niemożebne.

Ja jednak liczę na cud, po prostu, cud przyszłej obecności ludzi na widowni. Kiedyś byli w każdym razie. W maseczkach, ale jednak. Teatr antyczny *à rebours*: na widowni w maskach, na scenie bez masek – paradoks godny Arystofanesa, nie przymierzając. Takie czasy, hybrydowe jak nasza pandemia, jak nasza demokracja. Liczę na cud, że hybrydy wyzdychają, łby im się pourywają, przyjdą ludzie spotkać się z ludźmi z drugiej strony, stanie się coś ważnego, zdarzy się teatr. Wtedy musimy być gotowi. No to próbujemy, zespołowo, od dziesiątej rano do dziesiątej wieczorem, ozdrowieńcy (coraz więcej) i przyszli ozdrowieńcy (coraz mniej). Tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu robimy spektakl. My: błąd statystyczny.

Ludzie teatru w czasach pandemii. Łyżwiarze pustynni. ©

Lektor:
Wynalezienie miłości

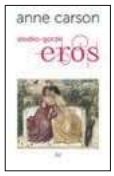

▪ *Anne Carson*
SŁODKO-GORZKI EROS. ESEJ
Przełożyła Renata Lis.
Wydawnictwo Sic!,
Warszawa 2020, ss. 224.

„To Safona pierwsza nazwała erosa »słodko-gorzkim«. Nikt, kto był zakochany, nie będzie się z nią spierał" – tak zaczyna się ta wspaniała książka, dzieło poetki i zarazem filolożki klasycznej, znawczyni i tłumaczki literatury greckiej. Co jednak oznacza słowo *glykypikron*? Jak tłumaczyć zawartą w nim sprzeczność? I czym właściwie jest eros? Krążymy wokół tych pytań, wokół paradoksalnej relacji między słodyczą i goryczą, rozkoszą i bólem, wokół paradoksu doświadczenia miłosnego. Wczytujemy się wraz z autorką w teksty greckich poetów i dramaturgów, w „Fajdrosa" Platona, w romans pasterski Longosa i „Opowieść etiopską" Heliodora, ale wracamy także do Stendhala, Kierkegaarda, Flauberta, Lwa Tołstoja, Virginii Woolf i Yasunariego Kawabaty. Oszałamiająca to jest przygoda. Czy zastanawialiście się kiedyś, jak wyjątkowym narzędziem stał się alfabet grecki? I jak ta wyjątkowość wpłynęła na nasze – tak, również nasze – rozumienie miłości?

„Słodko-gorzki eros" (1986) był pierwszą książką trzydziestosześcioletniej wtedy Kanadyjki. Kilka lat później wydała tom kilkudziesięciu próz poetyckich. Dziś Anne Carson jest laureatką wielu nagród, w tym T.S. Eliot Prize, którą otrzymała jako pierwsza w historii tego wyróżnienia kobieta, a jej nazwisko znalazło się na czołowym miejscu listy potencjalnych noblistów/ /noblistek. Co niewiele znaczy – iluż wielkich pisarzy Nobla się nie doczekało! – ale świadczy o tym, że odkrywczość i oryginalność jej pisarstwa zostały dostrzeżone. Ponieważ „Eros" to pierwsza książka Carson po polsku i do innych nie można się odwołać, odsyłam do szkicu Macieja Topolskiego na łamach „Znaku" (nr 4/2020). Anne Carson – pisze Topolski – „z każdą kolejną książką łączy światy – wydawałoby się – nieprzystające, wprowadza nowe rozwiązania formalne, tworzy gatunki literackie". Dalej Topolski cytuje sławnego amerykańskiego krytyka Harolda Blooma, wedle którego w książkach Carson „niemal nic nie powinno działać, ale ona sprawia, że działa". A szkic swój zamyka taką oto konkluzją: „Ponad 20 książek, które Anne Carson napisała i przetłumaczyła w ciągu ostatnich trzech dekad, zostało uznanych za kanoniczne dla literatury anglojęzycznej. Nie można ich łatwo sklasyfikować, oscylują między poezją, performance'em, esejem i tekstem teoretycznym, z wielkim trudem znajdują porównanie. Powiem to inaczej i wprost: nie znajdują porównania". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Pociąg do serdelków

Miliard czterysta milionów euro – taka jest stawka szantażu, jaki kraje bałtyckie zastosowały pod adresem reszty unijnej rodziny. Za zakładnika wzięły proces ratyfikacji wielkiego funduszu odbudowy po pandemii. Pamiętacie jeszcze, jak w grudniu to my z węgierskim bratankiem graliśmy podobną rolę? Tym razem bracia Litwini wraz z kuzynami z Kurlandii i Inflant grożą, że ich sejmy nie przegłosują zgód potrzebnych do odpalenia funduszu odbudowy bez gwarancji, że dostaną wywalczone na szczycie w lipcu 2020 r. pieniądze na Rail Baltica. Jest to projekt nowej szybkiej kolei od Tallina aż po polską stację graniczną we wsi o przepięknej nazwie Trakiszki.

Pieniądze, owszem, obiecano, ale równie mgliście, jak obronę naszej praworządności. Nie będę was wciągał w zawiłości tej rozgrywki – wszyscy trochę potupią, aż się znajdzie wyjście, Europa musi wszak dostać pandemiczną kroplówkę. A Bałtowie zabiorą się za dokończenie projektu, o który zresztą wcześniej zdążyli się ostro pokłócić między sobą i z Brukselą. Kiedy idzie o udrożnienie przesmyku suwalskiego i górę pieniędzy, robi się z tego piętrowa gra interesów z Rosją w tle. Przy okazji takich spraw, w cieniu debat o kryzysie demokracji, narracjach postsekularnych czy dyskursie emancypacyjnym, lubię obserwować mechanizmy realnej polityki – bo ich miarą jest siła wpływu na kształt życia ludzi. Namiętności władzy jak z Szekspira, tylko aktorzy w smutnych garniturach i z fatalną dykcją.

Jeśli gdzieś w tle dudnią koła pociągu, tracę trzeźwość umysłu. Kuchnia jest moim powołaniem, ale kolej prawdziwą miłością. Wertuję „Z biegiem szyn" równie uważnie jak „Kukbuk". Moją drugą ojczyzną są Włochy, ale przedsionkiem raju Czechy z ich wspaniale utrzymaną siecią. Nie tylko szlaki i tabor, ale też dworce, stacje i małe nawet stacyjki. Czymże jest zaś stacja bez bufetu? Czeski bufet dworcowy to miejsce, gdzie zakrzywia mi się czasoprzestrzeń i zjadam rzeczy, za którymi normalnie nie przepadam. Być stacjonarnym Czechem i w kółko jeść marynowane serdelki, smażony ser i wieprzowy gulasz z bułczanym knedlem – to ponad wytrzymałość mojej wątroby i aspiracje smaku. Ale być pasażerem Českich dráh – o, to mógłbym robić przez parę miesięcy w roku. Na polskich wymarłych stacjach i w pociągach bez Warsu się wykolejam – widziano mnie, jak zjadam wafelka w białej tzw. czekoladzie, zapijając napojem pseudoowocowym.

Jedno mi na razie nie grozi: pan pchający korytarzem wózek nie sprzeda mi pseudomięsnego kabanosa. Różne zamienniki na bazie podrasowanej enzymami soi spłynęły już z trendsetterskich sklepów w najdalsze zakamarki systemu. Ale chodzi mi o innego rodzaju innowację – mięso z *in vitro*. Stroiliśmy tu sobie niewczesne żarty z rabinów, którzy staną kiedyś przed dylematem, czy włókna mięśniowe wyhodowane na bazie komórek macierzystych pobranych od świni dalej są trefne. Uczyniono właśnie krok w tę stronę: zanim moją uwagę ściągnął tekst o bałtyckiej kolei, czytałem o tym, że w Singapurze można za dwadzieścia parę dolarów zjeść zestaw różnych kawałków „kurczaka" *in vitro*.

Liderem rozwoju bezzwierzęcego mięsa są start-upy z Europy, zwłaszcza z Holandii. Ale wygląda na to, że na razie będą sprzedawać swoje technologie w Azji albo w Stanach, bo europejscy urzędnicy ds. certyfikacji nowej żywności zapowiedzieli, że będą bardzo dociekliwi. Mój skażony politycznym brudem umysł dostrzega tu skutek nacisku lobby hodowców bydła i trzody, ale sensownie brzmią argumenty, że trzeba dopiero rozpoznać zagrożenia higieniczne w „bioakceleratorach", gdzie rosną komórki. Co się może przytrafić zwykłemu mięsu w brudnej masarni, to wie każdy sanepid, ale tutaj mamy nowe wyzwania poznawcze. Zupełnie jak z nowymi szczepionkami, o których zajmująco opowiada na początku numeru Łukasz Lamża – tyle że sprawa jest mniej pilna. A właściwie wcale nie pilna. Bo jakoś nie widzę, żeby burger *in vitro* rozwiązał problem ekologicznych kosztów hodowli na skalę taką, żeby zrównoważyć np. skok spożycia w Chinach, gdzie setki milionów ludzi jedzą więcej mięsa dla podkreślenia swojego awansu społecznego.

Wrócę do tego za jakiś czas, kiedy sprawa nabierze powagi. Niech najpierw przez Trakiszki przejedzie pierwszy bałtycki ekspres. ©℗

Czesi mają ciężką kuchnię, ale jak umieją o niej opowiadać! Nie będę was znów zanudzał zachwytami nad Hrabalowską wątrobianeczką prosto z kotła, ale kwestia świniobicia nie była obca także Václavowi Havlowi. Jego kuchenno-polityczne doświadczenia rozważa niedawno wydana u nas książka „Havel od kuchni". Zaopatrzcie się w nią, szczerze radzę, a dowiecie się, co to takiego „gniew Łukaszenki", chińszczyzna spod Karkonoszy albo gulasz federalny. Kto tak jak ja sięga w smutnych chwilach po jego „Listy do Olgi", odnajdzie sporo tego samego poczciwego, prostego jak kapuśniak ciepła i humoru. Tymczasem przepis na utopence – spróbujcie zdobyć odpowiednie serdelki zwane tam Špekáček – w Krakowie u Węgra na Kleparzu można kupić podobne debreczynki. Od biedy mogą pójść obrane parówki, ale to nie to samo. Reszta jest prosta. Łączymy 1 l wody z 0,5 l octu spirytusowego, do tego łyżka soli, 2 łyżki cukru, garść pieprzu i ziela angielskiego i 5 listków laurowych. Gotujemy 10 minut, studzimy. Zalewamy w słoju obrane ze skóry i pokrojone na kęsy serdelki ułożone warstwami na przemian z cienko krojoną cebulą i czerwoną papryką, do tego jeszcze 2 ząbki czosnku i parę gałązek koperku. Zakręcamy słój i wstawiamy do ciemnicy na 10-14 dni.

JIRI VACLAVEK / ADOBE STOCK

CHWAŁA SZERPOM

Na K2 dokonali aktu transgresji – nie tylko przekraczając granice własnych i ludzkich możliwości, ale i burząc porządek świata rozpisany w najwyższych górach jeszcze w kolonialnej przeszłości.

BARTEK DOBROCH

Zdobyli! To prawda, mieli trochę szczęścia. Zimą na K2 taka pogoda nie trafia się prawie nigdy – w każdym razie nie zdarzyła się podczas poprzednich siedmiu wypraw i dotychczasowych siedmiu sezonów zimowych, gdy himalaiści, mierząc się z liczącą 8611 metrów wysokości górą, nie osiągnęli na niej nawet 7700 metrów. Aż do poprzedzającego atak szczytowy piątku 15 stycznia, gdy Szerpowie przełamali tę barierę, docierając sto metrów wyżej.

Głównym obrońcą ostatniego z najwyższych bastionów zimowego himalaizmu był wiatr. Wiejący tylko z krótkimi przerwami *jet stream*, który ponad wierzchołkiem K2 osiąga prędkość nawet 250 kilometrów na godzinę, przez większą część zimy uniemożliwiając wejście na szczyt. Niecały tydzień wcześniej zdewastował obóz II wyprawy. Tymczasem 16 stycznia, gdy trwał atak szczytowy, modele meteorologiczne uwzględniające siłę wiatru dla wierzchołka K2 wyliczały wręcz nieprawdopodobne zero kilometrów na godzinę.

BAZA.
Wyprawa

Dopiero pierwsze zdjęcia szczytowe, które wyślą w świat po powrocie, potwierdzą bezwietrzną anomalię. Na nepalskich flagach w niepowtarzalnym kształcie chorągwi złożonej z dwóch trójkątów, symbolizujących m.in. himalajskie szczyty, nie widać choćby poruszenia. Przeszkodą mógł być tylko krótki dzień i zimno, choć szczytowe minus 40 i tak o dziesięć stopni przewyższało temperaturę przewidywaną dla wierzchołka.

Szczęście sprzyja najmocniejszym i najbardziej zdeterminowanym.

Nepalczycy przyjechali tej zimy pod K2 w ramach trzech osobnych wypraw. Małej, trzyosobowej zaledwie grupy Mingmy Gyaljego (podpisuje się też jako Mingma G), złożonej z Szerpów pochodzących z doliny Rolwaling, bogatej w ambicje, nawet sportowe, ale finansowo najuboższej (przed atakiem szczytowym udało im się uzbierać w internecie zaledwie 3 tys. dolarów). Większej, sześcioosobowej wyprawy, którą kierował Nirmal Purja, uskrzydlony sponsoringiem producenta napojów, medialnie atrakcyjny, otoczony zgranym, doświadczonym teamem. I wreszcie ogromnej – najliczniejszej, jaka kiedykolwiek pojawiła się zimą pod K2 – wyprawy agencji Seven Summit Treks, prowadzonej przez Szerpę Chhang Dawę. Z 27 Szerpami i 22 uczestnikami z całego świata, dokooptowanymi bez selekcji, z otwartego naboru. Zbieranina ludzi od himalaistów z zimowym doświadczeniem i letnimi sukcesami po amatorów himalaizmu, uzależnionych nie tylko od mitu K2 i marzeń o zimowej eksploracji, ale też od lin poręczowych, które na prowadzącej Żebrem Abruzzów drodze normalnej mieli wieszać Szerpowie.

Formalnie to wyprawa komercyjna – coś, co w środowisku górskim wywołuje zgrzytanie zębów. Absolutny koniec świata romantycznego himalaizmu, bo oto ostatni niezdobyty zimą ośmiotysięcznik mógł zaatakować każdy, wedle własnych marzeń i posiadanych bądź pozyskanych za pomocą sponsorów środków.

Ale za tą fasadą stała samofinansująca się i pośrednio finansująca cały wyprawowy ruch na K2 na przełomie lat 2020 i 2021 machina. Pochodzący z prawie wszystkich stron świata uczestnicy wyprawy SST oprócz funduszy przyciągnęli globalne zainteresowanie, którego nie mogłaby zdobyć działająca samotnie grupa Nepalczyków. Nikt z nich nie został jednak wzięty pod uwagę w ataku szczytowym. Nikt nie miał wystarczającej aklimatyzacji. W przeciwieństwie do ↦

Szerpowie z połączonych sił trzech nepalskich wypraw na lodowcu Baltoro pod K2, styczeń 2021 r.

NIMSDAI / MATERIAŁY PRASOWE

pracujących na drodze od początku kalendarzowej zimy Szerpów, działających, jak to czynią od dekad np. na Evereście, gdzie przygotowują drogę dla żądnych szczytu – ale i maksymalnego bezpieczeństwa i choćby minimalnego komfortu – ambitnych, bogatych, ekscentrycznych ludzi Zachodu, a ostatnio coraz częściej – Dalekiego Wschodu.

Szerpowie dokonali na K2 aktu transgresji, nie tylko przekraczając granice własnych i zarazem ludzkich możliwości, ale także burząc porządek świata rozpisany w najwyższych górach jeszcze w kolonialnej przeszłości. Zamiany tradycyjnych ról w himalaizmie, który najczęściej widział w nich towarzyszy białych ludzi najpierw zdobywających góry, czyli *de facto* podbijających świat w pokojowy sposób, następnie ich pomocników w eksploracji tego, co pozostawało nietknięte ludzką stopą, a na końcu zatrudnianych na rynkowych zasadach pracowników o różnym stopniu kwalifikacji. Ułatwiali oni klientom agencji wyprawowych wspinaczkę na szczyty, traktowane często jako wierzchołki własnego ego.

OBÓZ I.
Droga do Dardżyling

Opowieść o wykorzystywanych dotąd, uciśnionych ludziach gór, którzy wybili się na niezależność od dawnych mocodawców, jest jednak tylko częściowo prawdziwa. Ich rolę w himalaizmie uwarunkowała też sama geografia, materialna konieczność, a przede wszystkim – związana z buddyzmem tybetańskim kultura.

Przodków dzisiejszych zdobywców góry nie przyciągały. Onieśmielały ich wręcz, choć osiedlili się pod najwyższymi szczytami Himalajów, migrując do Królestwa Nepalu z Tybetu, dokładnie z Khamu, czyli tybetańskiego wschodu. W tamtejszym języku, podstawie późniejszych szerpańskich dialektów, *sher* znaczyło wschód, a *pa* – lud. Lud ze wschodu przybył do doliny Khumbu i w pobliskie regiony Nepalu przez wysokie przełęcze, takie jak Nangpa La pod ośmiotysięcznym Czo Oju, jeszcze do niedawna popularny szlak uchodźczy Tybetańczyków. Stało się to prawdopodobnie w XIV lub XV w. Dokładnej daty nie znamy, gdyż język Szerpów przez stulecia nie doczekał się kodyfikacji, a zatem nie pozostawił piśmiennictwa i nie ocalił ludowej historii.

Szczyty, które wznosiły się ponad założonymi przez nich w dolinach osadami, uważali za siedziby bogów lub demonów. Jeszcze dziadkowie obecnych zdobywców szczytów, gorliwi buddyści, twierdzili że wspinaczka na nie obraża bogów. W zamkniętym dla obcokrajowców aż do 1949 r. Królestwie Nepalu pozostawały one nietknięte.

Ale w pozostałych częściach Himalajów eksploracja gór trwała od XIX w. W tamtym czasie Szerpowie zaczęli oprócz ryżu, pszenicy i jęczmienia uprawiać też sprowadzone w Himalaje przez Brytyjczyków ziemniaki. Jednak ani one, ani hodowla kóz, owiec, dzo – krzyżówki jaków i bydła domowego – oraz samych jaków dla mleka i masła, a także jako zwierząt pociągowych, zdolnych do transportu himalajskiej soli z Tybetu, nie gwarantowały zaspokojenia podstawowych potrzeb. Trudy życia w wysokich górach zmuszały ich do emigracji, gnały w inne rejony kolonialnego świata, do Indii Brytyjskich, zwłaszcza na wschód, do ich najpopularniejszej stacji klimatycznej, Dardżylingu, słynącej z kolei himalajskiej i upraw herbaty.

Od przełomu stuleci zjeżdżali do Dardżylingu brytyjscy i nie tylko brytyjscy arystokraci, naukowcy, podróżnicy, którzy wcześniej wspinali się w Alpach. Podczas pierwszych wypraw w Karakorum pionierom wspinaczki na K2 towarzyszyli pakistańscy tragarze z ludu Balti i doliny Hunzy, traktowani zresztą przez nich w obrzydliwy, rasistowski sposób. Uczestniczący w wyprawie na K2 w 1902 r. okultysta Aleister Crowley poganiał ich biczem, natomiast próbujący zdobyć górę siedem lat później książę Abruzzów nie mógł znieść ich zapachu. Jeszcze wcześniej, zwłaszcza w zachodnich Indiach, ciężary przeważnie brytyjskich wspinaczy nosili Gurkhowie.

Jednak na początku XX w. uwagę Europejczyków zwrócili spotykani w Dardżylingu Szerpowie.

OBÓZ II.
Imiona tygrysów

Od swojej pierwszej wizyty w Indiach w 1907 r. szkocki naukowiec Alexander Kellas zaczął zamiast Gurkhów zatrudniać właśnie Szerpów. „Wydają się czuć swobodniej w obniżonym ciśnieniu niż moi europejscy towarzysze" – zauważał. Wraz z nimi zdobywał sześciotysięczniki Sikkimu oraz leżący na granicy z Tybetem Pauhunri, którego wysokość skorygowane po latach pomiary ustaliły na 7128 metrów. Był to wówczas, w 1911 r., najwyższy szczyt osiągnięty przez człowieka. Nie odnotowano jednak nawet imion zdobywców, których Szkot określał jako „Sony'ego" i „brata Tuny'ego". Kellas sądził, że Szerpowie mogą sprawdzić się we wspinaczce na Kanczendzongę i Everest.

Wkrótce zyskali także zaufanie i wyprzedzający epokę szacunek prowadzących pierwsze wyprawy na Dach Świata,

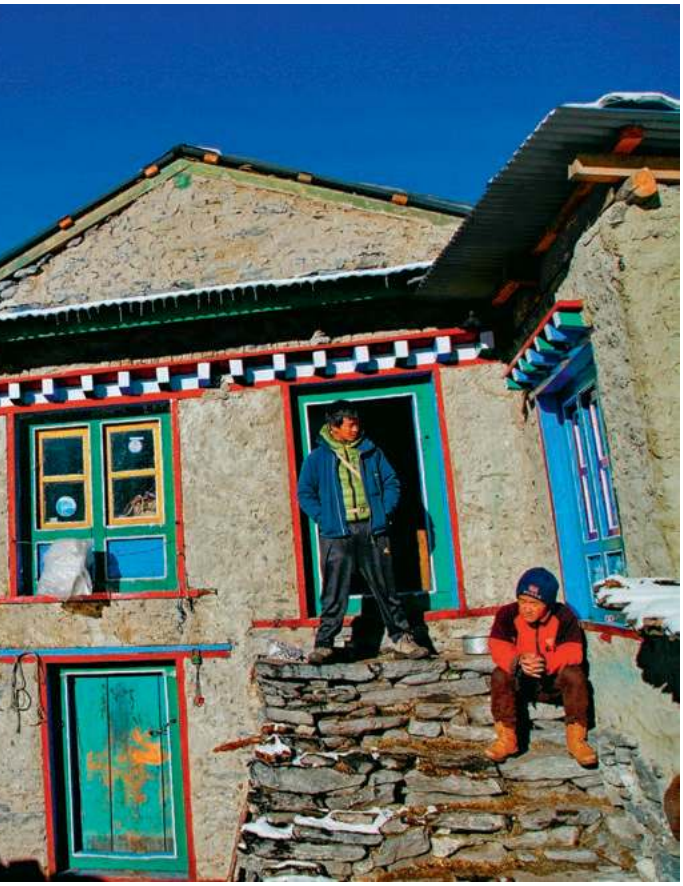

BARTEK DOBROCH

Szerpowie wyprawy trekkingowej pod domem Mingmy w Na, październik 2014 r.

Charlesa Bruce'a i George'a Mallory'ego. Najlepsi spośród nich wspinacze i tragarze, zdolni wnieść ładunki na wysokość ponad 7000 metrów, nazywani byli „tygrysami". Wciąż jednak pozostawali najczęściej bezimienni.

Utrwaleniu pamięci o nich nie sprzyjała powtarzalność siedmiu popularnych imion, tożsamych z nazwami dni tygodnia, w których przychodzili na świat. Według tej zasady np. Dawa to urodzony w poniedziałek, a Mingma we wtorek. Ale często – i nie dotyczy to tylko zamierzchłych czasów – winna była nasza dystrybucja chwały. Akcję ratunkową po Élisabeth Revol na Nanga Parbat śledziły setki tysięcy ludzi, a jej bohaterowie dostawali zasłużone odznaczenia, nagrody, wyrazy podziwu. A czy ktoś w ogóle zna imiona bohaterów podobnie trudnej akcji, Tashiego Lakpy, Karmy, Ngaa Tenjiego, Pemby i (jeszcze innego) Mingmy, którzy w 2011 r., po czterdziestogodzinnej akcji non stop, sprowadzili spod szczytu Makalu dwóch ciężko odmrożonych uczestników wyprawy Polskiego Himalaizmu Zimowego? Otrzymali jedynie list z podziękowaniami, w którym przekręcono imię jednego z nich. Po zdobyciu Everestu Edmund Hillary oraz kierownik wyprawy John Hunt otrzymali tytuły szlacheckie, natomiast Tenzing Norgay – zaledwie Medal Jerzego.

Pierwszym Szerpą, który zapisał się w historii, był Ang Tharkay, uczestnik wypraw Billa Tilmana i Erica Shiptona. Temu drugiemu wskazał młodego wówczas Tenzinga Norgaya. W tamtym czasie Szerpowie zmonopolizowali rynek – nie dopuszczali do pracy tragarzy innej nacji, takich jak Tenzing, nie Szerpa, lecz Bhotia, czyli Tybetańczyk z pochodzenia. Wykonywany zawód przylgnął do Szerpów tak mocno, że pisane u nas z małej litery słowem „szerpa" stało się synonimem pracującego na wysokościach tragarza w całym Nepalu, a także poza nim, choćby w Tybecie, Indiach, a nawet w odniesieniu do tzw. nosiców w słowackich Tatrach.

OBÓZ III.
Rekordziści i ofiary

Ang Tharkay jako *sirdar*, czyli szef tragarzy, mógł zapisać się w historii jako pierwszy zdobywca ośmiotysięcznika, otrzymując od Francuzów propozycję wzięcia udziału w ataku szczytowym na Annapurnę – ale z uwagi na zmarznięte stopy odmówił. Dla dwójki Francuzów, Herzoga i Lachenala, zdobycie góry zakończyło się odmrożeniami i utratą palców.

Szerpowie niejednokrotnie wykazywali się rozsądkiem tam, gdzie ich zachodnich pracodawców prowadziła jedynie pasja. K2, najtrudniejszy z ośmiotysięczników, mógł zostać zdobyty już w 1939 r. przez dwójkę uczestników amerykańskiej wyprawy. Fritz Wiessner i Szerpa Pasang Dawa Lama dotarli na wysokość 230 metrów do szczytu. Jednak w zapadających ciemnościach Nepalczyk zamiast wydawać linę chcącemu kontynuować wspinaczkę Wiessnerowi, przytrzymał ją sztywno. Amerykanin twierdził, że Szerpa wystraszył się zamieszkującej górę bogini dosiadającej smoka, który nie jadł 1122 lata. Mike Conefrey w książce „Duchy K2" racjonalizował jednak decyzję Szerpy, późniejszego pierwszego wraz z Austriakami zdobywcy Czo Oju, tłumacząc ją brakiem dobrego obuwia i przyzwyczajenia do wspinaczki nocą. „W gasnącym świetle zmierzchu to upór Pasanga i jego nalegania, żeby przerwać wspinaczkę, prawdopodobnie uratowały Wiessnerowi życie" – potwierdzają Peter Zuckerman i Amanda Padoan w książce „Pochowani w niebie", opowiadającej historię Szerpów z perspektywy wydarzeń z 2008 r., gdy po oberwaniu się seraka ponad Szyjką Butelki w szczytowej partii K2 zginęło jedenaście osób, a dwóch Szerpów, Chhiring Dorje i Pasang Lama, ocaliło życie.

Od wielu lat słowo „szerpa" pojawia się w mediach najczęściej w kontekście wielkich tragedii albo spektakularnych rekordów bitych na wysokościach.

Rano 18 kwietnia 2014 r. w bazie pod Everestem obecna była ekipa filmowa kręcąca film o Phurbie Tashim, ówczesnym rekordziście w liczbie wejść na Everest. Miał ich wtedy 21, czym zrównał się z przezywanym „Super Sherpa" Apą oraz w sumie 30 wejść na ośmiotysięczniki.

Nic nie wróżyło katastrofy. O godz. 6.45 od lodowca wiszącego na Zachodnim Ramieniu Everestu oberwał się potężny, ważący szacunkowo ponad 10 tys. ton blok lodowy, który runął 300 metrów niżej wprost na górną część lodospadu Khumbu – szlak komunikacyjny i zarazem plac budowy pełen podwykonawców i najemnych pracowników. Pod lawiną zginęło 16 tragarzy i pracowników, spośród których 13 było Szerpami, a pozostali należeli do innych nepalskich grup etnicznych.

Był to największy wypadek, jaki zdarzył się na Evereście w ciągu prawie stu lat jego ludzkiej historii. Niestety rok później w czasie trzęsienia ziemi Szerpowie, w liczbie dziesięciu, znowu stali się najliczniejszą grupą ofiar lawin, które uderzyły w bazę pod Everestem.

↦

OBÓZ IV.
Reprezentacja Nepalu

Niewiele brakowało, by mróz, który przed wschodem słońca osiągał minus 50 stopni, zatrzymał 16 stycznia zimowy atak na K2. Jego nieformalny lider Mingma Gyalje przyznał, że gdy po rozpoczętej na wysokości ok. 7200 metrów o 2.30 w nocy wspinaczce osiągnęli obóz IV, był tak zziębnięty, że chciał przerwać akcję. Ale partner z jego zespołu, Dawa Tenzing, zdążył już ruszyć w kierunku szczytu, a radiotelefon nie zadziałał. Choć Mingma planował wejście bez użycia dodatkowego tlenu, skorzystał z niego, jak ze zmniejszającego ryzyko odmrożeń lekarstwa.

Miał prawo czuć przed nimi lęk. Jego ojciec stracił w 1983 r. osiem palców w wyniku odmrożenia podczas pracy dla japońskiej wyprawy na Everest. Mingma pochodzi z Rolwalingu, spokojnej doliny, oddzielonej wysoką na ponad 5700 metrów przełęczą od szerpańskiego matecznika Solokhumbu z nieformalną stolicą w Namcze Bazar. Rolwaling szczyci się największą liczbą zdobywców Mount Everestu w proporcji do mieszkańców. Nad doliną nie wznosi się żaden ośmiotysięcznik, w związku z tym budzi ona ciekawość głównie sportowych alpinistów, zainteresowanych niepokonanymi jeszcze ścianami sześciotysięczników, czasem nawet dziewiczymi szczytami. W Rolwalingu nie ma wielu alternatyw dla zostania tragarzem wysokościowym czy przewodnikiem. Można jeszcze wypasać jaki albo chodzić na przemyt do pobliskiego Tybetu.

W 2014 r. poznałem Mingmę, wówczas dwudziestokilkulatka, goszcząc w jego hoteliku w położonej na ponad 4000 metrów pasterskiej wsi o monosylabicznej nazwie Na. Wieczorami, przy kozie opalanej suszonymi odchodami jaków, w światowym gronie toczyły się dysputy o himalaizmie.

– Czy też się wspinasz? – zadałem niemądre pytanie dziewczynie, która prowadziła na trekking rodzinę obcokrajowców z dziećmi. Dawa Yangzum okazała się być pierwszą Szerpanką, która w trzyosobowym kobiecym zespole osiągnęła K2. Ponad 20 lat wcześniej Pasang Lhamu Sherpa musiała torować drogę na Everest przez zaspy seksizmu i uprzedzeń. Zginęła w drodze zejściowej, ale uczczono ją pomnikiem w Katmandu jako narodową bohaterkę.

Dawa Yangzum została potem międzynarodową przewodniczką wysokogórską. Podobnie jak Mingma G. Może zresztą jego decyzja o skorzystaniu z tlenu była dyktowana przewodnicką rozwagą, w której dbałość o własne bezpieczeństwo oznacza także odpowiedzialność za innych, za grupę?

Już jako chłopak prowadził agencję organizującą wyprawy. Szerpowie nauczyli się pragmatycznie podchodzić do górskich osiągnięć. Chhang Dawa wraz z bratem, także Mingmą, zamienił sławę pierwszych nepalskich zdobywców 14 ośmiotysięczników na biznesplan agencji wyprawowej Seven Summit Treks z własnymi helikopterami i siedzibą w willi na przedmieściach Katmandu. Kto w niej gościł, łatwo podważy jednowymiarowość atrakcyjnej narracji o kla-

TYGODNIK POWSZECHNY
Podkast Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cyklów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

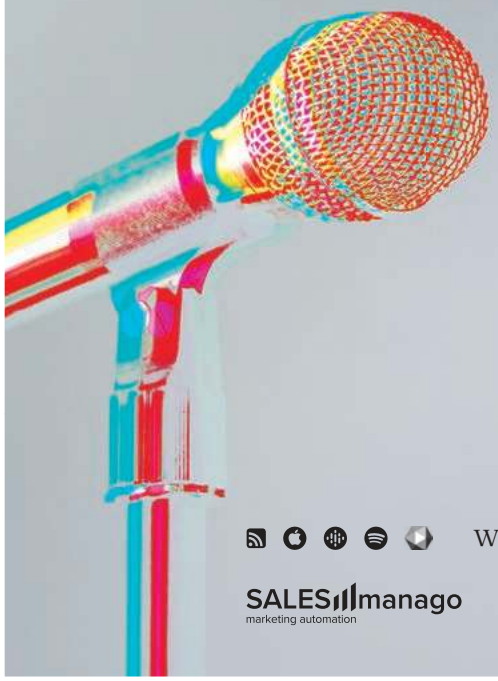

Własny pokój
rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej o kobiecej niezależności

#DOM
czyli rozmowy Krzysztofa Storego o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce
z autorskim przeglądem newsów naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny
Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela
korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana
Magdalena Łanuszko odkrywa dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na **powszech.net/podkast**

SALESmanago
marketing automation

weź, słuchaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

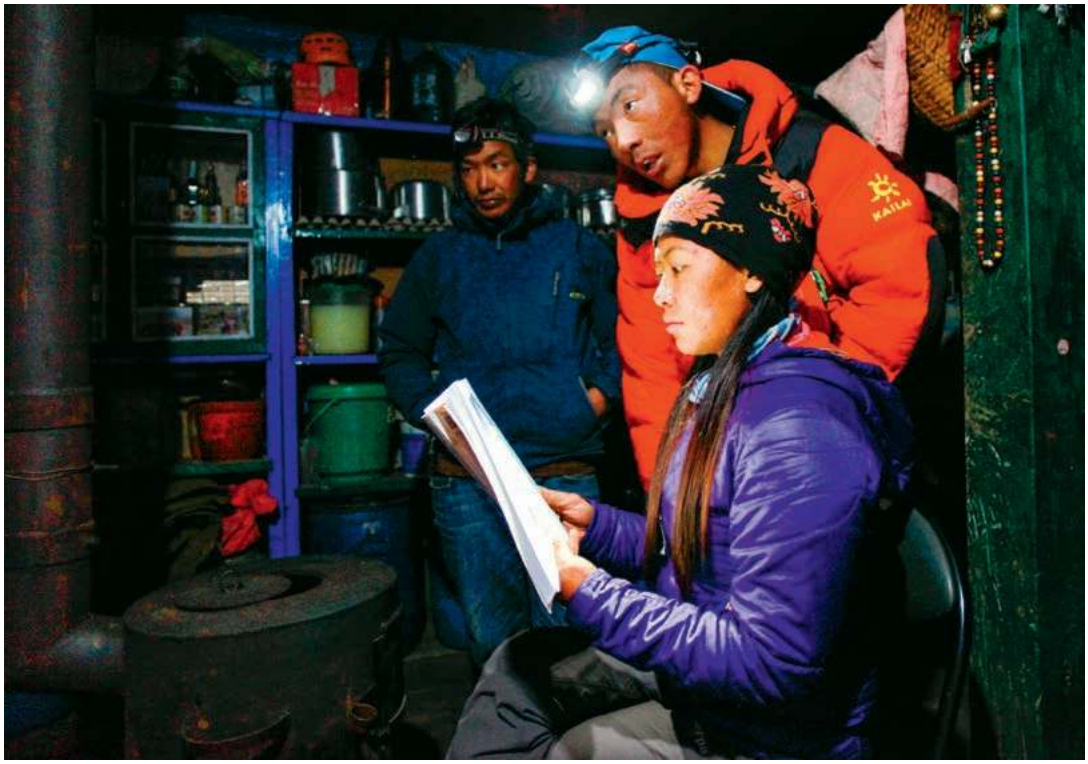

BARTEK DOBROCH

Dawa Yangzum i Mingma Gyalje (w czerwonej kurtce) przeglądają zdjęcia w książce Jerzego Kukuczki „Mój pionowy świat" w domu Mingmy w Na, Nepal, 2014 r.

sie robotniczej Himalajów i Karakorum, która ubiegła lepiej urodzonych wspinaczy z Zachodu. Tymi zaś zainspirował się w Rolwalingu Mingma G.

W 2015 r. wspiął się samotnie środkiem zachodniej ściany Chumbutse (6685 metrów), którą od dziecka oglądał z okna domu. Podczas zejścia załamała się pogoda. Po dwóch biwakach musiał wezwać helikopter. Ale i tak samotna wspinaczka nową drogą na trudny szczyt była czymś, czego nie dokonał wcześniej żaden Nepalczyk.

W latach 50. XX w. Szerpowie razem z przybyszami z Zachodu i Wschodu dokonali pionierskich wejść na ośmiotysięczniki: Everest, Czo Oju, Manaslu i Dhaulagiri. Gyalzen Norbu został pierwszym człowiekiem, który wspiął się na dwa szczyty ośmiotysięczne. Później jednak, gdy w latach 70. himalaizm skupił się na pokonywaniu sportowych wyzwań i niezdobytych ścian, nie odegrali już znaczącej roli. Poza Pertembą, który znalazł się w gronie zdobywców południowo-zachodniej ściany Everestu w ramach brytyjskiej wyprawy pod wodzą Chrisa Boningtona.

Mingma Gyalje zauważył, że na liście pierwszych zimowych zdobywców nie ma żadnych Szerpów. Pojechał pod K2 już zeszłej zimy, ale próba zakończyła się zupełnym niepowodzeniem. Uznał, że musi wyciągnąć z niej lekcję. Szerpom, paradoksalnie, pomogła pandemia, która w uzależnionym od turystów Nepalu odebrała im pracę. Mieli czas, by skupić się na własnych ambicjach.

Może jednak z góry zaplanowali tę strategię? Że choć zgrupowani w trzech drużynach, jako Nepalczycy grają do jednej bramki? „To nie jest wyprawa tylko trzech Nepalczyków, ale wyprawa reprezentująca cały Nepal i Szerpów" – pisał po dotarciu do Pakistanu Mingma Gyalje. Właściwie od samego początku jego zespół współpracował z szóstką Nirmala, a na początku stycznia stworzył nieformalny zespół z Szerpami z wyprawy Chhanga Dawy. „Mamy 200 metrów, aby uczynić Nepal i całą społeczność wspinaczkową dumnymi" – informowały 16 stycznia ok. godziny 13 czasu pakistańskiego jego media społecznościowe.

8611 METRÓW.
Szczyt

Najważniejsze wydarzyło się 10 metrów przed wierzchołkiem. Uczestnicy ataku szczytowego zatrzymali się, by zgromadzić całą grupę. I razem wejść na szczyt, całą dziesiątką: Nirmal Purja, Mingma David, Mingma Tenzi, Gelje, Pem Chhiri, Dawa Temba (szóstka z wyprawy Nirmala), Mingma Gyalje, Kili Pemba, Dawa Tenzing (trójka Mingmy G) oraz Sona z wyprawy SST.

Dziewięciu Szerpów i Nirmal, etnicznie Magar, urodzony pod Dhaulagiri, ale dorastający w Chitwanie, na nepalskim niżu, w przeciwieństwie do pozostałych nigdy nawet nie pracował jako szerpa. Autor zadziwiającego wyczynu w 2019 r., kiedy w nieco ponad pół roku wszedł na wszystkie 14 ośmiotysięczników. Były Gurkha, żołnierz sił specjalnych Zjednoczonego Królestwa. Kilka dni później, gdy przez świat oprócz wyrazów podziwu przetoczy się dyskusja nad stylem i wartością wejścia wobec użycia tlenu przez zespół szczytowy – z jej rozpoczęciem nie czekano nawet na bezpieczny powrót Nepalczyków i ich własną relację! – oświadczy, że jako jedyny podjął ryzyko wejścia bez wsparcia tlenowego.

Zebranie całej grupy pod szczytem rozciągnęło akcję aż do granic bezpieczeństwa. Wchodzili na K2 przed zachodem słońca, dając lekcję partnerstwa, współpracy i braterstwa. Zamykali ponad czterdziestoletnią historię pierwszych zimowych wejść na ośmiotysięczniki, śpiewając hymn Nepalu: „Utkani z setek kwiatów / Jesteśmy jedną nepalską girlandą / (...) Z krwi odważnych, wolny i niewzruszony naród / Kraina wiedzy, pokoju, równin / Wzgórz i wysokich gór".

© BARTEK DOBROCH

STANISŁAW

Mancewicz:
Wędrowniczek

Prezydent Biden na drugi dzień po złożeniu przysięgi kazał wynieść ze swego okrągłego gabinetu popiersie Winstona Churchilla. Ledwo, ledwo, bo głowa już nie ta, przypomnieliśmy sobie, że takoż prezydent Obama, po tym jak zdobył Biały Dom, kazał Churchilla zanieść do magazynu. Przybyły po nim prezydent Trump – to sprawdziliśmy – zawołał, by mu szybko Churchilla na powrót do gabinetu przynieść. Tego typu sytuacje znakomicie opisują co najmniej dwa polskie porzekadła: „w koło Macieju" i „dookoła Winston". W Ameryce Churchill jest raz na wozie, raz pod wozem.

Ponoć Anglicy, zwani w krakowskiej prasie Wyspiarzami, poczynań z popiersiem Churchilla nie komentują. Ostrożność jest tu znamienna, bo po brexicie, jak słyszymy, na granicy Unii Europejskiej unijni żołdacy odbierają teraz Wyspiarzom kanapki – co, nawiasem, daje nam skalę nowego i przejmującego problemu, jaki dotknął ten dziarski niegdyś naród. Patrząc, jak obcy mundurowi zabierają osłupiałym Wyspiarzom bułki, jak bezkarnie i arogancko zaglądają do tychże bułek intymnego wnętrza, jak kręcą głowami i wulgarnie zawartość kanapek upubliczniają, myślimy sobie, że może dobrze, iż Anglicy z takim morale i bezradnością Unię jednak opuścili. Churchill, zważmy, to nie był Anglik, któremu ktokolwiek bezkarnie pomacałby kanapkę. Był to zaś autor miliona cytatów używanych chętnie, zwłaszcza przez dziennikarzy, i gdyby żył, zapewne ująłby nader syntetycznie i gorzko brak reakcji rodaków na grzebanie brudnymi paluchami w ich angielskich lunch boxach.

Był to też człowiek, powiedzmy serio, do którego można mieć wiele pretensji, ale zważyć należy, że w sumie miło, iż to on na Zachodzie wygrał II wojnę światową, a przynajmniej my to rozwiązanie znacznie bardziej wolimy niż inne naonczas proponowane. Jest to nasza na ten temat całkowicie nieugięta opinia. Kolejna w tym guście brzmi, że Churchill to nie był ktoś, kogo popiersie można sobie ot tak nosić w tę i we w tę, jak tłustego kocura zaraz po śniadaniu, wydaje się bowiem, że jest to zajęcie męczące i jałowe, chyba że ktoś bardzo lubi. O czym za moment.

Tak czy owak, nas – jak tu ponuro siedzimy – zawsze najżywiej interesują kwestie pozornie boczne, ale jednak dla nas życiowo kluczowe. Oto ciekawi nas, ileż dostaje na rękę człowiek mający w swej pieczy ów magazyn, w którym Churchill znów zamieszkał. Co należy do obowiązków magazyniera? Czy tylko ów siedzi i ćmi jak lokomotywa, i popija herbatę ze szklanki? Czy czasem wyskoczy do pobliskiego Alkohole 24h po małpkę? A może je hamburgery, słuchając sobie radia? A jakież on ma godziny pracy, to nas też ciekawi, i czy ma płatny urlop, i jak długi? Czy – zważmy – na papierosa musi wychodzić na zewnątrz, czy pali sobie przy biurku? Czy – podobnie jak w Polsce – w magazynie stoi w kącie tradycyjne akwarium, a co za tym idzie, w pomieszczeniu unosi się dyskretny zapach suszonych rozwielitek? Są to pytania ważne, a najważniejsze brzmi, czy pracownik ten zajmuje się wyłącznie wnoszeniem i wynoszeniem popiersia Churchilla do Gabinetu Owalnego, i czy tym właśnie zajmowali się jego ojciec, dziadek i pradziadek, nie mówiąc o prapradziadku, który wysiadł ze statku Mayflower. Na pytania, czy do obowiązków owego federalnego pracownika należy okresowe czyszczenie nieużywanych popiersi świetnymi amerykańskimi pastami antykorozyjnymi, bądź też nasłuchiwanie, czy aby nie chrobocze gdzieś kornik, odpowiadać chyba nie trzeba. Amerykańskie magazyny są najlepsze na świecie, a amerykańscy magazynierzy są od zawsze w światowej awangardzie. To wie każde dziecko.

Na koniec, sumując, wypada wrócić do sensowności przenoszenia, chowania bądź wystawiania historycznych popiersi. W ostatnich latach mamy z tym zjawiskiem do czynienia w skali niemal całej planety, może poza Arktyką. Oto ludzie w kółko i z dużą dowolnością opowiadają sobie swoją przeszłość (w kółko Macieju) i wciąż te opowieści zmieniają, co zdaje się jest elementem malowania przyszłości, rzadko z sensem. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Kup na przekroj.pl

PRZEKRÓJ

nr 1 (3572)/21 19,90 zł (w tym VAT 8%)

– Hej! – powiedział Ryjek. – Odkryłem ciekawą ścieżkę. Wygląda niebezpiecznie.
– Jak niebezpiecznie? – spytał Muminek.
– Powiedziałbym, że niezwykle niebezpiecznie – odparł poważnie mały zwierzaczek.

Tove Jansson, *Kometa nad Doliną Muminków*

zdjęcie: Weronika Izdebska

© Moomin Characters TM

Dochód ze sprzedaży kwartalnika przeznaczamy na działalność statutową Fundacji PRZEKRÓJ

GRUDZIEŃ 2020 – MARZEC 2021
INDEKS 371 424
ISSN 0033-2488
9 770033 248007 12